140448

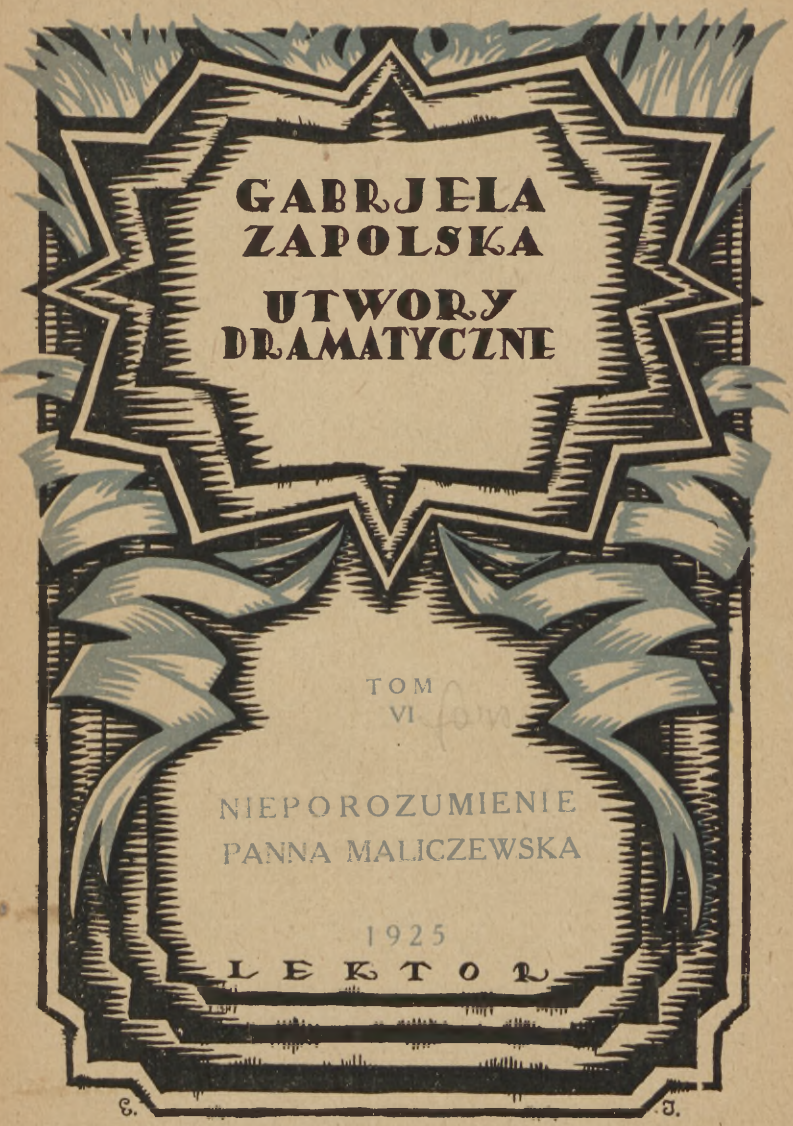

GABRJELA ZAPOLSKA

UTWORY DRAMATYCZNE

TOM VI

NIEPOROZUMIENIE
PANNA MALICZEWSKA

1925
LEKTOR

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
GABRJELI ZAPOLSKIEJ

UTWORY DRAMATYCZNE

NIEPOROZUMIENIE
PANNA MALICZEWSKA

WSZELKIE PRAWA INSCENIZACJI SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ OBJĘTYCH NINIEJSZYM WYDANIEM, NALEŻĄ WYŁĄCZNIE DO D-RA STANISŁAWA ROGALA LEWICKIEGO WE LWOWIE, POZWOLENIA NA INSCENIZACJĘ SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ TAK TEATROM, JAK I WSZELKIM AMATORSKIM ZESPOŁOM DRAMATYCZNYM, ORAZ PRZEDSIĘBIORSTWOM KINEMATOGRAFICZNYM UDZIELA INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR", LWÓW, ULICA ŚW. MIKOŁAJA, 23, WYSTAWIENIE SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ BEZ FORMALNEGO POZWOLENIA BĘDZIE SĄDOWNIE ŚCIGANE

UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Katedra Teorii Literatury

GABRJELA ZAPOLSKA

14044

GABRJELA ZAPOLSKA

UTWORY DRAMATYCZNE

TOM VI

NIEPOROZUMIENIE

PANNA MALICZEWSKA

1924

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO
„LEKTOR", SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ
KRAKÓW — LUBLIN

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
w ŁODZI
Wydano z dubletów

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE
Copyright by „Lektor" nineteen hundred twenty four

№

UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Katedra Teorii Literatury
ANULOWANO
Biblioteka Główna w Kielcach
J 2684/6
400983 BG

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:
„LEKTOR", MIKOŁAJA 23
(dom własny) Tel. 525

W WARSZAWIE:
„LEKTOR", SIENKIEWICZA 5
Tel. 253-99

W POZNANIU:
„LEKTOR", RATAJCZAKA 33
Tel. 39-23

W KRAKOWIE:
„LEKTOR", RYNEK Gł. 22

W LUBLINIE:
„LEKTOR", SZOPENA 5

ZAKŁADY GRAFICZNE WŁOCŁAWKY

Neuman & Tomaszewski

OKŁADKĘ I WINIETY RYSOWAŁ E. JOHN W WARSZAWIE

K 52/64

NIEPOROZUMIENIE

SZTUKA W 4-CH AKTACH

OSOBY:

ANTONIEWSKI

RYSKIEWICZ

KORSKI

SZYDEŁKIEWICZ

ANTONIEWSKA

JADWIGA

ZOSIA

RÓZIA

SŁUŻĄCA

Rzecz dzieje się w mieście

AKT PIERWSZY.

Sala jadalna w przeciętnym urzędniczym domu — na środku stół, nad nim wisząca lampa, pod stołem linoleum — na ścianach talerze, imitujące stare fajansy i japońszczyznę. Sofa niby w stylu staroniemieckim — dywaniki na podłodze — przed oknem palma w trzcinowej żardinierce. Półcień — szara godzina — przy oknie, czołem przytulona do szyby stoi Jadwiga. Piękna. młoda, wysmukła, wyraz twarzy smutny, włosy falujące, zaczesane z bezwiednym artyzmem Prosty flanelowy szlafroczek, przepasany w stanie. Stoi i patrzy przez szybę w zamyśleniu. — Przez otwarte drzwi w głębi widać sypialnię — dwa łóżka zasłane jednakowemi kołdrami, nad niemi święte obrazki — przed niemi dywaniki. Trochę mebli — komoda — toaletka. Z chwilą otwarcia kurtyny sługa z sypialni wynosi pantofle męskie i szlafrok i idzie na lewo do drzwi kuchennych. Uchyla je i mówi).

SCENA PIERWSZA.

SŁUGA — JADWIGA.

SŁUGA. Proszę pana!...

GŁOS RYSKIEWICZA *(za sceną)*. Czego?

SŁUGA. Szlafrok i pantofle.

GŁOS RYSKIEWICZA. Wiem — czego się drzesz. *(Sługa czeka pod drzwiami).* No!... dawaj!... *(drzwi się uchylają, ręka Ryskiewicza ukazuje się i bierze szlafrok i pantofle).*

SŁUGA *(do siebie pomrukując).* O!... to!... *(chwila milczenia, sługa zrezygnowana stoi podedrzwiami. Jadwiga powoli odrywa czoło od okna i odwraca się).*

JADWIGA. Czy się już wykąpał?

SŁUGA. Zdaje się... bo wołał o szlafrok...

JADWIGA. Zapomniałaś przygotować? to źle... *(idzie w kierunku kuchni, drzwi się nagle otwierają i przez drzwi wylatuje para pantofli, rzucone ręką Ryskiewicza — pantofle trafiają Jadwigę, która z uczuciem wstrętu usuwa się).*

JADWIGA. O!...

SŁUGA. No!... macie!...

GŁOS RYSKIEWICZA *(za sceną).* Nie te pantofle... filcowe!...

JADWIGA. Daj filcowe... *(sługa idzie do sypialni, wzruszając ramionami — wraca — niesie parę innych pantofli — podaje przez drzwi i później zakłada ręce i stojąc podedrzwiami mówi).*

SŁUGA. No... wiecie... gdyby to pani kazała tak koło siebie skakać, to jeszcze... ale pan! to jeszcze w żadnej służbie tego... *(urywa na delikatny znak Jadwigi, ukazującej jej drzwi do kuchni. Jadwiga powraca na dawne miejsce koło okna — dzwonek w przedpokoju).*

JADWIGA. Idź Kasiu otwórz.

SŁUGA *(idzie do drzwi na prawo).* To proszę pani Szydełkiewicz!

JADWIGA. Trzeba było powiedzieć, że pan się kąpie.

SŁUCA. Powiada, że ma ważną sprawę.

JADWIGA. Niech wejdzie i zaczeka! *(sługa wraca do przedpokoju; wchodzi Szydełkiewicz.*

SCENA DRUGA.

JADWIGA—SZYDEŁKIEWICZ.

(Szydełkiewicz — mężczyzna lat 50, ubrany dość ubogo, ubranie zasypane pyłem ceglanym i poplamione wapnem, broda blond, wygląd spracowany, stroskany — mnie w ręku kapelusz — wszedłszy kłania się niezgrabnie. Jadwiga kłania mu się od okna i w milczeniu wskazuje krzesło).

SZYDEŁKIEWICZ. Ja zaczekam...

JADWIGA. Tak... mąż zaraz przyjdzie... *chwila milczenia — wreszcie Szydełkiewicz kaszle niespokojnie).* Hm — hm.

GŁOS RYSKIEWICZA *(z lewej).* A kto tam przyszedł?

SZYDEŁKIEWICZ. To ja Szydełkiewicz.

GŁOS RYSKIEWICZA. A czego? — pan? po co?

SZYDEŁKIEWICZ. Dziś sobota — wypłaty.

GŁOS RYSKIEWICZA. No to co?

SZYDEŁKIEWICZ. Nie mam czem ludzi popłacić.

GŁOS RYSKIEWICZA. Mnie djabli do tego... wybrał pan wszystko! Resztę zapłacę, gdy czas w kontrakcie wymieniony przyjdzie.

SZYDEŁKIEWICZ *(hamując się w gniewie).* Panie! miejże pan litość.

GŁOS RYSKIEWICZA. Żadnych komedji!... zrobiłeś pan sam anszlag... nic mnie nie obchodzi!

SZYDEŁKIEWICZ. Panie—tam trzydzieści furmanek, tych co cegłę woziły, stoi i ruszyć się nie chce...

GŁOS RYSKIEWICZA. Nie nudź mnie pan!... A cegłę przyjdę jutro obejrzeć!...

SZYDEŁKIEWICZ *(w rozpaczy mnąc kapelusz)* Jużeś pan dwa razy przerzucił.

GŁOS RYSKIEWICZA. I przerzucę!... raz jeszcze przerzucę jak będzie zła... A teraz idź pan... nie lubię się po kąpieli irytować.

SZYDEŁKIEWICZ. Panie!... i cóż ja teraz zrobię? — ja się przeliczyłem w kosztorysie tej kamienicy — zresztą pan mi wszystko przerzuca... ja nie mogę!... *(ociera pot z czoła).* Miej pan wzgląd *(milczenie)*, Ja niewiem, mnie się chyba przyjdzie powiesić!

GŁOS RYSKIEWICZA. A no, to powieś się pan!...

SZYDEŁKIEWICZ *(chwilę stoi — patrzy na drzwi kuchenne — rozpacz mu twarz wykrzywia— wreszcie pluje i mówi przez zęby.* A bodajeś zmarniał, kanaljo jedna! *(wychodzi szybko, zapinając nerwowo kurtkę).*

(Jadwiga przez cały czas tej sceny stała nieruchomo oparta plecami o ścianę; gdy Szydełkiewicz wyszedł, ona patrzy smutno za nim)

SŁUGA *(wchodzi).* Proszę pani, czy lampę zapalić?

JADWIGA. Nie — jeszcze trochę!... *(siada na krześle — opiera się o mały stolik od robótki i zasłania oczy jakby chciała odosobnić się od światła).*

SCENA TRZECIA.

TEŻ — RYSKIEWICZ.

RYSKIEWICZ *(rosły, silny mężczyzna, czerwony i zdrów — wchodzi w szlafroku i w pantoflach, niesie gąbkę ogromną, mydło i ręcznik włochaty, przez plecy przerzucony).* Kasia!... zabieraj gąbkę, mydło odnieś do sypialni, a ten ręcznik wysusz przy piecu, no!... *(rzuca jej ręcznik na głowę, potem kładzie się na sofę i czyści paznogcie).*

SŁUGA. Zapalić w piecu?

RYSKIEWICZ. Możesz nie palić. Ja i tak wyjdę! A na drugi raz, żeby mi woda była cieplejsza i więcej — słyszysz!... a jak zapomnisz o szlafroku i pantoflach, to no!... *(sługa wychodzi — milczenie — ściemnia się).*

RYSKIEWICZ *(lokując się wygodnie na sofie)* A... żeby mi więcej tego... Szydełkiewicza nie wpuszczać!... *(po chwili)* Złodziej! wyzyskiwacz!... *(milczenie)* Ha!... no..,! tak!... *(przewraca się na sofie).*

SŁUGA *(ukazuje się we drzwiach z latarką).* Proszę pani — może pójdziemy po węgle do piwnicy?

JADWIGA *(nie ruszając się).* Później.

RYSKIEWICZ. Dlaczego nie teraz? *(sługa znika).* Ostrzegam cię, że jeśli ci węgli przed końcem zimy zabraknie — nie sprowadzę więcej! Pamiętaj!... Wolna wola twoja nie pilnować tego, co do domu należy i pozwalać, aby sługi rozdawały węgle stróżkom.

JADWIGA. Ah!... proszę cię — zostaw... codzień chodzę do piwnicy! — zresztą jestem zmęczona. Pozwól mi odpocząć!

RYSKIEWICZ *(podnosząc się na sofie).* Zmęczona? czem? cóż takiego robiłaś? *(milczenie)* Zechciej mi odpowiedzieć! Jeśli ty jesteś zmęczona, cóż ja mam powiedzieć? Całe rano w biurze potem, za interesami.

JADWIGA *(przez zęby).* To już twoja dobra wola.

RYSKIEWICZ. Moja wola? To już przechodzi ludzkie wyobrażenie! Moja wola!... Cóż to, wziąłem za tobą taki posag, że mogę założyć ręce i nic nie robić... No... no... ile za tobą wziąłem? ile?

JADWIGA. Nie wiem.

RYSKIEWICZ. No to jak nie wiesz — to nie rezonuj. Prawie nic nie wziąłem — nic — nic...

JADWIGA *(głucho).* Kłamiesz! ojciec dał...

RYSKIEWICZ *(zrywając się z sofy).* Co? może to, co obiecywał? Ćwierć nawet tego nie dał...

JADWIGA *(głucho).* Miejsce ci wyrobił.

RYSKIEWICZ. Śliczne miejsce, drugi buchalter na kolei... jak woła mnie zaprzęgli do roboty... no!...

JADWIGA *(patrzy na niego przeciągle i mówi powoli).* Nie ojca wina, że na nic innego nie byłeś zdatny.

RYSKIEWICZ. Miejsce się nie liczy!... tu chodzi o posag. Skoro kto tak wychowuje córkę, że jest do niczego nie zdolna, że nie umie ani się zająć kuchnią ani domem — ani nie wie co to jest oszczędność, powinien dać odpowiedni posag.

(milczenie)

RYSKIEWICZ. Co jest dzisiaj na kolację?

JADWIGA *(która siedzi zamyślona, nagle zbudzona głosem męża).* Co mówisz?

RYSKIEWICZ. Pytam się co jest na kolację — ale nie przeszkadzam — *(z przekąsem)* widzę, że jesteś zajęta — marz dalej!

JADWIGA *(zacina zęby wstaje, idzie do kredensu, przegląda półki).* Dla ciebie jest kotlet! Czy kazać odgrzać?

RYSKIEWICZ. Spodziewam się! Może jeszcze mam jeść zimne po kąpieli, żeby się rozchorować!... (*wzdycha*). To życie — no!...

(Jadwiga bierze talerz z kotletem, niesie do kuchni — ściemnia się zupełnie. Ryskiewicz leży, pogwizduje — nadsłuchuje, co się dzieje w kuchni. Po chwili wraca Jadwiga — idzie do okna i stoi oparta o szybę).

RYSKIEWICZ. Kto tam był w kuchni? *(milczenie).* Kto tam był w kuchni?

JADWIGA. Żona Szydełkiewicza.

RYSKIEWICZ. Czego chciała

JADWIGA *(odwraca się i mówi wolno)*. Wiesz dobrze!

RYSKIEWICZ. A ty jej stronę trzymasz?... *(zrywa się)*. Co! powiedz! Trzymasz jej stronę?

JADWIGA. Tak.

RYSKIEWICZ. Przeciwko mnie. Przeciwko swemu mężowi z takimi wyzyskiwaczami, z taką kanalją, którzyby chcieli zedrzeć ze mnie skórę i pozbawić zarobku... Konspiruj z niemi — no dalej... dalej...

JADWIGA. Nie konspiruję, bo nic nie mogę — ale nic na to nie poradzę, że mam inne na tę sprawę zapatrywania.

RYSKIEWICZ. Proszę!... ty mieć powinnaś takie zapatrywania jak ja, bo te są dobre i uczciwe. Jeżeli ja chcę zarobić, to dla kogo?.. dla nas, na przyszłość — chyba nie z tego będziemy żyli, co nam twój godny papa przyobiecał *(chodzi po pokoju, rozwiewając poły szlafroka)*. Niech sobie szukają takiego drugiego zięcia jak ja ze świecą... Nie piję, nie palę—w karty nie gram! prowadzę się moralnie... a w domu piekło!...

(Jadwiga stoi oparta o ścianę i patrzy na męża w milczeniu).

RYSKIEWICZ. Bezrząd, nieład — potem wydatki... a jeszcze... wiedz o tem, że nie dodam ci w tym miesiącu ani grosza. Daję

siedmdziesiąt rubli, płacę mieszkanie, sługę — kupuję węgle, herbatę — i w pralni moją bieliznę... Kawa i cukier do ciebie należy... Może jeszcze mam kupować kawę i cukier? Nie — moja pani — tego się nie doczekasz... I nic nie dodam — Że się pozwalasz okradać swojej Kaśce, to mnie nic do tego. *(Zmieniając ton).* Gdzie kurjerek?

(Jadwiga idzie wolno do kuchni, przynosi kurjer).

RYSKIEWICZ. Lampa? Czy mam po ciemku czytać?

(na ulicy zapalają gaz, który oświetla przez okno pokój).

JADWIGA. Dziewczyna poszła po naftę! *(wraca do okna i znów stoi nieruchoma).*

RYSKIEWICZ. Naturalnie! Teraz, gdy ciemno, lampę się będzie nalewać!

JADWIGA *(odwraca się i mówi nizkim zmienionym głosem)* Czy wychodzisz gdzie dziś wieczorem?

RYSKIEWICZ. Naturalnie — a cóż myślisz, że będę w domu siedział? Jak chcesz, to idź ze mną. Idę się rozerwać, idę do cyrku. Kupisz sobie bilet.

JADWIGA. Dziękuję — nie pójdę do cyrku. Niecierpię gwaru i krzyku!

RYSKIEWICZ. Źle robisz — światło, ruch, to rozrywa. Zresztą wiem, że nasze gusta są zupełnie różne. Ty lubisz siedzieć w kącie... Ja byłbym ciekaw przecież, o czem ty myślisz, siedząc tak bezczynnie pociemku? *(staje przed nią).* Dla mnie, człowieka pracy,

to poprostu niezrozumiałe. No powiedz, o czem ty myślisz?

JADWIGA *(z ironją)*. Wiesz co? Spreparuj mi czaszkę, może w mózgu wyczytasz.

RYSKIEWICZ. No — no — byłoby dobrze, gdybyśmy oboje tak siedzieli i myśleli! — Ładnaby przyszłość nas czekała.., zwłaszcza wobec słowności twego ojca.

JADWIGA. O proszę cię! tyleś razy mówił dziś o moim ojcu — dajże już spokój!

RYSKIEWICZ. E! moja droga — za tę krzywdę, jaką mi zrobili, to nigdy nie za mało!

JADWIGA. Krzywdę?...

RYSKIEWICZ. Tak! krzywdę!

(chwila milczenia — on stoi odwrócony twarzą do Jadwigi — smuga światła pada na niego z ulicy — widać w ich twarzach błysk strasznej wzajemnej nienawiści).

JADWIGA *(po chwili, opanowując się)*. Mój kochany, zjedz ty kolację i idź ty do cyrku.

RYSKIEWICZ, Pójdę, pójdę! nie bój się!... Wobec takiej atmosfery domowej... Pogrzeb, karawan!... *(służąca wnosi lampę zapaloną — i stawia na stole. Jadwiga idzie do szafy z bielizną — wyjmuje koszulę, kołnierzyk i zapytując machinalnie).*

JADWIGA. Jaki weźmiesz kołnierzyk? czy wykładany?

RYSKIEWICZ. Sam nie wiem! Zdaje mi się, że w wykładanym nie jest mi do twarzy...

JADWIGA. A więc?...

RYSKIEWICZ. Daj obydwa — sprobuję! *(bierze koszulę, kołnierzyk i kładzie na sofie. Służąca nakrywa do herbaty — Jadwiga machinalnie wpina spinki do gorsu i mankietów koszuli. Ryskiewicz w szafie wybiera krawat).*

SŁUŻĄCA. A tam na dole stoi Szydełkiewiczowa i płacze!

RYSKIEWICZ. Niech stoi, kiedy chce...

JADWIGA. Deszcz pada?

SŁUŻĄCA. Aha! siecze drobny... tak kłuje, ak igiełki...

RYSKIEWICZ. Przygotujcie parasol i kalosze *(zabiera koszulę gotową i wychodzi do sypialni, przymykając drzwi).*

JADWIGA *(do służącej)* Zejdź Marysiu do tej Szydełkiewiczowej i powiedz jej, że jabym chętnie zrobiła co dla nich — ale że pan ma swoją wolę i ja nic poradzić nie mogę. Proszę cię, moja kochana, idź! niech ona tam nie moknie na tym zimnym deszczu. *(Służąca wybiega. Jadwiga siada przy nakrytym już stole, na którym stoi już samowar, bułki, szklanki i opiera głowę o kant stołu z wyrazem głębokiego zmęczenia.*

SCENA CZWARTA.

JADWIGA — ANTONIEWSKA — ZOSIA.

(Zosia i Antoniewska wchodzą przez kuchnię.—Antoniewska kobieta siwa, bez żadnego wybitnego typu—odziana dość dostatnio. — Zosia ubrana według ostatniej mody, trochę upudrowana. Antoniewska niesie zawiniątko srebra w ręku).

ANTONIEWSKA. Dobry wieczór Jadziu! my przez kuchnię — nie chciałyśmy dzwonić... on w domu?

JADWIGA. Tak! ubiera się, wychodzi.

(całuje matkę i siostrę).

ANTONIEWSKA. Cóżeś taka mizerna?

JADWIGA. Ja? — nie wiem.

ZOSIA. Dajże mi szklankę herbaty, bo mi strasznie zimno.

JADWIGA. Chętnie. (*Sługa wraca*). I cóż powiedziałaś jej?

SŁUŻĄCA. Powiedziałam! Nic nie odpowiedziała — poszła! Tak płakała!

JADWIGA. A!... płakała!...

SŁUŻĄCA. A... a! deszcz i łzy tak na jedno u niej na twarzy. Ale poszła!

ANTONIEWSKA. Co to? co to?

JADWIGA. To nic! to interes mego męża.

ANTONIEWSKA. A!... jakże kamienica?

JADWIGA (*smutno*). A stawia się! stawia!

ZOSIA. Powinnaś się cieszyć! Będziesz właścicielką kamienicy, będziesz odbierać komorne!... Ten twój mąż ma głowę —no!...

ANTONIEWSKA. Bardzo zdolny człowiek!—powinnaś Bogu dziękować, dzień i noc, że go dostałaś!...

ZOSIA. Jabym także chciała mieć takiego męża. Ale to trudno!

ANTONIEWSKA. Pewnie że trudno — porządny, pracowity—nie pije, nie pali, w karty nie gra.

JADWIGA *(machinalnie)*. Tak!—*(do służącej)* Idź po szynkę — moja droga! *(daje jej pieniądze — sługa wychodzi)*.

ANTONIEWSKA. Bo jak przyszedł do nas pierwszy raz — patrzę jaką też on będzie pił herbatę i widzę — dolewa sobie śmietanki. — Myślę sobie, to dobry charakter. Lubi słodycze i mleko... I nie zawiodłam się... *(chwila milczenia)*. Gdzież on dziś idzie?

JADWIGA. Do cyrku.

ZOSIA. A ty? czemu nie idziesz?

JADWIGA. Ja wolę siedzieć w domu.

ZOSIA. Cóż będziesz robić sama?

JADWIGA. Nie wiem... będę czytać...

ANTONIEWSKA. To bardzo źle, że puszczasz twego męża samego. Choć on człowiek wyjątkowy, ale powinnaś się zastosować do tego, co on lubi... inaczej... wiesz... są rozmaite kobiety na świecie... Zresztą... rozumiesz o czem chcę mówić. Powinnaś być zawsze przy mężu.

(Jadwiga milczy).

ZOSIA. Ja wszędzie będę z mężem chodziła. Choćby mnie nawet wziąść ze sobą nie chciał, to i tak pójdę. *(Po chwili)*. Ach Boże!... żebym ja też za ten mąż poszła!...

JADWIGA *(podparta na ręku patrzy na nią)* Tak ci się spieszy?

ZOSIA. Słyszy mama? ona się pyta czy mnie się spieszy? A cóż ty myślisz, że to

zabawne być panną na wydaniu i mieć trzeci rok osiemnaście lat?

ANTONIEWSKA. A cóż innego ma kobieta robić, jak nie iść za mąż — choćby dlatego, żeby ulżyć rodzicom.

JADWIGA. Mama znów niesie srebra do zastawu?

ANTONIEWSKA. Nie — dziś właśnie wykupiłam, bo jutro mają być Poddębscy na obiedzie. Mają podobno na wsi brata... może tam co będzie i uda się dla Zosi. — Pojutrze znów srebro zaniosę. — No... co mam robić? Pod koniec miesiąca nigdy nie wystarczy, a ojciec, znasz go — żeby pokrajać go w kawałki, grosza nad to, co daje, nie dołoży. — Daje 70 rubli, płaci sługę, kupuje węgiel, herbatę...

JADWIGA. Kawa do mamy należy...

ANTONIEWSKA. Naturalnie... ciężko... goście... (*wskazując na Zosię*). Panna na wydaniu!... Czasem trzeba kotlet do herbaty, czasem wino... Ojciec o niczem słyszeć nie chce. (*Zapalając się*). No... sam mnie do tego zmusza! (*Orjentując się*). Ale... ty tak nigdy nie rób!

JADWIGA. Choćbym chciała nie mogę. Wszak to, co dostałam, nie srebro, ale platerowane.

ANTONIEWSKA *(zmieszana)*. Ach!... już sprawdziłaś?

JADWIGA. Nie ja, ale mój mąż.

ANTONIEWSKA (*coraz więcej się irytując*). Nie bardzo delikatnie z jego strony. Sam nic nie miał!... Frak sprawiliśmy do ślubu... meble daliśmy, wszystko.

(milczenie).

JADWIGA. Niech mama je! Jedz Zosiu!

(podsuwa szynkę):

ANTONIEWSKA. Zresztą to jest grubo srebrzone.

JADWIGA. Ale dobrze — proszę mamy — niech mama o tem nie mówi. Ja przecież nigdy tej kwestji nie wszczynałam, tylko mama sama zaczęła o zastawianiu srebra, a więc...

ANTONIEWSKA. Przyjemność mieć córkę i zamąż wydawać

(milczenie).

SCENA PIĄTA.

TEŻ — RYSKIEWICZ.

(Ryskiewicz ubrany w anglez, czysty kołnierzyk, krawat, uczesany, dojrzawszy Antoniewską, i Zosię, mruży oczy, odyma się i podaje im rękę w milczeniu. Poczem siada do stołu, patrzy ironicznie na szynkę i masło — i stuka w talerz—do sługi, która głowę wychyla z za drzwi:

RYSKIEWICZ. Moja kolacja?

(sługa wnosi kolację, Jadwiga wyjmuje z kredensu musztardę—wódkę i stawia przed nim—siada—wszyscy milczą):

ANTONIEWSKA. Pan podobno idzie do cyrku?

RYSKIEWICZ. Tak... ale się pewno spóźnię.

ANTONIEWSKA. O! nie krępuj się nami.

RYSKIEWICZ. Nie to—tylko u nas nigdy na czas nic niema. Godzinę czekałem na lampę. Ale... (*zakładając pompatycznie nogę*) Ja się już do tego przyzwyczaiłem...

ANTONIEWSKA. Kasia jest niedbała...

RYSKIEWICZ. Lampy należą do pani domu.

ANTONIEWSKA. No tak!... Prawda!

(milczenie).

RYSKIEWICZ *przysuwa sobie szynkę i przypatruje jej się*) Gdzie to brane?

JADWIGA. Niewiem.

(Ryskiewicz uśmiecha się ironicznie i odstawia szynkę).

ANTONIEWSKA. Jakże z kamienicą?

RYSKIEWICZ. Pod dachem.

ANTONIEWSKA. O!... o!... jak prędko!

RYSKIEWICZ. Byłoby prędzej, gdybym miał kapitał. Tak — trochę ciężko bić się z przeciwnościami, ale i do tego trzeba przywyknąć.

ANTONIEWSKA. Kto ma tyle co pan sprytu do interesów...

RYSKIEWICZ (*pijąc herbatę*). Konieczność zmusza do tego!... bezrząd w domu... ale to bardzo naturalne... podstawa wychowania błędna... przyzwyczajenia nad stan...

ZOSIA (*po cichu do matki*). Mamo! chodźmy już...

ANTONIEWSKA (*zmieszana*), Tak... tak... już pójdziemy, nie będziemy przeszkadzać. Jadzia jakaś nieswoja.

RYSKIEWICZ. Przeciwnie, to jest jej zwykły domowy humor. Do tego się trzeba przyzwyczaić.

ANTONIEWSKA. To źle, Jadziu — tak nie można — trzeba rozweselić dom mężowi, uprzyjemnić... Rzeczywiście — taki masz dziwny humor!

(Jadwiga oparta na ręku, patrzy apatycznie na matkę i na męża).

ANTONIEWSKA. Jeżeli jesteś chora, to się lecz — ale rzeczywiście...

RYSKIEWICZ. Ona wiecznie chora...

JADWIGA (*j. w.*) Zdaje mi się jednak, że na doktora nie wydajemy wiele pieniędzy.

ANTONIEWSKA. Bardzo dobrze, nie warto! Trochę energji — patrz na mnie — pięćdziesiątka minęła a ruszam się jakoś, muszę... ot dla Zosi...

JADWIGA (*j. w.*). Ja nie mam dzieci.

ANTONIEWSKA. Ale masz męża i powinnaś dbać, aby mu życie uprzyjemnić. Zosia! chodź!—ojciec tam od pięciu godzin sam siedzi w domu. Dobranoc! dobranoc. Wesołej zabawy. (*do Jadwigi półgłosem*). Daj spo-

kój, nie igraj, nie grzesz! Masz męża wzorowego, nie zrażaj go do siebie! My wyjdziemy przez kuchnię — nie trzeba świecić.

(wychodzi z Zosią).

SCENA SZÓSTA.

RYSKIEWICZ. JADWIGA.

RYSKIEWICZ. Winszuję! winszuję!

JADWIGA. Czego znowu?

RYSKIEWICZ. Widocznie dużo pieniędzy pozostało do pierwszego, skoro takie przyjęcie można urządzać.

JADWIGA. To trudno — przyszły — musiałam je czemś przyjąć.

RYSKIEWICZ. Jakbyś nie zapraszała, to by się nie przywłóczyły!

JADWIGA. Bądź pewien, że ja ich nie proszę.

RYSKIEWICZ. A wiem — wiem — ty nie masz serca dla nikogo — nawet dla swych najbliższych.

JADWIGA. Nie mam, bo mi mieć nie wolno.

RYSKIEWICZ. Może ja ci w tem przeszkadzam?

JADWIGA. To, co w tej chwili słyszę, jest wystarczające...

RYSKIEWICZ. Znieść nie mogę tych dwóch próżniaczek, które włóczą się cały dzień Bóg wie gdzie... Ale to ja, a ty jako córka i siostra powinnaś mieć trochę więcej przywiązania do swej rodziny.

JADWIGA. W jaki sposób mogę je okazać?

RYSKIEWICZ. Nie wyrzucaniem pieniędzy na szynkę...

JADWIGA. Słuchaj, .. daj ty mi spokój z tą szynką, to takie małe, takie nizkie, takie żadne!.. gdybyś ty to wiedział, gdybyś ty to czuł...

RYSKIEWICZ. Wzniosłe, szlachetne i wielkie byłoby, gdybym ci dawał niewiem jakie sumy, na utrzymanie domu. — O!... tak, tobie wszystko byłoby jedno, gdybym się nawet zapracował. Wół roboczy!...

SŁUŻĄCA. Ta znów wróciła i stoi przed bramą!

RYSKIEWICZ (*w pasji*). Wyrzuć ją!

JADWIGA. Z ulicy? przecież ulica dla wszystkich!

RYSKIEWICZ. Szelma jedna, czego ona tu chce?

JADWIGA. Czeka na swego męża.

RYSKIEWICZ. Jakiem prawem? Cóż to — Szydełkiewicz tu mieszka, czy co... (*siada na krześle już ubrany i kładzie z furją kapelusz na stole*). To jest doprawdy straszne! Człowiek uczciwy musi — siedzieć oblężony przez gro-

madę łotrów i wyzyskiwaczy, (*do Jadwigi, która zbliża się do okna i patrzy na ulicę*). Tak... człowiek uczciwy! Niemam sobie nic do wyrzucenia. Gdy kosztorys zrobił — przyjąłem — więc czego chce?

JĄDWIGA. Jeżeli czujesz swe sumienie czyste, dlaczego czekasz? Stań oko w oko z tą kobietą...

RYSKIEWICZ. Jeżeli zechcę, to pójdę... Ej moja pani!.. Coś mi tak wygląda, że ty zaczynasz poddawać w wątpliwość moją uczciwość.

JADWIGA (*z wyczerpaniem*). Ależ nie—nie! to wiadoma rzecz. Jesteś bardzo uczciwy, czynny, zapobiegliwy, energiczny. Czy jesteś zadowolony?

RYSKIEWICZ (*z uśmiechem ironji*). Dobrze czuję, co się tam kryje! Nie zdurysz aptykara szejdwaszom! Wystarczy, ażeby twoja mamcia przeszła tędy, a odrazu czuć nienawiść do mnie. O! wiem co mi powiesz... mamcia! ciebie bardzo lubi, bardzo chwali!... Naturalnie — boi się mnie — dlatego.

JADWIGA. Boi się?

RYSKIEWICZ. Jak każdy człowiek fałszywy człowieka prawego, jakim ja jestem!... (*idzie do komody*). Gdzie moja woda kolońska? O!... już ubyło!... Przysięgnę, że to ten tłomok Kaśka zużywa ją dla siebie (*zaznacza ołówkiem*). Tak... teraz będę wiedział! Więc mówiłem, że matka twoja boi się mej prawości!... Ja i wy, to dwa światy. Ja człowiek prawy, a wy... kapitali-

ścił... arystokracja!... Tylko... że ja niemam wielkopańskich nawyczek. — (*po chwili*). Co? stoi jeszcze? Ha? — (*milczenie*) Kaśka! wołaj dorożkę, a wybieraj porządną, nie jakie zdychające chabety!

(chodzi po pokoju skrzypiąc butami, zegar wydzwania siódmą. Długie milczenie. Ryskiewicz zbliża się do stołu i je szynkę z talerza. Jadwiga odwraca się i patrzy na niego).

RYSKIEWICZ. Co się patrzysz? co?... chodzi ci o szynkę?... No więc cóż — wiem, że się zmarnuje, jak wszystko u nas, wolę więc zjeść sam... Chciałbym zobaczyć tego szczęśliwca, którego twoja matka dla panny Zosi na męża wynajdzie. Biedny człowiek! no!...

(turkot):

JADWIGA. Dorożka!...

(idzie do szafy, wyjmuje parasol i daje mu).

RYSKIEWICZ (*kwaśno*). Mogłabyś mi pożyczyć swojego, wyprawowego... przecież ci go nie zjem! Jedna porządna rzecz, którą ci na wyprawę dali.

JADWIGA. Właśnie ci go podaję.

RYSKIEWICZ. Jeżeli jednak sądzisz, że mi robisz tem łaskę?..

JADWIGA (*opiera się o ścianę*). Jeżeli ma się znów zacząć to samo, co z szynką...

RYSKIEWICZ. Niby aluzja do tego żem zjadł szynkę? I to ja jestem w swoim domu!... To skandal — (*spogląda na Jadwigę i dostrzega*

łzy w jej oczach). Czegóż znowu?... Cóż to? beki?

JADWIGA. Nie — tylko widzisz te drobnostki — to tak męczy. —

RYSKIEWICZ. Trudno, moja pani. Z drobnostek się życie składa, nie z wielkich rzeczy. Ja jestem człowiek drobnostkowy. Tak mnie wychowali i jestem za to wdzięczny moim rodzicom. Tylko ludzie zwracający uwagi na drobnostki mają solidny charakter. — U was w domu wszystko się odnosiło do wielkich rzeczy, do wielkich kwestji, a w tem nie leży rdzeń życia... (*całuje ją w powietrzu*). Dobranoc! A!... jeżeli tu przyjdzie Korski, bo i to może być — powiedz mu. że jutro zajdę do jego kancelarji rano — powtórnie. Dziś go nie zastałem! Kasia idź naprzód... i... gadaj z tą Szydełkiewiczową, jak będę wsiadał do dorożki! (*do Jadwigi*). A przygotuj mi dwie szklanki herbaty z cytryną gdy wrócę i trzeba tam przyszyć wieszadło do mej kurtki, bo się oberwało! (*wychodzi*).

Jadwiga zostaje sama, oddycha głęboko, wyprostowuje się, siada przy stole, opiera głowę na ręku i siedzi tak długą chwilę jak martwa. Wraca Kasia — chodzi cicho — wreszcie zbliża się do stołu.)

SŁUŻĄCA. Może mi pani da kolację!...

Jadwiga wstaje. kraje chleb, smaruje masłem, bierze cukier, kładzie szynkę na chleb i daje służącej).

SŁUŻĄCA. Może pani zostawić szynkę na śniadanie?

JADWIGA (*zdenerwowana*). Ach! weźże tę szynkę i niech więcej o niej nie słyszę! —

SŁUŻĄCA. A ta Szydełkiewiczowa nie chce odejść! Ona mówi, że jej mąż to może sobie co zrobić złego — tak strasznie mu ciężko przez tę kamienicę, co ją dla państwa stawia.

JADWIGA (*opierając czoło na stole*). Proszę cię, nie mów mi o tem.

SŁUŻĄCA (*po cichu*). A proszę pani, jakże będzie z tą peleryną?

JADWIGA. Z jaką?

SŁUŻĄCA. No,,. z tą, co pani chciała sprzedać...

JADWIGA (*odgarniając włosy z czoła*). A tak tak... prawda — zapomniałam... No i co? no i co?

SŁUŻĄCA. Ano ja wynalazłam taką, co kupi. Tylko że to...

JADWIGA. Tylko, że co?

SŁUŻĄCA Że to niby taka... nic porządnego... To może pani nie zechce sprzedać. Choć to znów nie jest coś tak bardzo... a nie! To nawet była podobno mężatka... Ona niby pończochy robi — ma maszynę u siebie... A może to ona ma to wszystko z tych pończoch... Co to można wiedzieć. Ludzie tak ludzi obmawiają. Tylko niby, że bo ona chce obejrzeć tę pelerynę.

JADWIGA. To jej weź i zanieś.

SŁUŻĄCA. E! proszę wielmożnej pani — to lepiej nie, — Ja się tam boję — albo z rąk mi wydrze, albo powie, że później zapłaci, a nie da... Najlepiej niechaj tu przyjdzie... Teraz ciemno, nikt ją nie zobaczy. Ona tu mieszka w drugiej kamienicy.

JADWIGA. Ale...

SŁUŻĄCA. Pan już pojechał dawno — stróżka u maglarki. Ja ją bez kuchenne schody przyprowadzę.

JADWIGA. No to idź!... (*po chwili z zaambarasowaniem*). A niech pieniądze najlepiej ze sobą przyniesie... idź.

(służąca wybiega).

SCENA SIÓDMA.

JADWIGA — później RÓZIA i SŁUŻĄCA.

(Jadwiga chwilę siedzi jeszcze nieruchoma — potem wydobywa portmonetkę — liczy pieniądze — idzie do kredensu, przegląda masło — butelkę z wódką, zagląda do puszki z herbatą i wraca zgnębiona do stołu — potem idzie do szafy, wyjmuje pelerynę z kołnierzem z czarnych kóz tybetańskich i rozczesuje futro palcami i rozwiesza je na krześle. W kuchni słychać głosy — wreszcie otwierają się drzwi — pojawia się służąca w chustce i Rózia w matince flanelowej niebieskiej — w czarnej spódnicy — narzucona rotunda i chusteczka włóczkowa na głowę — uczesana nadzwyczaj elegancko i starannie).

(Jadwiga szybko spogląda na Rózię, cofa wzrok i stoi przy stole).

SŁUŻĄCA. Proszę pani, to jest ta panna!

JADWIGA. Pokaż... pelerynę!...

RÓZIA. (*idzie po pelerynę — ogląda ją, podciąga nosem i mówi*) Ale... to niemodne!... (*milczenie*) Przecież już teraz takich kołnierzów nie noszą (*milczenie*) A... jakie! i tu wyświechtane... o, jak się to świeci. Ileż to za to?

JADWIGA. Kasiu powieś pelerynę w szafie!

RÓZIA. Czemu? niech ja lepiej obejrzę, Przecie ja pani lepiej zapłacę jak żydówka, bo taka handełeska co to da za to... jeszcze jak widzi, że kto potrzebujący.

JADWIGA. (*przygryzając usta*). Ja sprzedaję tę pelerynę dlatego, że mam dużo innych okryć i wisi bezużytecznie w szafie.

RÓZIA. No — jakby pani pieniędzy niepotrzebowała, to przecież by ją pani darowała. — O! (*pokazuje na służącą*) choćby tej pannie

SŁUŻĄCA. Hi! hi! hi! Jakbym to ja w tem wyglądała!

RÓZIA. O jej!... jak każda z nas (*daje kuksa w bok słudze*) co to niby pannie brak!

JADWIGA. (*zdenerwowana*) Więc czy pani kupuje — czy nie?

RÓZIA. Zaraz zobaczę, tylko czy włos nie lezie. Bo to proszę pani ja pani uczciwemi pieniędzni zapłacę, to przecież musze uczciwy towar kupić! (*zarzuca nu siebie pelerynę*) Dobra! A do twarzy mi, co? (*z uśmiechem*

zwraca się ku Jadwidze. Światło lampy pada na jej biało-różową twarzyczkę i złote włosy). Jadwiga mimowoli uśmiecha się do niej.

JADWIGA. Do twarzy pani.

RÓZIA. Bo ja staram się tak zawsze ubrać, żeby mi było ładnie. Jak mam co nowego, to się ogromnie cieszę. Nie mogę spać i doczekać się tej chwili, żeby się w to ubrać! Bardzo się lubię stroić. Ale mi się zdaje, że to tak każda kobieta. Pani — nie?

JADWIGA. Mnie wszystko jedno.

RÓZIA. (*ciągle w pelerynie*), E! to pani tak mówi. Ja także tak mówiłam jak byłam za mężem (*ośmielając się coraz bardziej*) nie miałam do niczego chęci. Dopiero jak się z nim rozstałam, to mi się dobry humor wrócił.— Maszynistą był przy kolei — skąpy — wiecznie mi każdy grosz wytykał... Ciągle tak się w drobiażdżkach grzebał — i mnie to zjadło. Ja niemam takiej natury... Niby był bardzo poczciwy, ale ja... To proszę pani, ile za tą pelerynę? Tylko niech pani dużo nie mówi! moja złota pani... Teraz pieniądz taki rzadki... no — ile? (*służąca wysuwa się do kuchni*).

JADWIGA. (*powoli, patrząc na Rózię*). Pani się rozstała z mężem?

RÓZIA. A cóżem miała z nim siedzieć? Nie zgadzaliśmy się i rozeszli. Raz człowiek żyje i ma to sobie życie zatruwać?... No—proszę pani, to ile pani chce za tę okryjbidę? —

JADWIGA. Ale że się pani mąż zgodził tak panią puścić. Pani taka młoda, ładna... musiała pani przecież być dobra.

RÓZIA. Gdzie tam! On mnie sobą tak drażnił, że ja byłam przy nim bardzo zła tak niby jako żona — bo co do uczciwości, to... (*spuszcza głowę, chwilę milczy, podnosi oczy, spotyka wzrok Jadwigi—oczy jej zachodzą mgłą—powoli zesuwa z ramion pelerynę i mówi cichszym, szlachetniejszym tonem*). Może pani ta peleryna potrzebna, to ja się jej znów nie napieram.

JADWIGA. (*szybko*). Przeciwnie. Chodzi mi o to, żeby ją sprzedać.

RÓZIA. Tak — napewno? — bo ja niechciałabym nigdy drugiej kobiecie jaką przykrość zrobić. Weźmie pani za tę pelerynę: piętnaście rubli?

JADWIGA. Dwadzieścia pięć — nie mogę inaczej.

RÓZIA. Ja wiem, pani, ona warta tyle. Mnie Pan Bóg poszczęścił, że ja mam kilka rzeczy bardzo nawet, wcale, wcale — bo ja się znam. Ale widzi pani jak się kupuje coś starego, to się zawsze chce coś urwać.

JADWIGA (*wyczerpana, przykładając ręce do płonących policzków*). Niech pani da dwadzieścia rubli i weźmie pelerynę.

RÓZIA (*rozwiązuje supełek chustki*). Tu proszę pani dwadzieścia pięć rubli.

JADWIGA (*zaambarasowana*). Nie mogę pani wydać reszty. Mam tylko cztery ruble nie całe .. (*oczy jej spotykają się z oczami Rózi — wyprostowuje się*) drobnemi. — Mam tylko same storublówki.

RÓZIA. Tak!... tak!... no to służąca jutro mi resztę odniesie... (*ubiera się w pelerynę*). Ja tak pójdę... Pani mi pokaże, jak to się zapina.

JADWIGA (*postępuje dwa kroki, ale zatrzymuje się, i z mimowolnym wstrętem cofa ręce*). Tam jest klamra...

RÓZIA (*która odczuła gest Jadwigi*). Tak... tak... przepraszam panią... że ja... Tu leżą pieniądze. Dobranoc pani.

JADWIGA (*chcąc wynagrodzić poprzedni postępek*). Dobranoc... służąca panią odprowadzi.

RÓZIA (*zatrzymuje się w progu*). Mnie?... (*otwiera szeroko oczy*) Po co?...

JADWIGA. Tak — późno... ciemno... (*zatrzymuje się zmieszana.*

RÓZIA (*po chwili milczenia*). Pani jest bardzo grzeczna... Dobranoc pani... (*wychodzi powoli ze spuszczoną głową*).

SCENA ÓSMĄ.

JADWIGA — KASIA.

JADWIGA (*patrzy na nią, potem zbliża się do stołu, chcąc wziąść banknot — kurczy nerwowo palce i woła*). Kasiu!

UJK Biblioteka Główna w Kielcach

SŁUŻĄCA. No co? kupiła? Ja wiedziałam, że ona kupi. Choć to szkoda — taka ładna peleryna'...

JADWIGA. Kasiu, weź te pieniądze i zmień zaraz — kup dwie cytryny dla pana do herbaty, a tej pannie odnieś pięć rubli

SŁUŻĄCA. Pani jej to za dwadzieścia rubli sprzedała?

JADWIGA. Ach! proszę cię, nie męcz mnie swojem gadaniem. Głowa mnie boli'

SŁUŻĄCA. A węgle?

JADWIGA. Masz tu klucz od piwnicy — idź sobie sama (*daje klucze*).

(służąca wychodzi. Jadwiga zakłada abażur na lampę zielony; światło w kanale zmienia się na zielone, przysuwa fotel do stołu i siada na nim wygodnie — owija się pledem. Zamyka oczy i pozostaje tak nieruchoma. Słychać szmer deszczu, bijącego o szyby. Przez drzwi kuchenne wsuwa głowę Korski w palcie z podniesionym kołnierzem).

SCENA DZIEWIĄTA.

JADWIGA — KORSKI.

JADWIGA (*drgnęła, spostrzega Korskiego*). Pan? tędy?

KORSKI. Spotkałem służącą w bramie — powiedziała mi — że pani sama — nie chciałem deranżować. Zresztą ja i tak na chwilę.

JADWIGA. Ale proszę! wejdź pan!... (*Korski się cofa, za chwilę wchodzi bez palta z chustką fularową na szyi — wita Jadwigę uściśnieniem dłoni, ona zażenowana bierze lampę*).

JADWIGA. Chodźmy do salonu. Ale tam zimno... nie palone jeszcze wcale...

KORSKI. Po co do salonu? Posiedźmy tutaj. Ja wiem, że państwo macie „salon".

JADWIGA. Dla mnie mógłby nie istnieć, to mąż...

KORSKI. Ja wiem, że pani ma bardzo skromne gusta. Znając rodzinę pani — to mnie bardzo dziwi.

JADWIGA (*z uśmiechem*). O! tylko proszę, nie mów pan o mojej rodzinie...

KORSKI. Dlaczego? bardzo miły dom.

JADWIGA. Tak... ale ja się tyle o nich właśnie nasłuchałam.

KORSKI. Może są jeszcze jakie przedmioty na indeksie?

JADWIGA. Wszystkie... drobiazgi.

KORSKI. To bardzo ogólne określenie. Co pani nazywa drobiazgami?

JADWIGA (*pokazując na około siebie*). O to!... to!... to wszystko, co jest konieczne do drobiazgowej egzystencji.

KORSKI. Jednem słowem drobiazgi panią przygniotły? (*Jadwiga milczy — Korski bierze*

krzesło i mówi). Może usiądziemy? bo — choć mnie pani nie prosi, ale tam na dworze taka zawieja, tak brzydko, że ja z przyjemnością przytulę się tu, do tego cichego kącika, pomiędzy te drobiazgi, które w takiej chwili mogą urość do potęgi rzeczy pięknych a nawet wielkich... (*siadają*). Nie rozumie pani tego? Ot... niech pani patrzy — abażur na lampie filtruje delikatnie zielone światło. — Znużone oczy patrzeniem na jaskrawy blask dzienny, wypoczywają i jakaś równowaga wkrada się powoli do naszej duszy. — No? czy nie tak?... Czy nie po to założyłaś pani tę seledynową zasłonę? Ja zawsze szukam przyczyny, powodu...

JADWIGA (*delikatnie, uśmiechając się*). To pana zawód!

KORSKI. Nie przypominaj mi pani mego zawodu. W tej chwili chcę być tylko istotą ludzką, zmęczoną tylko nie drobiazgami jak pani, ale rzeczami wielkiemi! Tak, tak—wielkiemi. Ja dziś broniłem kogoś, co fałszował weksle...

JADWIGA (*patrząc na niego poważnie*). I obroniłeś go?

KORSKI. Obroniłem! — Bo ja znów szukałem przyczyny i wiem, że ten nizki, mały czyn spowodowany był ogromem wielkich przyczyn. Roztrząsnąłem cały szmat życia ludzkiego — doszukałem się prawdy. Czułem, żo mogłem bronić mego klijenta! — niech się pani na mnie tak nie patrzy —

niech pani mi lepiej naleje herbaty. (*Jadwiga wstaje, nalewa mu herbatę — on siedzi zadowolony — po chwili przypomina sobie*). Ale... gdzie mąż?

JADWIGA. Poszedł do cyrku.

KORSKI. W taką porę? Czy nie lepiej było mu odpocząć w domu?

JADWIGA. On właśnie poszedł odpoczywać.

KORSKI. W cyrku? Oryginalne? Ja wogóle podziwiam Stefana. Ruch — czynność ciągła. — Jaskrawość dziwna nawet w odpoczynku. Taki był zawsze jeszcze w szkołach. I ta rzutność w interesach. Imponuje mi. A pani? —

JADWIGA (*spokojnie*). O! i mnie imponuje.

KORSKI. Naturalnie — że naturze więcej skoncentrowanej takiej jak pani — to taka żywotność, przelewająca się przez brzegi, imponuje. Ja panią rozumiem, bo my mamy dużo wspólnego oboje. Tylko mnie życie zmusza do nerwowych wysiłków i przez to bardziej żyje zewnętrznie. Ale za to jakiż jestem szczęśliwy, gdy tak jak w tej chwili — po całodziennej walce z samym sobą znajdę się wśród czterech ścian, wyciągnę się w fotelu i pozwolę być sobie — sobą!

JADWIGA. Tak... to wielkie szczęście w życiu módz być sobą.

KORSKI. Chyba na to pani użalać się nie możesz. Życie twoje jest tak równe, tak spokojne... a te drobiazgi, które cię nużą, to przecież łatwo usunąć się dają. —

JADWIGA (*po chwili prawie martwym głosem*). Tak... masz pan rację. Łatwo!

KORSKI. Bo Stefek to chyba nie przeszkadza... Wiecznie zajęty, wiecznie czynny. To bardzo prawa natura.

JADWIGA (*po chwili*). Czy... pan wchodząc tu do bramy, nie zauważyłeś jakiej kobiety?

KORSKI. A... prawda!... jakaś kobieta w chustce na głowie podbiegła ku mnie — zajrzała mi w oczy, a potem powiedziała: „przepraszam"! i wróciła znów pod ścianę.

JADWIGA (*cicho*). Wróciła!... pod ścianę... A... deszcz pada?

KORSKI. Leje jak z cebra! (*Jadwiga wstaje, idzie do okna i patrzy jakby usiłowała przebić wzrokiem ciemności*). Co pani tam szuka w tej ciemnicy?

JADWIGA (*stojąc ciągle przy oknie*). Szukam prawości niektórych dusz!

KORSKI. Nie rozumiem panią.

JADWIGA. I nie staraj się pan zrozumieć. (*wraca do lampy i siada*). Tak... masz pan rację — tu pod tą lampą byłoby zacisznie i spokojnie, gdyby...

KORSKI. Gdyby co?

JADWIGA. Gdyby można było zapomnieć o wielu, wielu rzeczach.

KORSKI. Trzeba zapomnieć. Trzeba się odgraniczyć od wszystkiego, powiedzieć sobie — wchodzę w krąg świetlany i przebywam w nim rozkosznie sam, odcięty tak od drobiazgów, jak i od wielkich rzeczy.

JADWIGA. Wam mężczyznom to łatwiej— nam kobietom trudniej.

KORSKI. Same jesteście temu winne! Nie mówię tego do pani, bo ty jesteś w wyjątkowej sytuacji. Wyszłaś za mąż może nie tak bardzo świetnie majątkowo, ale moralnie chyba żalić się nie masz prawa.

JADWIGA. Czy ja się żalę?

KORSKI. Ale te inne, te które całe życie narzekają, dręczą się, męczą, piekło czynią sobie i mężom— dlaczego nie mają dość siły, aby pójść sobie z tego domu, który jest dla nich klatką, więzieniem — Bóg wie czem — ale nie domem — (*zapala się po adwokacku*). Daruj pani — ale takie kobiety nie zasługują na współczucie. Jakto? stworzenie ludzkie przez pomyłkę zostało skute na całe życie z drugiem stworzeniem, które popełniło taką samą pomyłkę! I oto — tragedja... (*i mimowoli przejęty tematem zaczyna wykonywać gesta adwokackie—wskazując na ściany pokoju*) Tragedja mała domowa, a mimo to prawdziwa straszna tragedja!—Oto dom, oto ognisko rodzinne! Dwoje ludzi spętanych przysięgą pod tym jednym dachem rwie się i potrząsa łańcuchem. Pa-

dają słowa bolesne, straszne—z początku nic dogryzki, ironja, szyderstwa, potem coraz boleśniejsze, coraz ostrzejsze, wreszcie raz, drugi — pada słowo niecofnione, które pozostaje w głębi dusz na zawsze. I skuci, złączeni spoglądają na siebie wzrokiem nienawiści — patrzą — rozumieją — odczuwają — **widzą się nareszcie.** Widzą się! Czy pani to rozumie?—Nie, pani tego zrozumieć nie może, ale to straszne zobaczyć tak bez iluzji—przejrzyć czyjąś duszę — wszystkie jej skazy, jej słabość, zboczenia—kto wie—występki i zbrodnie... A łańcuch trwa... mocny, niewzruszony... Najczęściej — jedno ustępuje — kryje się — i tylko patrzy z boku jak wróg jego zabiera coraz szersze, coraz większe miejsca.

(Jadwiga przymyka oczy — siedzi pobladła nieruchoma — poczem zwolna poczynają jej spływać z pod przymkniętych powiek łzy).

KORSKI. Ustępuje to, które ma więcej duszy, więcej pychy, które jest subtelniejsze i delikatniejsze — któremu chodzi o zabezpieczenie swego ja duchowego choć w części małej i ocalenie się od inwazji wrogiej i fatalnej. Lecz jakie jest życie takiej istoty? Wieczna walka, to ciągłe unoszenie swej duszy z poza ścian znienawidzonego wnętrza. A to wyczerpie... wyczerpać musi! (*spostrzegając Jadwigi łzy i bladość*). Co pani? (*z zadowoleniem*) Czy to moja wymowa sprawiła na pani takie wrażenie? To mi się nieraz podczas moich obron zdarza.

JADWIGA. (*ocierając oczy, z wysiłkiem*). Nic...

nic... nie zważaj pan... ten obraz, jaki mi pan przedstawiłeś, wruszył mnie do głębi — bo... ja mam kogoś, jedną z moich przyjaciółek, o! serdecznych, która jest w podobnem położeniu!...

KORSKI. Dlaczego się nie rozwiedzie?

JADWIGA. (*spoglądając na niego, jakby piorunem rażona*) Dlaczego się nie rozwiedzie?

KORSKI. Naturalnie! Niechże pani pomyśli, że taka kobieta jeśli już przyszła do samopoznania i odczuła w czem leży przyczyna jej nieszczęścia, powinna się poczuć człowiekiem wolnym i wyrzec się serwilizmu. Na cóż jest rozwód? a w ostateczności separacja?

JADWIGA. Tak — tak — zapewne... ale to przecież nie łatwo!

KORSKI. (*zapalając się znów*) Wszystko jest łatwo, gdy ktoś czegoś pragnie całą siłą. Prawo broni przecież wolności kobiet i ustanowiono punkta, które pozwalają im wydostać się z małżeństwa, które szczęścia nie przynosi. Każden człowiek ma obowiązek względem swojej duszy i kobieta tak samo winna ocalić się od zguby—a zresztą jest to obowiązek sumienia...

JADWIGA. Pan mówisz... sumienia?

KORSKI. Naturalnie! Wszak lepiej sto razy rozejść się, niż siać zgorszenie—złem pożyciem... A dzieci? Ofiary złego pożycia rodziców?—Czyż względem nich niema się obo-

wiązku oszczędzania im widoku gorszących scen w pożyciu małżeńskiem.

JADWIGA (*cicho*). A jeśli dzieci niema...

KORSKI. Tem łatwiej i tem prędzej powinno się zerwać związki, które są katorgą. Skoro pani kiedy zobaczy tę swoją przyjaciółkę — niech jej to pani powie. Niech pani na nią wpłynie, aby stała się człowiekiem wolnym, silnym, samoistnym i samodzielnym. Tylko wtedy kobiety będą miały prawo mówić o równouprawnieniu, jeśli dbać będą o los własnych dusz i o swą godność cielesną. Niewolnica?... ależ to przesąd! Niema niewolnic — chyba same być niemi chcecie.

(Jadwiga zamyślona siedzi nieruchoma).

KORSKI (*mówi dalej*). Tak... tak... ja mam rację!

JADWIGA (*po chwili*). A taki rozwód to dużo kosztuje?

KORSKI. Zapewne. (*z energją adwokacką*). Ale kto koszta oblicza, gdy chodzi o uratowanie szczęścia całego życia? — I tu... widać drobiazgowość kobiecą. O! ile kosztuje... Lepiej cierpieć całe życie, niż wydać pieniądze... Oj kobiety' kobiety' (*wstaje, idzie do okna — patrzy przez szybę*). Pani wie — ta kobieta ciągle stoi... nieruchoma — ledwo dostrzec ją można... ale ja mam bardzo dobry wzrok... (*Jadwiga zasłania twarz rękami i tuli się do stołu, Korski do niej podchodzi*). Co Pani?... Czy pani tę kobietę zna?

JADWIGA. Nie — nie — ale ta myśl o niej... deszcz pada... ona tak długo już tam stoi — musi być cała przemokła...

KORSKI. Jaka pani nerwowa! Co to panią ostatecznie obchodzi.

JADWIGA (*w rozdrażnieniu*). Niewiem... ale w tej chwili czuję się przerażona i wyczerpana... One obie dręczą mnie... obie... ta na dole tam... i ta — tu, przedemną...

KORSKI. Która — druga? — Nie rozumiem... tu niema nikogo.

JADWIGA. Bo pan jej nie widzisz. Ale ja ją zawsze widzieć będę jak stoi przedemną taka młoda, taka biała, różowa — z tem uśmiechem na ustach, a potem nagle taka smutna.

KORSKI. Nie wiem o kim pani mówi...

JADWIGA. O kobiecie... o jeszcze jednej kobiecie. Bo i to była kobieta — taka jak ta, która tam w ciemności czeka na dole, taka jak ja... i to wszystko są nędze kobiece... i bolą mnie, bolą mnie...

(opiera głowę o stół i płacze).

KORSKI. Pani Jadwigo — czy nie możesz wytłomaczyć się jaśniej?

JADWIGA. Nie — nie. A potem we mnie chaos... wiem tylko, że mnie boli to, co tamte boli.

KORSKI. Mam żal do tych nieznanych. Zamąciły nam spokój. Weszły niepotrzebnie w nasz krąg świetlany.

JADWIGA. Gdyby... ale one są w cieniu i przez to są straszniejsze. Przeczuwam je obie, jak dwa cienie...

(zamyka oczy i siedzi nieruchomo — długa chwila milczenia).

KORSKI (*niskim i cichym głosem*). Podziwiam w tej chwili rzecz piękną i wzniosłą. Mam dowód kobiecej, jakby tu powiedzieć, konfraternji bólu. — Pani cierpisz — cierpieniem dwóch nieznanych kobiet, jakkolwiek winy twej w przyczynie ich smutku niema.

JADWIGA (*z zamkniętemi oczami*). O! być przyczyną takich smutków byłoby zbyt straszne.

KORSKI. I myślę, że musi to być sensacja niezwykła.

JADWIGA (*jakby zbudzona*). A... pan mówisz w tej chwili o sensacji?

KORSKI (*zamyślając się*). Tak. Dla kogóś kto jak pani zna smutek tylko w teorji to odczuwanie smutku drugich musi być pewną łagodną sensacją.

JADWIGA (*patrząc na niego i mówi spokojnie ocierając oczy*). Pan mnie nie rozumie.

KORSKI (*żywo*) Ale przeciwnie. Ja wyczuwam niemal wszystko, co się w pani dzieje.

JADWIGA (*ze smutnym uśmiechem*) Nie!

KORSKI. Przynajmniej pragnę.

JADWIGA. Po co?

KORSKI. Nie wiem... tak!

(patrzą chwilę na siebie w świetle lampy).

JADWIGA (*po chwili, opierając twarz na złożonych rękach*). Jak cicho.

KORSKI. Jak miło.

JADWIGA. Gdyby nie...

KORSKI. Ach tak... powraca pani myślą do poprzedniego wrażenia. Lecz nie. Daj pani spokój. Umiej pani wejść w kompromis z życiem.

JADWIGA (*głucho*). Nie robię nic innego.

KORSKI. Przeciwnie, martwisz się — troskasz smutkiem innych, gdy swego nie masz. Weź tylko piękność smutku i przystrój się w niego jak w czarne irysy.

JADWIGA (*wstaje i podchodzi do okna*). Nie widzę nic! latarnie zgaszono.

KORSKI. Chodź pani w krąg świetlany. To twoje miejsce — nie schodź w cień.

JADWIGA (*odwracając się od okna*). Co pan wiesz! co pan wiesz...

KORSKI (*nie ruszając się z miejsca*). Późno już — muszę iść...

SŁUŻĄCA (*wchodzi — kładzie pieniądze i cytryny na stole*). Proszę pani.

JADWIGA. Dobrze!

(służąca wychodzi. Jadwiga powoli podchodzi do stołu— nalewa dwie szklanki herbaty — wciska cytryny i stawia na brzegu komody w sypialni).

KORSKI (*śledzi jej powolne ruchy z zadowoleniem*). Jakie to ładne, co pani robi.

JADWIGA (*zdumiona*). To?

KORSKI. Ach! nie chodzi tu o to co pani robi, lecz o wdzięk z jakim się pani porusza. Pani ręce zdają się zrywać kwiaty, przenosić je, wiązać...

JADWIGA. A to herbata dla męża — gdy powróci z cyrku.

KORSKI. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Patrzyłem na gesta, — piękne gesta.

(Zegar bije jedenastą. Jadwiga stoi zamyślona).

KORSKI. Trzeba iść! (*wstaje powoli — z żartobliwym uśmiechem*). A... gdyby ta przyjaciółka pani doszła kiedy do rozumu i chciała się rozwieść — przyślij ją pani do mnie.

JADWIGA (*powoli*). Pan się zajmujesz temi sprawami?

KORSKI. To moja specjalność. — Powiedz jej pani, że możemy z niej zrobić człowieka wolnego... pani rozumie, wolnego, jak ja, jak pani..

JADWIGA (*pociera ręką po czole*). Tak... tak...

KORSKI. Wyfrunie, jak ptak...

JADWIGA. Tak...

KORSKI (*patrząc na nią z lubością*). I znów ładny gest... miękki, kobiecy... tak jakby pani usypiała zbudzoną jakąś myśl.

(Jadwiga nie odpowiada, tylko patrzy na niego z poważnym uśmiechem).

KORSKI (*po chwili*). Mężowi niech pani powie, ażeby do mnie zaszedł jutro.

JADWIGA. To samo mi kazał powiedzieć.

KORSKI (*wychodząc patrzy znów na Jadwigę*). Bardzo pani malarska. Niech pani się nie rusza — tak panią zabiorę... w świetlanym kręgu lampy...

(wychodzi przez kuchnię — słychać jak mówi ze służącą i jak ona zamyka za nim drzwi na klucz, poświeciwszy mu lampką. — Jadwiga idzie do okna, patrzy chwilę, wraca — siada pod kręgiem światła — patrzy na miejsce gdzie siedział Korski, zamyśla się, marszczy brwi, potem zakrywa twarz rękami — wchodzi służąca zaspana i okryta chustką).

SŁUŻĄCA. Proszę pani... może zrobimy rachunek.

JADWIGA (*budząc się z zamyślenia*) A... co?

SŁUŻĄCA. Rachunek, bo już późno.

JADWIGA. Dobrze!

(bierze z koszyczka od robót książeczkę, ołówek; siada pod lampą i zaczyna — obydwie mówią monotonnym głosem, aż do chwili spadnięcia zasłony).

JADWIGA. Mięso!

SŁUŻĄCA. Trzydzieści osiem.

JADWIGA. Śmietana

SŁUŻĄCA. Sześć. —

JADWIGA. Włoszczyzna...

SŁUŻĄCA. Kopiejka.

JADWIGA. Masło...

SŁUŻĄCA. Czternaście dla mnie. Dwadzieścia dla pani.

JADWIGA. Buraki.

SŁUZĄCA. Były.

JADWIGA. Co więcej?

SŁUŻĄCA. Słonina.

Kurtyna spada wolno.

AKT DRUGI.

(Scena przedstawia gabinet Korskiego w gruncie rzeczy dość banalny. — Na biurku po lewej stronie długi wenecki wazon, w nim kilka irysów — po prawej szafa ustawiona w poprzek odgrodzony kąt. Na tle uwieszonej na parawanie draperji szeszląg — miękie na nim poduszki z muślinu Liberty secesyjny stolik.—Porzucona książka Sagesza Maeterlincka. — Rsszta umeblowania adwokata posiadającego już trochę klijenteli. — Drzwi w głębi i po prawej. Po lewej okno szerokie weneckie z kolorowanemi szybami. Przez nie blask zachodzącego słońca, oświeca głowę Korskiego, który znudzony z pod oka patrzy na siedzącego przed nim na brzeżku krzesła Szydełkiewicza),

SCENA PIERWSZA.

KORSKI — SZYDEŁKIEWICZ.

KORSKI. Pan ciągle powtarzasz jedno i to samo, i zmuszasz mnie do tego, że wychodzę z cierpliwości.

SZYDEŁKIEWICZ. Nie mam nic do powiedzenia panie adwokacie. Bronię się jak umiem i mogę. — Po waszej stronie prawo, rzecz napisana, stwierdzona. Lecz — z mej strony inne prawo — to, które w sprawiedliwości początek bierze.

milczenie). Szydełkiewicz niespokojnie patrzy na Korskiego, który siedzi nieruchomy),

SZYDEŁKIEWICZ. Pan adwokat nic nie mówi?—Pan adwokat nie chce wejść w moje położenie?

KORSKI. To wszystko zależy od pana Ryskiewicza. Znam go jednak, wiem, że trzymać się będzie uparcie kontraktu.

SZYDEŁKIEWICZ, (*gwałtow.*) Ale ja mam nóż na gardle... tam u mnie przed domem stoją od wczoraj furmanki... Ja się pokazać w domu nie mogę. Dzisiejszą noc przesiedziałem na ławkach w alejach... Pan Ryskiewicz doprowadzi mnie do szaleństwa...

KORSKI. (*znudzony*). Proszę mi wierzyć, iż postaram się wpłynąć na mego przyjaciela.

SZYDEŁKIEWICZ. Ale kiedy—kiedy, panie mecenasie?

KORSKI. No... kiedy go zobaczę...

SZYDEŁKIEWICZ. (*wstaje i gorączkowo zapina surdut*). Ja czuję, że pan mecenas nic mi nie dopomoże... ja to czuję we wzroku pana mecenasa.—Ha! trudno! Idę!..

KORSKI. (*pragnąc się go pozbyć*). Niech pan wraca do domu, ja to, co pan Ryskiewicz postanowi panu napiszę.

SZYDEŁKIEWICZ. (*w najwyższem zdenerwowaniu*). Panie mecenasie... ja ten list widzę, ja go już czytam. Ja w tej chwili czuję tak dużo, że dla mnie już niema tajemnic w życiu. Pan się na mnie patrzy?... Pan myśli, że ja oszalałem? Ja oszalałem od tej chwili, kiedy

pan Ryskiewicz krzyknął mi... powieś się pan!... (*idzie ku drzwiom i wraca jak błędny — po chwili*). I nic, panie mecenasie?

KORSKI. Kontrakt!

SZYDEŁKIEWICZ. (*przymykając oczy*). Tak... kontrakt!... Ale ja nie mogłem przeczuć co będzie — pan Ryskiewicz tak oplącze człowieka.

KORSKI. Pan daruje. Pan Ryskiewicz jest człowiekiem serjo i solidnym w interesach.

SZYDEŁKIEWICZ. Pająk... pająk...

(Korski bierze z kielicha irys i przygląda mu się z uwagą).

SZYDEŁKIEWICZ. (*patrzy na niego—chwilę trwa milczenie, wreszcie kłania się i mówi cichym głosem*). Żegnam pana!

KORSKI. Pan idzie?

SZYDEŁKIEWICZ. Tak.

KORSKI. To najlepsze. Niech pan postara się o pieniądze i wybrnie jako na razie z tej sytuacji.

SZYDEŁKIEWICZ (*z ironją*). Postarać się o pieniądze?... Ano to dobrze. Zaraz zacznę. Niech mi pan pożyczy.

KORSKI. Ja? —

SZYDEŁKIEWICZ (*j. w.*). Mogę dać panu w zastaw moją biedną chudą żonę i czworo dzieci... Nie śmieje się pan? — Taki pan znudzony, że się pan mecenas nawet nie śmieje.

Wierzę. Ja się nawet sam dziwię, że pan mecenas nie kazał mnie do tej chwili za drzwi wyrzucić. Żegnam pana mecenasa.

KORSKI. Niech pan jutro przyjdzie, może się da co zrobić.

SZYDEŁKIEWICZ (*już we drzwiach, dławiąc się łzami*). Nie wiem czy będę mógł, czy mi pozwolą.

KORSKI (*zdziwiony mimowoli idzie ku niemu*). Kto?

SZYDEŁKIEWICZ. Sam nie wiem kto to jest taki. I pan nie wie także. I pan Ryskiewicz, choć taki mądry, także nie wie. Żegnam pana — (*wysuwa się, zamykając cicho drzwi za sobą*).

Ściemnia się powoli. Delikatny liljowy blask wieczorny oblewa scenę. Korski idzie ku oknu przed biurkiem—stoi chwilę oświetlony kolorowymi blaskami, które wpadają przez szybki. Z prawej wsuwa głowę Ryskiewicz. Jest ubrany jasno, dostatnio, ma minę zadowolonego życiem człowieka).

SCENA DRUGA.

RYSKIEWICZ — KORSKI.

RYSKIEWICZ. Poszedł? —

KORSKI. Ach to ty? — tędy?

RYSKIEWICZ. Twój Ignacy mnie wpuścił przez sypialnię. Słyszałem z poczekalni głos Szydełkiewicza. I cóż? —

KORSKI. Nic, będzie, jakeś chciał. —

RYSKIEWICZ. Nie wstawiasz się za nim?

KORSKI. Nie — nie jest interesujący. —

RYSKIEWICZ. Prawda? — wstrętny. — Rudy — (*staje przed lustrem i poprawia z zadowolnieniem jasne bląd wąsy*). Wiadomo, że człowiek uczciwy nigdy niema rudych włosów. Patrz na mnie — na siebie.

KORSKI. Nie o to chodzi. Twarzy jego nawet nie zapamiętałem. Oczy tylko.

RYSKIEWICZ. Rybie — co?

KORSKI. Nie... nawet była chwila...

RYSKIEWICZ. Komedjant — mówię ci komedjant.. Żona, dzieci... Kontrakt, panie łaskawy, kontrakcik... Dajno tylko spokój. Lada chwila wyjedziesz ze swojem „zważywszy“ — z „drugiej strony“...

KORSKI (*zapala papierosa*). Nie, dziś odemnie tego nie usłyszysz. — Mam swój zły dzień. — Nie szukam przyczyn — biorę wszystko powierzchownie.

RYSKIEWICZ. A... a... przepraszam! słysząc ciebie, możnaby sądzić, że i ja wszystko biorę powierzchownie. Tymczasem niema człowieka, któryby się więcej serjo zapatrywał na głąb życia. Tylko ja nie mówię, nie rezonuję — ale działam. Czyny! czyny! Z drobiazgów budują dzieła — o! — I zobaczysz przy końcu życia moje dzieło — zobaczysz... I — czekaj, to nie będzie przezemnie wyprodukowane jakąś energją nieuczciwą. Położyć

na szalę twoje wahanie i moją decyzję — moralna suma jedna.

KORSKI (*po chwili*). Dlaczego ty mi to wszystko mówisz?

RYSKIEWICZ. Zaszachowuję się przeciw twej wymowie. Masz zawsze tyle słów na pogotowiu.

KORSKI. Możesz być spokojny — dziś „mówić nie będę".

RYSKIEWICZ. Cóż ci znów jest? Wyglądasz jakby ci kto umarł.

KORSKI. Bo też mi umarł.

RYSKIEWICZ. Kto?

KORSKI. Wczorajszy — ja. —

RYSKIEWICZ (*wybucha długim banalnym śmiechem*). Skonać można co oni nie wymyślą. Gdybym cię nie widywał w sądzie, miałbym o tobie nieszczególne wyobrażenie.

KORSKI. Czy nie chcesz uwierzyć, że człowiek może się składać z wielu istot? Jedna bierze przewagę nad drugą i to zależy od zbliżenia się księżyca, promieni słonecznych, wichrów... Zresztą, czy to wiedzieć można...

RYSKIEWICZ. Ta — ta — ta... Jesteś chory — zanadto pracowałeś w młodości i dlatego teraz nie możesz już chcieć nic z całą siłą tak jak ja (*rozwala się na fotelu*). Codzień wyprodukować czyn, który zachwyciłby choćby nie innych, to ciebie. Co po

słowach, — rozwieją się, ulecą... Wczoraj miałeś sprawę, rzuciłeś całą masę słów i z niemi energję. Dziś patrzysz na życie z pogardą.

KORSKI. Mylisz się — nie z pogardą, ale z łakomstwem. Pragnąłbym się dziś nasycić, tak właśnie, jak wy to potraficie... Pragnąłbym...

RYSKIEWICZ. Brawo!

KORSKI (*z ironją chodzi po pokoju i pali papierosy*). No tak. Widzisz — jest we mnie pokrewna z tobą natura — co?

RYSKIEWICZ. Nie — bo ja idę wciąż tą drogą, a ty czynisz tylko wycieczki...

KORSKI. E! dajmy temu spokój... (*po chwili*) Byłeś wczoraj w cyrku? —

RYSKIEWICZ. Byłem—wybornie się ubawiłem.

KORSKI (*machinalnie*). Ładne kobiety?

RYSKIEWICZ. Niewiem. Ja na to nie patrzę. Chodzę dla klownów. Bestje śmieszne. Jeden był podobny do Szydełkiewicza. (*ściemniło się*) Zapal światło. Niecierpię szarej godziny. Pamiętam raz jeden. Zęby mnie bolały. —

(Korski zapala lampę na biurku i bawi się irysem.

RYSKIEWICZ. Tak... tak... nie patrzę na kobiety. Na teraz żona mi wystarcza. Kiedyś, może... ale teraz... Co? wyjątkowy ze mnie człowiek? — Połóż ten kwiat! Nie mogę

patrzeć, jak mężczyzna serjo bawi się kwiatami.

KORSKI (*odkładając kwiat*). Wogóle zawiele czujesz pogardy. — Z pogardy nie stwarza się sprawiedliwości.

RYSKIEWICZ. Prędzej, niż z litości. Rozjaśnij tę lampę.

KORSKI. Zmrok przynosi pewien majestat gestom i czynom ludzkim.

RYSKIEWICZ. Dziękuję. Nie potrzebujemy pozować przed sobą na majestaty, bo nas na to nie stać. — Bądź zdrów. Idę do teścia. — Stary kutwa ma śliczne place naprzeciw kolei. — Cudowne byłyby pomieszkania dla robotników. Intratne — wybornie by się takie domy sprzedały — (*bierze cylinder i laskę*). Ale ty się zdecyduj.

KORSKI. Na co?

RYSKIEWICZ. Niewiem... Ale na coś wielkiego, coś coby ci solidnie zapewniło egzystencję.

KORSKI (*zatrzymuje go za klapę*). Czy ty rzeczywiście jesteś tak zdecydowany?

RYSKIEWICZ. Na wszystko, co wkracza w granice polepszenia mej egzystencji.

KORSKI. Ja z mojej jestem zadowolony.

RYSKIEWICZ. Bajki! Niema człowieka, któryby nie chciał mieć lepiej.

KORSKI. Zrozum — ja mówię o materjalnej egzystencji.

RYSKIEWICZ. Słowa — słowa. — Dla mnie egzystencja jest jedna..

(milczenie).

RYSKIEWICZ (*nagle*). Wiesz co ci powiem Zgubi ciebie to, że nie jesteś człowiekiem zrównoważonym. Tak, tak. Jedynie ludzie zrównoważeni mają przewagę na świecie.

KORSKI. Kto ci powiedział, że ja tej przewagi pożądam?

RYSKIEWICZ. Śmieszny jesteś. Musisz pożądać przewagi, skoro chcesz mieć sytuację w świecie. (*po chwili*) Nie — widzieć ciebie na przykład wczoraj jak broniłeś owego fałszerza przed sądem, a patrzeć dziś na ciebie, to doprawdy można sądzić, że dziś jesteś w przededniu jakiej choroby.

KORSKI. Czy dlatego, że wczoraj mówiłem i miotałem się jak w gorączce, a dzisiaj milczę? Ależ zrozum, że dusza człowieka jest wtedy silniejsza, gdy milczy, niż wtedy, gdy się ogłusza potokiem słów.

RYSKIEWICZ. Ta... ta... ta... Dusza! dusza! wiedziałem, że wyjedzie na tapet. Skoro wy— nie zrównoważeni — stoicie na rozstaju, zaraz mówicie o „duszy". A cóż — u djabła — zostawcie ją w spokoju.—Dusza! Każden z nas ma duszę. Dowiedział się o tem z katechi

zmu, no i to chyba wystarcza. Duszal wielka awantura!

KORSKI. Największa, jaka może nas spotkać w czasie naszej egzystencji, mój braciel...

RYSKIEWICZ. Największa awantura w życiu, jest stracić grunt pod nogami. A ty możesz dojść do tego, jeżeli się nie postarasz o zrównoważenie, rozumiesz mnie o zró-wnowa-że-nie. Zewnętrzność, mój drogi, grunt.

KORSKI. (*gryząc nerwowo wargi*). Dziś od rana nienawidzę zewnętrzności... mściłbym się na niej całą siłą moją. Wszystko, co ma związek z życiem zewnętrznem, ma dziś dla mnie wygląd splątanego kłębu zwierząt.

RYSKIEWICZ. (*nagle*) Może ci pieniędzy potrzeba?

KORSKI. (*bierze z biurka kopertę i pokazuje*) Honorarjum za wczorajsze zrównoważenie. Zapłaciła rodzina fałszerza.

RYSKIEWICZ. Więc o co ci chodzi?

KORSKI. (*padając w fotel i kryjąc głowę w dłoniach*) O nic... o nic..,

RYSKIEWICZ. Nie rozumiem nic. Raz mówisz — chciałbym użyć jak wy... to znów— nienawidzę zewnętrzności... mściłbym się.

KORSKI. Tem właśnie użyciem.

RYSKIEWICZ. (*wybuchając śmiechem*). Szaleniec! szaleniec!... — No — przedrzym się,

warjacie — a potem idź do cyrku. Paradne klowny... (*słychać chrząknięcie kobiece w przedpokoju*) A!... a!... Wybornie — oto masz sposób do zemsty — winszuję.

(Korski podnosi głowę—i patrzy na drzwi z przedpokoju).

KORSKI. Któż tam — nie kazałem nikogo wpuszczać.

RYSKIEWICZ. To wyrzuć... któżby sobie jeszcze z kobietami subjekcję robił. — A jeszcze jedno. Jeżeli chcesz dojść — to kobiety z życia — weg! — Ożeń się. — Potem odwetujesz sobie sowicie... Do jutra —

(wychodzi, widać jak w przedpokoju mija się z Rózią, na którą nie patrzy. Gdy wyszedł Rózia nieśmiało wkrada się do pokoju).

SCENA TRZECIA.

KORSKI I RÓZIA.

RÓZIA. Mogę?

KORSKI. (*nie mogąc rozróżnić, bo lampa rzuca niewielkie światło*) Kto tam?

RÓZIA. To ja Rózia Szarfowa.

KORSKI, Ty? czego chcesz?...

RÓZIA. Jechałam w aleje... potem mnie jedna żydówka skarży—ja jej płaciłam raty— jak Boga kocham, ale ona mówi, że jej się jeszcze należy, choć to już dawno zapłacone... a potem...

KORSKI. (*niecierpliwie*). Co potem?

RÓZIA. E... już nic.

(Korski milczy).

RÓZIA. Mogę usiąść?

KORSKI (*nie ruszając się z miejsca*). Siadaj!

RÓZIA. U pana nic się nie zmieniło. Zawsze tak ładnie... (*po chwili*). Mój złoty panie pan pozwoli!

KORSKI. Co?

RÓZIA. Elektryczność... ja tylko raz pstryknę... Mnie to tak bawi. —

(odkręca kurek, środkowy pająk zapala się nagle i oblewa jasnem światłem całą scenę — Rózia zrzuca pelerynę i ukazuje się ubrana jasno i z włosami ufryzowanemi — zdejmuje kapelusz i poddaje czoło pod blask elektryczności.)

RÓZIA. Ach jak dobrze! jak dobrze!...

(Korski patrzy na nią w milczeniu).

RÓZIA. Jak ja lubię światło—ruch, gwar—ludzkie głosy!... (*nagle*). Niech pan pojedzie dziś ze mną na kolację.

KORSKI. Nie.

RÓZIA. To ja zakręcę

(chce zgasić elektryczność).

KORSKI. Nie — zostań tak pod światłem... ty jesteś właśnie uosobieniem zewnętrzności. Przyszłaś ogromnie w porę.

RÓZIA. A widzi pan! a widzi pan! A przyjął mnie pan jak psa w kręgielni. Gdybym częściej tu przychodziła, miałby pan inny hu-

mor. Mnie wszystko cieszy. To nieprawda, że takie jak ja są smutne. Pan wie, ja kiedyś czytałam książkę, gdzie była cała historja o takiej jak ja dziewczynie. Ona niby płakała i potem umarła. Niech pan nie wierzy, jak pan to będzie czytał. To fixy faxy!... Mnie tylko parę razy było smutno — ale to takie nic...

(urywa).

KORSKI. Mów... mów dalej... (*z ironją*) rozwiewaj przedewszystkiem swój łachman życiowy.

RÓZIA (*z urazą*). To nie żaden łachman, to nowa suknia z kamgarnu, a kolet, com go od jakiejś pani uczciwej kupiła. — Jakbym miała łachmany, tobym nie jeździła do alei...

KORSKI (*wstaje, zbliża się do niej siada na poręczy fotela, na którym Rózia siedzi*). Ach ty cudowny okazie życiowego zwierzątka!...

RÓZIA. A mnie pan może wymyślać — bo ja wiem, że to żarty — tylko niech pan nie mówi, że ja jestem źle ubrana.

(Korski bierze ją w pół i przypatruje się jej uważnie jak lalce).

RÓZIA. Co pan tak na mnie patrzy? Czy znać puder? niech mnie pan puści, pójdę do lustra.

KORSKI. Patrzę, aby wypatrzeć w tobie tę nadzwyczajną siłę, która ci pozwala być ciągle taką, jaką jesteś. —

RÓZIA. E... pan zaczyna znów pleść po swojemu. Jakiej siły potrzeba? — Nic — ot — budzę się — skaczę zaraz z łóżka — biegnę do okna, otwieram — i oddycham' al... Wesoła jestem na cały dzień. Smutno mi tylko gdy słońce się schowa... ale i to nie zawsze...

KORSKI (*patrząc na nią w zamyśleniu*). Ciebie zrównoważa światło.

RÓZIA. Pewnie. Mój mąż nie lubił bardzo słońca — był ponury choć niezły człowiek... ale ja całkiem co innego, dlatego wzięłam laufpas i dałam nogę. —

KORSKI (*przytrzymuje ją za ręce*). Czy ty nie czujesz tego nigdy, że jesteś zwierzę?

RÓZIA. E, proszę pana... Jak pan mówi „zwierzątko", to ja wiem, że pan żartuje, ale jak pan mówi...

KORSKI (*przerywa jej*). Zwierzę jesteś... słoneczne zwierzę!... Zaraz cię przekonam. (*bierze z biurka irys i statuetkę tanagryjską*). Wybierz — co wolisz?

RÓZIA (*wyciąga ręce ku irysowi*). Daj!... jaki śliczny kwiat!...

KORSKI. Masz! Teraz się przekonaj, że jesteś zwierzęciem.

RÓZIA (*zdumiona*). Bom wzięła... kwiat? Przeciem wzięła nie na zjedzenie... ale na patrzenie...

(chwila milczenia).

KORSKI (*wolno, patrząc na nią w zamyśleniu*). Byłżeby to odruch pierwotnej duszy? (*zbliża się do niej i sadza ją przy sobie*). Patrz na mnie.

RÓZIA (*ze śmiechem*). Dobrze.

(patrzy mu długą chwilę w oczy).

KORSKI (*do Rózi*). Słuchaj — a odpowiadaj mi szczerze — gdy zobaczysz kwiaty, słońce, gdy zaszumi w koło ciebie las, gdy zobaczysz wici, staw, księżyc, góry — czy ty kochasz to wszystko? Czy ty to wszystko widzisz, czy ty czujesz się szczęśliwą?

RÓZIA (*na wpół leżąc na szezlągu*). Tak... tak, zupełnie jak wtedy, kiedy byłam małem dzieckiem u rodziców na wsi. — E... to fixy faxy...

KORSKI. Nic nie uroniłaś ze świeżości wrażeń? — to jest nie rozumiesz mnie. Zawsze się tak cieszysz, gdy kwitnie bez — gdy ładnie zachodzi słońce, gdy biało na polach od śniegu, albo gdy dzwonią na Anioł Pański?...

RÓZIA. Zawsze... a nawet teraz może więcej, bo mi wtedy było tak, jakbym odpoczywała z bardzo dalekiej drogi. Wiosnę strasznie lubię i jesień także...

KORSKI. Dlaczego jesień lubisz? — Jesień lubią tylko ludzie zmęczeni, smutni...

RÓZIA (*ciągle leżąc*). Złote wszystko... czerwone drzewa... liście szumią pod nogami. Tak jakoś zdrowo! —

KORSKI (*patrząc na nią z uwagą*). Jakaż to zagadka! — Czyśbyś ty posiadła wielką tajemnicę życiowej równowagi?

RÓZIA (*z prostotą*). Nie rozumiem pana.

(chwila milczenia).

KORSKI (*j. w.*). Niema śladu w tobie zniechęcenia, odczuwasz wszystko z pierwotną siłą, jesteś jak kwiat rozwinięty wśród bagnisk stawu, kwiat, który kielich zwraca do słońca...

RÓZIA. (*siada prosto na szezlągu*). Jak pan ładnie mówi...

KORSKI. (*j. w.*). I to czujesz? i na to jesteś wrażliwa? — Dziewczyno! Zdaje mi się, że racja jest po twojej stronie. Kto wie, czy nie masz nawet tyle życiowej siły, aby rozbudzić siłę czystą i w tych, co się do ciebie zbliżają.—(*nagle*) Zostań przy mnie...

RÓZIA. Proszę mnie pocałować, to zostanę.

KORSKI. Nie — ja zdaje się nie chcę od ciebie — ciebie.

RÓZIA. (*patrzy na niego z niedowierzaniem*). E... jakieś fixy faxy...

KORSKI. Chcę, żebyś dziś była ze mną pierwotną duszą, która na kwiaty patrzy, ale je nie pożera.

RÓZIA. Pan jest zawsze dziwak—ale pan jest lepszy, niż inni ludzie.—Obrazi mnie pan czasem — ja się na pana nie gniewam. Ja

pojadę jeszcze trochę w aleje... bo wzięłam remizę na dwie godziny i zaraz wrócę... Pan pozwoli? Ja mam nową pelerynę—chciałabym ją pokazać.

KORSKI. Jedź, a jak ci liść jesienny na tę pelerynę spadnie, to mi go przywieś... rozumiesz?...

RÓZIA. *(śmiejąc się).* Ojej!... jakie też to fixy faxy chodzą po głowie!—Ale pojedziemy na kolację?

(pukanie do drzwi).

RÓZIA. Ktoś puka...

KORSKI. Cóż tam? znów niema służącego?

RÓZIA. Ja wyjdę sypialnią.

(postępuje kilka kroków — drzwi wejściowe się otwierają staje na progu Jadwiga).

SCENA CZWARTA.

KORSKI — JADWIGA — RÓZIA.

(Jadwiga ubrana ciemno, ale z wielkim smakiem. Chwilę stoi jakby olśniona jasnością, panującą w pokoju. Korski zdumiony patrzy na nią — Rózia niepewna stoi między drzwiami sypialni i przedpokoju).

JADWIGA. *(pierwsza przychodząc do normalnego stanu).* Przepraszam... w przedpokoju nie było nikogo.

KORSKI. Proszę zechciej pani wejść. —

Pani... *(wskazuje na Rózię)* skończyła konferencję i miała właśnie odejść...

(Rózia zdziwiona patrzy na niego, wreszcie, zrozumiawszy, uśmiecha się — kłania się z godnością — i kieruje się ku wyjściu. Gdy obie kobiety się mijają poznają się wzajemnie. Zapanowuje milczenie—toną w sobie spojrzeniem, wreszcie pierwsza Jadwiga mówi półgłosem).

JADWIGA. Dobry wieczór pani!

RÓZIA *(ucieszona)*. Dobry wieczór...

(chwilkę milczą, wreszcie Rózia wychodzi. Jadwiga patrzy na nią w zamyśleniu).

KORSKI *(podchodzi żywo ku Jadwidze)*. Pani tu? co się stało?

JADWIGA. Zaraz panu powiem... tylko pozwól pan mi trochę oprzytomnieć...

KORSKI. Rzeczywiście... jesteś wzruszona... drżysz cała... Usiądź pani... proszę!...

JADWIGA *(siada)*. Dziękuje panu! Mam zwykle tak mało energji, że wszystko co wymaga pewnego nakładu siły z mej strony, wyczerpuje mnie... *(pociera ręką po czole)*. Czy nikt tu już nie wejdzie?

KORSKI. Nikogo się nie spodziewam. Zresztą dla pewności drzwi zamknę *(idzie ku drzwiom i zamyka drzwi)*. Co zaś do tej... pani która tu była przed chwilą...

JADWIGA. Mnie nie chodzi o to, aby nikt nie widział, że byłam u pana, lecz o to, aby nam nikt nie przeszkodził w rozmowie.

KORSKI. Czy rzecz, którą mi pani powiesz, jest tak ważną? —

JADWIGA. Bardzo! — Ale... za chwilę...

KORSKI. Poczekam. —

(Jadwiga patrzy na drzwi, któremi wyszła Rózia, potem zwraca wzrok ku Korskiemu).

JADWIGA. Jak tu u pana jasno — strasznie jasno.

KORSKI. Przeszła tędy córka słońca, dusza prymitywna, która kocha światło i na widok blasków ma dziecięce porywy!

JADWIGA *(zdumiona)*. Czy to... ona?...

(ukazuje ręką na drzwi).

KORSKI. Ona, ona, którą wszyscy mają za ptaka ciemności, a która cała jest złota od blasku.

JADWIGA. Ona? ta nieszczęśliwa?

KORSKI *(z entuzjazmem)*. Ona? ależ ta dziewczyna szczęśliwsza odemnie, od pani... Oto pani kryje oczy przed światłem, a ona przed chwilą kąpała się z lubością w tem świetle. — Wyciągała do niego ręce, jak do skarbu. — Pani — ona teraz może uśmiecha się do drzew złotych w parku i chwyta na dłonie lecące liście... Ona nieszczęśliwa? Ależ to my nieszczęśliwi, nie ona! — Ona zachowała świeżość wrażeń, prymitywną duszę!... Pani wie... prymitywną duszę...

JADWIGA. Jesteś pan tego pewny? —

KORSKI. Ja to pani zaraz wytłumaczę. Biorę w rękę ten kwiat *(bierze irys, w drugą rękę statuetkę)*, i to dzieło sztuki...

JADWIGA *(z uniesieniem wyciąga ręce ku figurce i przerywa Korskiemu).* Ależ to Tanagra... Pokaż pan!...

KORSKI *(z triumfem).* A co! a co!...

JADWIGA *(patrząc na niego zdziwiona).* Co takiego?

KORSKI. Nie spojrzałaś pani na kwiat. Przebyłaś edukację artystyczną... a więc Tanagra... A tamta wyciągnęła ręce po kwiat, dla niej Tanagra była bezużyteczną bryłą... Czy zachowała świeżość wrażeń. — Powiedz pani sama.

JADWIGA. Ja odniosłam tę samą rozkosz, co i ona.

KORSKI. Złudzenie! Gdybyś słyszała jej głos i swój, kiedyście się rwały do tego, co każda z was wybrała, zrozumiałabyś, jaką jesteś nędzarką, a jak ona bogatą.

JADWIGA *(po chwili namysłu).* To dziwne... nie przypuszczałam nigdy... może masz pan rację.

odstawia na biurko Tanagrę — długa chwila milczenia. Jadwiga siedzi z przysłoniętemi oczyma).

KORSKI. Może mi pani teraz powie, co panią do mnie sprowadziło? —

JADWIGA *(odrywa ręce od twarzy).* Ciężko mi...

KORSKI. Czy straciła pani do mnie zaufanie?

JADWIGA. Niewiem... może dlatego, że pan jesteś dziś inny, jak wczoraj. Wiem, że pan jesteś impulsywny — że masz pan zmienną naturę — ale dziś dzieli nas coś więcej...

KORSKI. Dziś dzieli nas siła życiowa, która tędy przeszła — najprzód w postaci męża pani, a potem w postaci tej dziewczyny. — Dwie zewnętrzności pełne drobnych myśli i małostkowych lub żywiołowych pragnień. Wytworzyła się dziwna atmosfera duchowa, a kto wie może i... zmysłowa. Ona nas dzieli! —

po chwili — Korski zaczyna chodzić po pokoju i staje przed Jadwigą).

KORSKI. Wczoraj radziłem pani kompromisy życiowe. Czy pani wie — że ja dziś zgodziłbym się na wiele kompromisów z egzystencją.

JADWIGA. Byleby zachować świeżość wrażeń?

KORSKI *(przymykając oczy, oparty o szafę).* Odzyskać, jeśli to możliwe... odzyskać choć na chwilę...

JADWIGA. Wczoraj jeszcze wystarczał panu krąg lampy, cisza...

KORSKI *(j. w.).* Wczoraj... tak! To był człowiek wczorajszy, dzisiejszy ja inny!... a jutrzejszy!...

JADWIGA. Czy nie żądasz rzeczy niemożebnych już dla ciebie do ziszczenia?

KORSKI *(stojąc ciągle oparty o szafę).* Żądam tak mało ... Mój dzisiejszy człowiek pragnie módz — spojrzeć na te irysy — wyciągnąć rękę i powiedzieć z radością „kwiat"!— nic więcej, tylko „kwiat"! Mój wczorajszy mógł tylko wziąść kwiat taki do ręki: powoli analizować, filtrować jego piękność. — O!... powiedzieć z radością... kwiat!...

JADWIGA. Tak... to byłoby piękne — ale to dla nas niemożebne. Przeszliśmy edukację artystyczną... to nas zabiło! —

(długa chwila milczenia).

JADWIGA. Czuję, że powinnam stąd odejść... Czuję to. — A przecież zużyłam tyle energji, aby zdobyć się na ten krok stanowczy, iż nie mam siły, aby się cofnąć. — *(z przymuszonym uśmiechem).* Z abstrakcji musimy zejść do rzeczywistości...

KORSKI *(ciągle jeszcze pod wpływem dawnych myśli).* Słucham panią.

(siada naprzeciw niej).

JADWIGA *(po chwili z widocznem zmieszaniem).* Chodzi tu... o... o... tę kobietę, o której mówiliśmy wczoraj. Pan pamięta?... moja przyjaciółka, która żyje w ciągłem nieporozumieniu z mężem.

KORSKI. *(obojętnie).* A... i cóż ta kobieta?

JADWIGA. Otóż — ta kobieta, której powtórzyłam wczorajsze słowa pana, uczuła się niemi na wskroś wstrząśniętą. — Widocznie pragnienie odzyskania swobody, zrodziło się

w niej od dawna, ale ona sama tego nie przeczuwała... nie zdawała sobie sprawy z tego, co się w niej działo. Wystarczyło jednak kilka słów drugiego człowieka wypowiedzianych głośno... aby... to pragnienie zbudziło się w niej całą siłą.

KORSKI. *(po chwili).* Pani źle zrobiła.

JADWIGA. Dlaczego?

KORSKI. Dlatego, że wczoraj byłem prawie ciągle „adwokatem"—prowadzącym „sprawy" — Demostenesem, albo estetą. Dziś inaczej zapatruję się na tę kwestję.

JADWIGA. Jakto? — więc...

KORSKI. Tak, tak... To są błędne koła te sklejone swobody z raz rozbitych szczątków całości.—Kobieta, zwłaszcza w obecnym stanie rzeczy, będzie, odzyskawszy taką swobodę, tropiona i ścigana ciągle, jak ranione zwierzę. Prawo, świat, jej własne przyzwyczajenie do raz dźwiganej obroży—zgniecie ją. To na nic! na nic!

JADWIGA. *(z nagłym wybuchem).* To nieprawda! to być nie może.

KORSKI. *(brutalnie).* Pomyśl pani—wszystkie moje klijentki rozwódki — dążą całą siłą do czego? to tego, aby jak najprędzej pójść drugi raz za mąż.

JADWIGA. Wtedy, gdyś pan z nich zrobił według własnych słów — swobodnego człowieka?

KORSKI. Wtedy — wtedy właśnie.

JADWIGA. Nie... tak nie będzie!... *(z nagłym wybuchem nadzwyczajnej rozpaczy)* (Nie... ja nie zostanę na całe moje życie nieszczęśliwą tak jak teraz jestem!

KORSKI. *(zdziwiony)*. To pani? pani?

JADWIGA. *(z serdeczną otwartością)*. Tak! ja!... ja!... *(wybucha płaczem, odsuwając z czoła włosy—zrzuca kapelusz powoli i włosy się jej rozpadają na ramiona. Ona mówi zgorączkowana, wyrzucając ze siebie słowa w bezładnym chaosie)*. Ja!... Pan tego nie przeczuł? Pan tego nie widział?...

KORSKI. Nie... wiedziałem, że macie inne usposobienia, ale sądziłem, że prawem kontrastu...

JADWIGA. *(j. w.)*. Uwielbiam tego pana, który jest moim mężem...

KORSKI. Nie to — ale...

JADWIGA. *(j. w.)*. Ale co? ale co?... A widzi pan... nie znajduje pan nawet słów dla wypowiedzenia prawdy... Więc nic pana nie uderzyło — ani moja martwota, z którą obracałam się wśród tych tragicznych drobiazgów, któremi mnie codziennie karmiono?.. Drobiazgi! och!... i ta doskonałość!... Jak ja cierpiałam! jak ja cierpiałam! Żyłam tak, że nawet w godzinie wspomnień... odwracałam się od moich łez wylanych, takie były nędzne, takie bezbarwne, taką małostkowością przyczyn wywołane... A to chyba najgorsze mieć same wspo-

mnienie takich łez... że się od nich z bólu i wstydu odwracać trzeba...

(Gdy mówi te słowa, twarz jej promienieje nieziemską urodą — pełne światło pada na nią. Włosy rozsypały się dokoła jej twarzy — okrycie spadło z ramion. Korski patrzy na nią i po twarzy jego przesuwają się dziwne wrażenia).

JADWIGA Pan mówisz — przyzwyczajenie?... Nie... nie... Ani ciało... ani dusza... Bunt... ciągły bunt... Ciągłe rwanie się... pragnienie czegoś **własnego**, do czego by nie wtargnął nikt, nawet myśl... **jego**, nawet pragnienie zrozumienia... A tego nigdy nie módz dosięgnąć... och!..,

KORSKI (*postępując za nią*). Nie bądź okrutna! ja znajduję, com szukał...

(Jadwiga dobiega do drzwi — siły ją opuszczają, opiera się o ścianę — on chce się do niej zbliżyć).

JADWIGA (*wyciąga ręce i mówi urywanym głosem*). Proszę!... zostaw mnie pan!...

KORSKI (*namiętnie*). Nie odchodź! ty!...

JADWIGA (*odpycha go*). Precz!

(Korski odsuwa się — mierzy groźnym wzrokiem Jadwigę).

KORSKI (*brutalnie*). Więc pocoś tu pani przyszła?

(Jadwiga wydaje krótki krzyk i zasłania sobie oczy. Chwila milczenia. Wreszcie Jadwiga odrywa ręce od twarzy. Jest bardzo blada — łzy jej płyną z oczu. Korski stoi zmieszany — Jadwiga patrzy na niego długo i z wyrazem wielkiego smutku. Pod wpływem jej wzroku Korski podchodzi dz drzwi — otwiera je i usuwa się zwolna. Jadwiga zwraca się ku wyjściu).

KORSKI (*cichym głosem*). Przebaczy mi pani kiedy?

JADWIGA (*z prostotą*). Przebaczyłam — ale nie zapomnę!

(wychodzi powoli).

(Korski sam chodzi po scenie — wreszcie gasi elektryczność ruchem nadzwyczajnego zdenerwowania.—Siada pod słabo płonącą lampą.—Pali papierosa — wzrok jego pada na irysy — chwyta je, szarpie i rzuca na ziemię).

SCENA PIĄTA.

(Drzwiami z sypialni wsuwa się Rózia, która ze śmiechem, podskakując, podbiega do niego i obrzuca go jesiennemi liśćmi).

RÓZIA. Masz!... masz!... wysiadłam z landa i nazbierałam całe pęki.

KORSKI (*z niesmakiem patrząc na Rózię*). Którędy weszłaś?

RÓZIA. Przez sypialnię. Myślałam, że może jest tu znów kto. A tę panią, co tu była przedtem, to spotkałam na wschodach. Ona płakała. Może przegrała proces? A może to ty.. (*przypatruje mu się*). Coś ty jej zrobił? Nie trzeba, żebyś był dla niej niedobry. Ona jest wcale niezła. Kłania mi się... Choć znów nie miałaby się czego tak pysznić, jeśli to twoja kochanka...

KORSKI (*kładzie się na szezlągu*). Cicho bądź! głowa mnie boli.

RÓZIA (*przewracając na biurku i oglądając fotografje*). Mężatka nie powinna chodzić po kawalerach.

(Korski patrzy na nią badawczo).

RÓZIA. Tak... tak... znam ją—wiem gdzie mieszka. Jeżeli myślisz, że to co z arystokracji, to się mylisz. To taka tam urzędniczka, czy co!—Boże drogi! Byłam u niej wczoraj.

KORSKI (*siada na wpół*). Kłamiesz!

RÓZIA. A żebyś wiedział! a żebyś wiedział! Kupiłam u niej tę pelerynę... Ich sługa powiedziała mi, że to sprzedaje na życie... hi... hi... twoja wielka dama!... o!... tę pelerynę!...

(rzuca na niego pelerynę i sama włazi na krzesło, aby się przypatrzeć obrazowi. — Korski chce odsunąć pelerynę—nagle wstaje uderzony zapachem, jaki futro wydziela).

RÓZIA (*oglądając obrazy*). Nie będę jej nosiła, aż ją dobrze wywietrzę... Pachnie, aż w nosie kręci. Co? powąchaj! Prawda?

KORSKI. Tak... tak... (*ukrywa twarz w pelerynę — po chwili*). Ty to odeślesz, słyszysz?

RÓZIA (*obracając się na krześle*). A pieniądze... zapłaciłam gotiu. — Może nie zwrócą.

KORSKI. Ja ci dam te pieniądze.

RÓZIA. Dobrze... ja na to jak na lato! — (*zeskakuje z krzesła*). No i co? idziemy na kolację?

KORSKI. Nie.

RÓZIA. O!

KORSKI. Głowa mnie boli.

RÓZIA. Jak chcesz!... A! ale tu w szafie był zawsze koniak, pomarańcze! (*otwiera szafę*) Jest! — jest!... tylko się napiję — zjem pomarańczę i pójdę! pójdę!... nie bój się! Ja mam „subtelność uczuć". —

(śmieje się, gwiżdżąc delikatnie, wyjmuje butelkę, odtyka— pije—potem siada na ziemi — i obiera pomarańczę, gwiżdżąc coraz głośniej. — Korski powoli przyciąga ku sobie peleryną i ukrywa głowę w futro.—Kurtyna wolno spada).

AKT TRZECI.

(Scena przedstawia ten sam jadalny pokój, co w akcie pierwszym. Na stole pali się lampa. Przy stole siedzi Ryskiewicz w szlafroku i kończy pić herbatę.—Przegląda gazetę — od czasu do czasu pstrzy na zegar, który wskazuje ósmą godzinę. Służąca, klęcząc przy piecu, zapala smolne drzazgi u świecy i kładzie je do pieca.—Słychać szum deszczu, bijącego o szyby. — Długa pauza).

SCENA PIERWSZA.

RYSKIEWICZ — SŁUŻĄCA.

SŁUŻĄCA. A to piec... niech go djabli! Mógłby pan też kazać gospodarzowi, żeby go poprawił.

RYSKIEWICZ. Nie głupim — podwyższyłby mi zaraz komorne... Cicho: zdaje się, że pani idzie.

(nadsłuchują oboje).

SŁUŻĄCA. Nic nie słychać.

RYSKIEWICZ. O której pani wyszła?

SŁUŻĄCA. O piątej.

RYSKIEWICZ. Czy to się pani często zdarza tak wychodzić kiedy mnie niema?...

SŁUŻĄCA (*patrzy podejrzliwie na Ryskiewicza*). Niewiem... ja tam nic niewiem! —

RYSKIEWICZ (*mrucząc*). Solidarność kobieca!

(chwilowe milczenie).

RYSKIEWICZ (*nagle*). Zabierz samowar! sprzątnij ze stołu.

SŁUŻĄCA. A jak pani wróci? —

RYSKIEWICZ. Pani będzie tam jadła kolację, gdzie jest dotąd. Zabierz to wszystko!

SŁUŻĄCA. Dobrze! dobrze!...

(mrucząc, zabiera samowar, obrus, filiżanki i wychodzi. — Ryskiewicz chwilkę bębni palcami po stole, wreszcie idzie do zegaru i posuwa wskazówkę o pół godziny, poczem siada na dawnem miejcu. Po chwili wstaje, idzie do komody, wyjmuje pudełka z krawatami, przynosi je na stół i zaczyna systematycznie sortować. Wchodzi sługa i idzie do pieca. Przechodząc, mówi do Ryskiewicza).

SŁUŻĄCA. Pani idzie. —

RYSKIEWICZ. Skąd wiesz?

SŁUŻĄCA. Jest przed kamienicą. Rozmawia z żoną Szydełkiewicza.

RYSKIEWICZ (*nagle wściekły*). Co? ta wiedźma znów tutaj?

SŁUŻĄCA (*z westchnieniem zakłada ręce na brzuchu*). Ach! proszę pana... ona w swojem prawie, ona szuka swojego męża, co od wczoraj już w domu nie był.

RYSKIEWICZ. Milcz! idź po panią i powiedz, że ja każę, żeby pani zaraz przyszła!

Ja temu nie winien, że ten łotr gdzieś się po szynkach w nocy włóczył Idź!...

(w tej chwili otwierają się drzwi i staje w nich Jadwiga. Jest zdenerwowana i na twarzy ma gorączkowe wypieki. Włosy rozrzucone ma przysłonięte rotundą, wchodzi, nie patrzy na męża, zrzuca kapelusz na komodę. Ryskiewicz śledzi jej ruchy z pod oka. Chwila milczenia, Wreszcie służąca która także stoi niezdecydowana, przemawia pierwsza cichym głosem).

SCENA DRUGA.

SŁUŻĄCA, JADWIGA, RYSKIEWICZ.

SŁUŻĄCA. Proszę pani... może podać herbatę?

JADWIGA. Nie trzeba.

(służąca stoi chwilkę, wreszcie mówi).

SŁUŻĄCA. Proszę pani, może pani mi da chleba z masłem do herbaty.

(Jadwiga z wysiłkiem opanowuje swe zdenerwowanie, idzie do kredensu, kraje chleb, smaruje go masłem. Ryskiewicz przez ten czas zabiera się znów do porządkowania swoich krawatów, ale jest widocznie zdenerwowany zachowaniem się żony. Służąca bierze chleb i wychodzi. Jadwiga idzie do okna, staje przy niem i patrzy na ulicę).

RYSKIEWICZ (*kładąc ręce w kieszenie od spodni*). Czy raczysz mi powiedzieć skąd wracasz?

(Jadwiga milczy).

RYSKIEWICZ (*silniej*). Pytam się ciebie skąd wracasz? (*milczenie*). Przyzwoite kobiety nie latają same po ulicach, gdy się ściemni.—

Patrz... wpół do dziewiątej... *(milczenie)*. Słyszysz? ja nie życzę sobie, aby ktokolwiek z naszych znajomych spotkał moją żonę na ulicy samą o tej porze... Nie życzę sobie!...

(Milczenie). Nagle Jadwiga odwraca się od okna i mówi zmienionym głosem).

JADWIGA. Co myślisz zrobić z Szydełkiewiczem?

RYSKIEWICZ. Co mnie się podoba. A tobie zakazuję rozmawiać z tą pijaczką! Ja ją aresztować każę.

JADWIGA *(patrząc na niego z pod oka)*. Czy i mnie także?

RYSKIEWICZ (*w ferworze*). I ciebie... to jest ciebie nie. Ale ja sobie z tobą poradzę, ażebyś konszachtów na ulicy przeciw mnie nie miała. To nie jest rola żony stawać po stronie wrogów przeciw mężowi. A zresztą zakazuję ci wtrącać się do moich interesów.

JADWIGA. Sprawa Szydełkiewicza nie jest już sprawą... interesu — to coś więcej pomiędzy tobą i niemi, i pomiędzy mną i tobą!

RYSKIEWICZ (*wściekły zrywa się z krzesła, krawaty się rozlatują po ziemi*). Co ty siebie tu mieszasz? jaką ty w tem grasz rolę?

JADWIGA (*patrząc mu w oczy*). Może ważniejszą niż przypuszczasz.

RYSKIEWICZ. Kamienica buduje się na moje imię. Ty jesteś tylko na hipotece.

(zbiera krawaty).

JADWIGA. Czy i na hipotece twego sumienia?

RYSKIEWICZ (*zbiera krawaty i wstaje, tem pytaniem zaskoczony*). Sumienia? A to znów skąd przyszło?...

JADWIGA. Uczułam widocznie potrzebę zadania ci tego pytania.

RYSKIEWICZ. Widocznie sama masz coś na sumieniu względem mnie. Moje sumienie czyste. Nic mi nie masz do zarzucenia. Ja z każdego kroku mógłbym zdać sprawę. (*nagle*). Gdzie byłaś?

JADWIGA. Nasze drogi się rozchodzą — co ci po tej wiadomości.

RYSKIEWICZ. Odpowiadaj prosto! bez wybiegów. Dlaczego wyszłaś z domu, wiedząc, że dziś wrócę wcześnie? Musiałem sobie sam nalewać herbatę!

JADWIGA (*z nagłym wybuchem*). Ale wróciłam, ale wróciłam do tego domu!... Wróciłam złamana bez tej siły, z jaką wyszłam. Spotkałam na mej drodze belkę ordynarną, wstrętną belkę egoizmu i niezrozumienia mych łez, mych bólów, i o tę belkę ślepą rozbiła się moja energja... Wróciłam do tych ścian, do tych szyb, do twej herbaty... do ciebie, wróciłam i będę żyć znowu życiem drobiazgów na ostatnim numerze hipoteki twego sumienia — tylko — dziś zostaw mnie w spokoju!... zostaw ty mnie w spokoju!...

(usuwa się w cień pod ścianę, pada na krzesło, z pleców zesuwa się jej rotunda, widać jej rozplecione włosy. — Na ten widok Ryskiewicz, porywa się, biegnie ku niej i chwyta ją za włosy).

RYSKIEWICZ. Dlaczego masz włosy rozpuszczone?... ty?... dlaczego?...

JADWIGA (*prawie nieprzytomna*). Niewiem!

RYSKIEWICZ. Ale ja wiem, gdzie to gubi się szpilki od włosów o szarej godzinie... Byłaś u...

JADWIGA (*wydziera mu włosy i przerywa*). Milcz!... nie znieważaj! Zaprzęgaj do swojej codziennej taczki, ale nie znieważaj!

(wzrok jej ma tak wielką siłę czystości duchowej, iż Ryskiewicz stoi niezdecydowany).

JADWIGA (*upinając włosy gorączkowo*). To jednak ci powiem, iż możesz być bardzo dumny. Wyszłam z tego domu, sądząc, iż spotkam się wreszcie z pięknością mej egzystencji. Tymczasem przekonałam się, iż są egzystencje tak tragicznie poplątane, iż walczyć przeciw nim jest szaleństwem! Spotkałam się na pierwszym kroku z egoizmem jeszcze większym niż twój... i ten pierwszy zawód przygnał mnie z powrotem do twoich rąk. — Usłużył ci los... Korzystaj z tego... Uroczysta chwila w mojem życiu zdaje się mija... (*zbliża się do stołu i siada na zwykłem miejscu pod lampą, chwilę milczy, wreszcie mówi z tragiczną lecz prostą rezygnacją*). Otom jest! —

RYSKIEWICZ. Więc... nie dowiem się gdzieś była? —

JADWIGA. Nie. — To pozostanie moją tajemnicą.

RYSKIEWICZ. Żona niema prawa mieć tajemnic przed mężem.

JADWIGA. Dusza praw ogólnych nie zna. — Nie wdzieram się w twoje tajemnice.

RYSKIEWICZ. Ja nie wracam do domu z rozczochranemi włosami. — ja nie wnoszę do domu tajemnic.

JADWIGA. *(łagodnie z wyczerpaniem)*. To nie tajemnica wstydu, którą ja przyniosłam, to tajemnica jednego więcej bólu... Zostaw mnie!

RYSKIEWICZ. Bólu... bólu?.. o jakich bólach mówisz! Co cię boli?—Idź do doktora!

JADWIGA *(patrząc przed siebie)*. Byłam. Chciałam ratunku, lecz zadano mi jeszcze boleśniejszą ranę.

RYSKIEWICZ. Czegóż mi zaraz tego nie powiedziałaś, że byłaś u doktora... Cóż ci doktór powiedział? Na co jesteś chora? Gdzie jest recepta. *(milczenie)*. No co?... Wiecie państwo, teraz tego brakowało. Rozchoruje się! *(wzburzony chodzi po pokoju)*. Z czego ty możesz być chora?—Jesz, śpisz, nic nie robisz!... Dlaczego ja nie jestem chory — ja, który pracuję jak koń i jeszcze w domu spokoju nie mam.

(milczenie).

RYSKIEWICZ *(nagle)*. A!... ale słuchaj no. Może to wybieg z twojej strony. Twoja ma-

munia i siostrzyczka tak się urządzają, gdy chcą jechać niby na kurację, a w gruncie rzeczy po to, aby się tryndać. — Jeżeli więc myślisz, że mnie nabierzesz na Zakopane albo i zagranicę, to się mylisz!

(milczenie. Jadwiga patrzy na Ryskiewicza).

RYSKIEWICZ (*staje i patrzy na nią*). Cóż się na mnie tak patrzysz?

JADWIGA. Nic. Przypatruję się memu przeznaczeniu! dozgonnemu przeznaczeniu.

RYSKIEWICZ. !!!

(słychać w kuchni głosy — wchodzi służąca z paczką i listem).

SCENA TRZECIA.

SŁUŻĄCA. RYSKIEWICZ. JADWIGA.

SŁUŻĄCA. To dla pani!

RYSKIEWICZ. Pokaż! co to?

(maca paczkę.—Jadwiga bierze list, czyta — mieni się na twarzy, czytając — wreszcie opuszcza rękę z listem — i mówi z wysiłkiem).

JADWIGA. Powiedz, że mnie niema, że jutro będzie odpowiedź.

SŁUŻĄCA. Kiedy posłaniec już poszedł i nie czekał na odpowiedź.

(służąca wychodzi.—Jadwiga przez chwilę chodzi w głębi nadzwyczaj wzburzona — wreszcie podchodzi do Ryskiewicza — widać ogromną walkę na jej twarzy — i mówi cicho, nie patrząc na niego).

JADWIGA. Proszę cię... to jest... chciałam cię prosić o piętnaście rubli.

RYSKIEWICZ (*marszczy brwi i instynktowo bierze się za kieszeń, gdzie ma pieniądze*). A... tędy go wiedli?... Nie mogę ci dać. Nie mam.

JADWIGA (*przygryzając usta*). Daj mi na przyszły miesiąc. Odtrącisz na pierwszego.

RYSKIEWICZ. Nie mam. Krawcowa zaczeka.

JADWIGA. To nie krawcowa. To jest... jakby powiedzieć... dług... ja to muszę zapłacić.

RYSKIEWICZ. Żałuję, ale nie mogę. Z zasady nie mogę awansować. Gdybym raz to uczynił — wtedy nie znałabyś granic. Zapowiedziałem, a ja od tego, co powiem, nie odstępuję ani na krok. Kto robi długi — niech je płaci.

JADWIGA (*hamując się*). Przypominam sobie, że bratu swemu, gdy przegrał w karty — posłałeś natychmiast pieniądze.

RYSKIEWICZ (*kwaśno*). Zwrócił mi je. Zresztą to był dług **honorowy**. Tu szło o honor nazwiska.

JADWIGA. To jest także dług honorowy.

RYSKIEWICZ. Kobiety długów honorowych nie mają. — (*po chwili*). Zresztą mówisz, że to nie jest od krawcowej — (*otwiera paczkę*). O! twoja peleryna... no więc...

JADWIGA. Słuchaj... Będę zmuszona powiedzieć ci całą prawdę. Chciałam tego uniknąć. Wiem, że to wywoła znów między nami dyskusję, której chcę uniknąć. Ale zmuszasz mnie do tego. Czytaj!

(podaje mu list).

RYSKIEWICZ. Cóż to za kulfony?—(*czyta*) Szanowna Pani! Odsyłam pani pelerynę, którą kupiłam wczoraj i proszę o zwrot pieniędzy. Jeżeli pani niema, to mniejsza stem, to mi kto inszy... (*urywa*). Co to?—Ty sprzedajesz rzeczy?

JADWIGA. Muszę!

RYSKIEWICZ. Tu jest adres... to o dwa domy! Ty sprzedajesz po sąsiedztwach rzeczy?... Jak ty śmiesz? Czy ty wiesz o tem, że ty mnie możesz zgubić w interesach, że ty taką szmatą sprzedaną (*rzuca pelerynę na ziemię*) możesz mój kredyt podkopać! —

JADWIGA (*przymykając oczy i przez zęby*). Musiałam — brakowało mi pieniędy do końca miesiąca.

RYSKIEWICZ. I użyłaś sposobu, do jakiego cię twoja mama przyzwyczaiła w domu. Ale tak nie będzie, ja się nie pozwolę kompromitować przed ludźmi. — Ja od dziś wezmę srebro i całą twoją garderobę pod moje zawiadywanie. Niesłychane rzeczy! Nic wpoić w ciebie nie mogę, ani porządku, ani oszczędności, ani nawet zamiłowania własnej godności, skoro kompromitujesz się w ten sposób.

JADWIGA (*żywo*). Tak — masz rację. To jest upokorzenie! Ja wczoraj przeszłam ciężką chwilę pod wzrokiem i w obecności tej kobiety — lecz czy nie czujesz, iż stokroć cięższa chwila jest ta obecna, gdy o ten marny gałgan stoję przed tobą jak zbrodniarz przed sądem? — Zamilcz... proszę cię!.. Prosiłam cię o pozostawienie mnie dziś w spokoju. Tylko... dziś! — Będziesz mnie miał jutro, pojutrze — szereg dni całych — tu — przez ten stół — do twej dyspozycji... Powiedziałam ci to już. Będziesz siebie i mnie dławił swoją drobiazgowością do syta... Jutro może mieć będę więcej siły, czy rezygnacji do zniesienia tego wszystkiego.

RYSKIEWICZ. A ja ci mówię, że...

JADWIGA (*przerywa mu szybko*). Człowieku! czy ty nie czujesz, żeś zmarnował w tej chwili kilka minut swego i mojego życia?...

RYSKIEWICZ. Zmarnował?... Ja marnuję życie? — Ja? To ty marnujesz wszystko — pieniądze — teraz dobierasz się do ubrań, niedługo, gdy wrócę do domu, zastanę posprzedawane handelesom meble! —

SCENA CZWARTA.

SŁUŻĄCA — RYSKIEWICZ — JADWIGA.

SŁUŻĄCA (*wpada zmieszana*). Proszę pana!...

RYSKIEWICZ. Co się stało?

SŁUŻĄCA. Może pan wyjdzie na chwilę— na wschody.

RYSKIEWICZ. Po co?

SŁUŻĄCA. Tam jest ktoś... co ma panu coś bardzo ważnego powiedzieć...

(wybiega).

RYSKIEWICZ. Także! Niech wejdzie do kuchni! Cóż u djabła?

(narzuca palto, bierze kapelusz, podnosi pelerynę — wiesza ją w szafie. Jadwiga patrzy z wielkim niepokojem na drzwi kuchenne. — Ryskiewicz wychodzi — Jadwiga patrzy ciągle z natężeniem na drzwi. Powoli wsuwa się służąca. Idzie do pieca — przyklęka i zaczyna poprawiać w piecu).

JADWIGA (*odwraca się do służącej*). Co tam się stało?

SŁUŻĄCA (*zmieszana*). Co?... Gdzie?... nic proszę pani. — To nic! Jak Bozię kocham... to tak tylko... Ktoś w interesie do pana.

JADWIGA. Kto?

SŁUŻĄCA (*kieruje się ku wyjściu*). Ja sama niewiem. A potem — pan nie kazał mówić.

(Jadwiga wstaje, idzie do okna i patrzy przez nie).

JADWIGA. To pan tam idzie? Z jakimś drugim człowiekiem... gdzie oni idą...

SŁUŻĄCA. A tak — pan poszedł z tym jakimś nieznajomym. Zdaje się poszli do panowej kamienicy — tej co się buduje.

(Wychodzi szybko — coraz więcej zmieszana).

SCENĄ PIĄTA.

JADWIGA, później KORSKI.

Jadwiga stoi przy oknie, potem pociera ręką po czole. — Jest widocznie czemś silniej zaniepokojona. Przeczucie jakiejś katastrofy odbija się wyraźnie na jej twarzy. Wchodzi na chwilę do sypialni — widać przez otwarte drzwi jak snuje się bez celu dokoła — w tej chwili drzwi od kuchni się otwierają i wchodzi przez nie Korski. — Służąca zagląda za nim przeze drzwi.

SŁUŻĄCA. Pani musi być albo w salonie, albo w sypialnym pokoju.

(Cofa się). W tej chwili Jadwiga staje na progu sypialni)

JADWIGA. Pan tu?

KORSKI. Tak. Czy pani sądziła, że pozwolę, aby noc przeszła po tem, co się stało?

JADWIGA (*z wyczerpaniem, postępując ku lampie*). Przeszłam w tych kilku godzinach tyle — przeżyłam tyle nadziei, zawodów — tak mną sponiewierano moralnie, fizycznie — tak mnie poszarpano w strzępy, że proszę — pozwólcie mi skleić z tych ruin imitację duszy, mogącej się jeszcze obracać między wami. — Na to potrzebuję spokoju!

KORSKI. Zechciej mnie pani zrozumieć. Ja nie przychodzę jak banalny donżuan, który znieważył kobietę, prosić ją o przebaczenie. Ja tylko obecny chcę po części usprawiedliwić tamtego siebie. Cóż ja winien, że we mnie jest tylu ludzi, a każden z nich ma inną egzystencję i do tej egzystencji chce nagiąć fakta i zdarzenia innych istot.

JADWIGA. Zdarzenia pańskiego istnienia ale nie tych, którzy się do pana zbliżają.

KORSKI (*patrząc na nią uważnie*). Pani musiałaś być rzeczywiście dziś ogłuszoną swojem cierpieniem, skoro w mych wyciągniętych rękach dostrzegłaś jedynie żądzę.

JADWIGA. Och ten gest!

KORSKI (*szybko*). A mój głos? a ten krzyk, który się do pani rwał?... ta radość, żem w pani odkrył rozkwit prawdziwej piękności, mojej piękności? — O!... wolno pani było odsunąć moje ręce, ale, należało — pozostać. — Gdy pani wyszła, zacząłem analizować przebytą chwilę — stanąłem przed sobą w roli sędziego i doszedłem, że okrzyk mój był inny, niż pani przypuszczałaś. Zrozum, przypomnij sobie. — Kilka chwil wstecz mówiłem — nie pragnę niczego więcej, jak zawołać, wyciągając ręce — „kwiat" — z całem odczuciem jego piękności. Zajaśniałaś mi nagle jak kwiat, — ujrzałem cię taką, jaką nigdy nie widziałem i moja dusza padła przed tobą z uwielbieniem...

JADWIGA (*spokojnie, patrząc mu w oczy*). Kłamiesz pan! Uczułam twe usta na mej twarzy.

(milczenie).

KORSKI (*głosem cichszym*). Gdyby nawet tak było... to znaczy, że cała moja istota rwała się ku tobie. Powtarzam ci raz jeszcze. Mogłaś gestem królewskim ograniczyć pragnienie mej rozkoszy, lecz czując czem dla mnie jesteś, w tej chwili, powinnaś była pozostać.

JADWIGA *(po krótkiej pauzie)*. Tak pan sądzisz? Lecz teraz zastanów się nad mojem położeniem. — Przychodzę do ciebie, pełna wiary i ufności. — Zrywam zasłonę, kryjącą moje najtajniejsze rany. Roztaczam przed tobą całą tragedję mego nędznego życia... a pan myślisz w tej chwili o tem, że łzy mnie czynią w tej chwili powabniejszą i widzisz we mnie... kwiat! *(nagle)*. Ależ ja przyszłam do pana po radę, jakiej pan nie odmawiasz swoim klijentkom, którym prowadzisz... rozwody.

KORSKI. Pani chcesz się rozwieść ze swoim mężem?

JADWIGA. W jakimże innym celu byłabym do pana przyszła?

(milczenie).

KORSKI. Nie skarżyłaś się pani nigdy.

JADWIGA. Należę do kobiet, które są za dumne, by żądać współczucia... Od wczoraj pragnienie wydostania się z tych ścian budziło we mnie szalone myśli. Lecz widać nie mam dość sił dla zostania samotnym człowiekiem, a może znów zamało cierpiałam, aby te siły we mnie wzrosły—i ten pierwszy cios, jaki mi pan zadałeś—zawrócił mnie z drogi.— Wróciłam!... jak pan widzi... wróciłam do klatki, do żłobu.—Jestem tu znów i prawdopodobnie... pozostanę tu do śmierci.

KORSKI. Gdybym nawet nie postąpił tak jak się stało... musiałbym odmówić pani mej pomocy.

JADWIGA. Dlaczego?

KORSKI. Mąż pani jest moim kolegą ze szkolnej ławy. Żyjemy w przyjaźni. Względy światowe nie pozwoliłyby mi występować jako adwokat pani w tej sprawie.

JADWIGA *(ze smutnym uśmiechem)*. Względy światowe pozwoliły panu jednak obejść się z żoną przyjaciela, jak pan to uczyniłeś przed chwilą.

(milczenie).

KORSKI. Po wyjściu pani... zaszedł fakt... dowiedziałem się o czemś, co było materjalnem potwierdzeniem tego, coś pani o swem pożyciu z mężem przedemną wyznała.

JADWIGA. Domyślam się. Spotkałam na progu dziewczynę, która miała na sobie moją kupioną odemnie odzież...

KORSKI. Tak. To jest fakt drobny, nic nieznaczący, a przecież otworzył mi oczy i wstrząsnął mną całym.

JADWIGA. Więcej niż moje łzy?

KORSKI. Tak. Bo z tego faktu wysnułem sobie właśnie tę nędzę życiową, w jakiej pani się obracasz.

JADWIGA. Stokroć gorsza nędza moralna, w jakiej żyć jestem zmuszona.

KORSKI. Przecież można się odgraniczyć— Pani stworzyłaś sobie świat swój własny, w nim pozwoliłaś mi pani przebywać.

JADWIGA. Panie Korski! To był świat sztuczny, ogród wiszący, przyczepiony na jałowej skale. Ja się do niego wdrapywałam kosztem takich moralnych wysiłków, o jakich pan nie masz pojęcia!—I widziałam wciąż brutalną rękę, która szarpała i niszczyła to, com wnosiła w swe życie z piękna i łagodnego wdzięku! Pan mówisz o braku pieniężnym, o moich kłamstwach i troskach robaka, który szuka żeru i pełza wśród śmietniska... a!... co to wszystko w porównaniu z tym bólem, że moje myśli i moje czyny nie mogą iść tak równo, jak idą skrzydła ptaka, zawisłego w powietrzu. Myśli biegną w górę... czyny w formie drobiazgów mętnych, fatalnych ciągną mnie w odmęt nizin. Nie chcę szczęścia... ale chcę spokoju... spokoju, w którym mogłabym zrozumieć bicie własnego serca, i mogła żyć — życiem wewnętrznem.

ostatnie słowa wymawia Jadwiga jak we śnie, przymykając oczy, i siedzi tak chwilę pogrążona w milczeniu)

KORSKI. Czy jesteś pani zrezygnowana zupełnie? —

JADWIGA *(niskim głosem)*. Nie, — skłamałabym, mówiąc, że wyrzekłam się mych marzeń. Ale — przeczuwam w tej chwili coś strasznego — jakąś silniejszą, potężniejszą katastrofę, niż moja życiowa rozterka. — Od kilku chwil opanowała mnie trwoga, której pokonać nie jestem w stanie... Czekam, że się stanie jakiś fakt, który i mnie pociągnie za sobą. — *(zakrywa ręką oczy)*. Dlatego mam w tej chwili pozór rezygnacji... Zresztą, je-

stem na takiem rozdrożu, iż nie widzę już siebie dokładnie.

KORSKI (*cicho*). Jaka mi pani w tej chwili jesteś... droga! —

(Jadwiga podnosi głowę — patrzy na niego w milczeniu — wreszcie znów zasłania ręką oczy).

KORSKI (*j. w.*). I jak ja panią za to w tej chwili cenię, że nie wzięłaś tego słowa inaczej jak było wymówione. — Nieszczęściem mojem jest to, że ja przeestetyzowałem swoje życie. Ja w gruncie rzeczy składam się z całej teorji dyletantów i tem się zabijam — (*po chwili*). — Czy pozwoli mi pani bywać tutaj jak dawniej?

JADWIGA. Kto wiedzieć może, gdzie jutro będę i co się ze mną stanie. Lepiej jednak będzie, gdy przestaniesz tu przychodzić.

KORSKI. Dlaczego?

JADWIGA. Pan już wiesz zadużo! Pan będziesz patrzył na mnie jak na ofiarę, a mnie to będzie upokarzać. A potem — dziać się tu będą przykre rzeczy. Fatalne, konwulsyjne usiłowania zrzucenia ze siebie łańcuchów! To będą wysiłki tak smutne, że aż szpetne i zniechęcą pana odrazu.

KORSKI. Nie sądzę.

JADWIGA. Ależ tak. Załamie się w oczach pana linja mego spokoju i — uciekniesz pan. — Lepiej — odejdź! — Byłam dla pana dotąd kwiatem — dusza moja ogrodem — a ten krąg lampy cichym przybytkiem

spokoju. — Teraz — nic z tego nie będzie. Pod kręgiem lampy będzie albo konwulsyjne może bezsilne szarpanie się spętanej kobiecej duszy — albo agonja powolna, bezbarwna i wstrętna... To nie dla pana — a przynajmniej nie dla tych ludzi, których poznałam w panu. Na to trzeba więcej jednolitej natury, a pan byłbyś tylko... dyletantem przyjaźni.

KORSKI. Ale miałabyś pani choć taki cień przyjaciela przy sobie.

JADWIGA. Musiałbyś być równocześnie i takim samym przyjacielem mojego męża. — A potem, ja w przyjaźń pomiędzy kobietą i mężczyzną nie wierzę... Musielibyśmy albo się pokochać, albo znienawidzieć wzajemnie. *(Poruszenie Korskiego).* Pan mnie nie znałeś z tej strony. — Nie przypuszczałeś, że ja mogę wymówić takie śmiałe słowa. — Widzi pan!... to rozpoczyna się łamanie mej duszy. Odejdź pan! Będę ci za to wdzięczna. —

KORSKI. Czuwać będę nad panią zdaleka.

JADWIGA. To niepotrzebne. Przeznaczenie moje spełni się, choćbyś pan stał najczujniej na straży. Ani moja, ani pańska myśl nie zapobieże faktom. Zostaw mnie pan swemu losowi. Czuję, że jeszcze nie przeżyłam samej siebie. Gdy już będę tylko żyjącym trupem — pozwolę panu wejść znów pod krąg tej lampy.

(nagle urywa i patrzy na drzwi z natężeniem).

KORSKI. Na co pani oczekuje?

JADWIGA (*j. w.*). Jeszcze nie wiem — ale jestem przecież pewna, że tam w oddali spełniło się coś strasznego, coś co jest bezpośrednio z mym losem związane (*po chwili*). Pragnę pozostać samą!

KORSKI. Rozumiem!

(kłania się z daleka, chwilę patrzy na nią i cicho wychodzi drzwiami od przedpokoju. Słychać jak zamyka za sobą drzwi do sieni. Wszystko milknie. Jadwiga siedzi jak martwa pod światłem lampy. Służąca przechodzi do sypialnego pokoju, niosąc karafkę z wodą. Wraca, niosąc lichtarz z wypaloną świecą. Idzie do kredensu, wyjmuje świece i zaczyna jedną oprawiać w lichtarz. Służąca zapala świecę i stawia na kredensie, bierze lampę — przygląda się, że niema nafty i mówi).

SŁUŻĄCA. Lampa gaśnie. Ja doleję... (*nadsłuchuje*). Pan idzie, proszę pani!

(służąca idzie do kuchni. — Głos Ryskiewicza w kuchni).

RYSKIEWICZ. Parasol rozepnij i postaw w sieni.

SCENA SZÓSTA.

RYSKIEWICZ. JADWIGA.

(Jadwiga podnosi się z krzesła i wyprostowana z oczyma wlepionemi we drzwi czeka wejścia Ryskiewicza. Gdy ten wchodzi, zatrzymuje się przez chwilę, tak go wzrok Jadwigi przeraża. Ryskiewicz jest blady i trochę zmieszany — chwilowe milczenie).

JADWIGA. Co się stało?

RYSKIEWICZ (*opryskliwie*). Co się miało stać, nic się nie stało.

JADWIGA. Nie kłam!—Ja czuję, ja ci mówię, że czuję, że zaszło coś okropnego.

RYSKIEWICZ (*unikając wzroku żony*). No stało się — co się miało stać... Lepiej, że się odrazu dowiesz i zostawisz mnie w spokoju... Dlaczego tu tak ciemno?... No więc tak... Szydełkiewicz upił się — no — i bydle jedno— powiesił się... (*idzie ku kuchni*) Lampę dawaj!... Bestja na złość mi powiesił się na belce... w kamienicy... u mnie... (*zdenerwowany chodzi w głębi sceny*). Cham!—(*siada pod piecem w cieniu — chwila milczenia — nagle Ryskiewicz woła zdenerwowany*). Lampa!... (*milczenie*) Przysięgnę, że poleciała dopiero po naftę... (*chwilę milczy—potem zdenerwowany znowu woła*). Lampę dawaj!

(Nagle odzywa się głos Jadwigi, która pod wrażeniem wieści o Szydełkiewicza śmierci cofnęła się w cień, aż pod ścianę).

JADWIGA. Ależ... toś ty go zamordował -- ty!

RYSKIEWICZ. Oszalałaś?

JADWIGA. Ty!... ty!... ty jesteś moralnym sprawcą jego śmierci!

RYSKIEWICZ (*nerwowo*). Mnie sumienie nic nie wyrzuca.

JADWIGA. Ty mówisz o sumieniu, ty? Ależ ty urobiłeś sobie sumienie takie, jakie ci było wygodne, jakie było najlepsze dla twoich... interesów!... Podporządkowałeś wszystko, co jeszcze było z wznioślejszych uczuć w twej

duszy, powodzeniom twych przedsiębiorstw. O! tak—ty byłeś sprytny, wyjątkowy, zacny doskonały człowiek! — Tylko przez twoją zacność giną ludzie. Tam—trup Szydełkiewicza, tu chciałbyś mieć trupa we mnie!—

RYSKIEWICZ. Co to się znaczy? — Jakim tonem przemawiasz do mnie?

JADWIGA. Tonem człowieka, który więziony lata całe uzyskał prawo głosu!

RYSKIEWICZ. Ty byłaś więziona? ty? wściekłaś się — wychodziłaś kiedy chciałaś— a żem żądał, ażebyś była podczas obiadu i herbaty, to rzecz zupełnie naturalna.

JADWIGA. Ach ty płaska drobiazgowa duszo!... Sądziłam, że chociaż wśród katastrof tak strasznych jak morderstwo człowieka — wzniesiesz się i staniesz na wyżynie, a ty troszczyłeś się o parasol! o naftę!... Och! ta wieczna troska o tę codzienność straszliwą! Aleś ty wznosił do potęgi to, co się winno równać zeru w życiowym rachunku! Tyś przetrawiał swe istnienie, krusząc je na kawałeczki i kalecząc temi odłamkami duszę moją!...

RYSKIEWICZ (*z wybuchem*). Jest... dusza!... Znów **dusza** na tapecie!

JADWIGA (*z wybuchem*). Musi być — musi być! bo ona jest we mnie! bo ona jest mną, bo ona w tej chwili staje do obrachunku z tobą.—Kaleczyłeś ją, dławiłeś i chciałeś zniszczyć — a ona mimo to rosła i potężniała. — Jeszcze trochę, a kto wie — byłaby zgasła!

Wszędzie czułam twoją obecność i twoje panowanie... chwilę wniknięcia w siebie, chwile ciszy wykradałam jak klejnoty. Nie miałam nic swego, bo nawet do myśli moich zacząłeś się dobierać... Musiałam ci być posłuszną, gdy przyszła ci chęć plugawić moje ciało! musiałam znosić cię bez buntu i wstrętu.

RYSKIEWICZ (*z ironją*). Czy to od mamy nauczyłaś się robić takie sceny mężowi?

JADWIGA. Nie nauczył mnie tego nikt, nauczyła mnie moja własna nędza i własna walka. — Mogłam była zrobić ofiarę z siebie, gdybym czuła w tobie choć ślad moralnej wyższości. Byłabym żyła życiem drobiazgów i nakazała sobie milczenie. Lecz dziś widzę, iż rezygnacja moja byłaby zbrodnią przeciw mnie samej.

RYSKIEWICZ. Histeryczka!

JADWIGA. A! dziwiłabym się, gdyby nie padło to słowo z twych ust. Czekałam na nie. — Ilekroć w kobiecie budzi się poczucie jej własnej żywotności, ilekroć ona chce mieć swój świat wewnętrzny, świat złudzeń—świat odrębny i upomina się o niego—tylekroć razy pada na nią miano histeryczki!...

RYSKIEWICZ. Tylko warjaci i głupcy mogą się karmić iluzjami!

JADWIGA (*coraz gwałtowniej*). To jedyne dobro, jakie nam zostało! Iluzja piękna i piękno miłości. Lecz ty byłeś ślepy i na jedno i na drugie.—Natomiast miałeś dość siły, aby niszczyć to, co jest uśmiechem życia! Ani na

chwilę nie zapominałeś o sobie i nigdy nie miałeś łagodności ustąpienia innym miejsca pod słońcem! Jesteś mi nienawistny... Nie widzę cię w tym cieniu, ale przeczuwam cię i dusza moja kona z tego zbliżenia się do twej istoty! Nienawidzę cię!... nienawidzę cię!...

RYSKIEWICZ. Jezeli myślisz, że zawołam do ciebie doktora, aby cię przyprowadził do przytomności, to się mylisz.

JADWIGA (*coraz namiętniej*). Nie chcę doktora nie jestem chora. Przeciwnie — moja martwota i bierność była mą chorobą. — Wiedziałam, czułam, że stanie się coś wielkiego, co mnie pociągnie za sobą... Trup tamtego człowieka jest moją dźwignią. Nie dam się zamordować!!! Nie dam się zamordować!!!

RYSKIEWICZ. Milcz!...

JADWIGA (*jak w szale*). Żyję jeszcze!... żyję!... dusza we mnie jeszcze żyje!

RYSKIEWICZ. Dość mam tego! Szalej tu sama. Ja idę spać! Z taką warjatką jak ty nie mam nic wspólnego, ani nie chce mieć nic do czynienia. (*wchodzi do sypialni, zabiera świecę, widać jak chwyta poduszki i kołdrę i wyrzuca je do jadalni — Ryskiewicz z ironją*). Z takim jak ja szubrawcem — tak wyjątkowa istota nie może przebywać w pobliżu. — Proszę sobie spać na sofie! (*zamyka drzwi z trzaskiem na klucz — Jadwiga pozostaje w ciemności — z okna pada tylko struga światła od latarni. Jadwiga stoi chwilę nieporuszona — wreszcie*

posuwa się — biegnie do sofy, chwyta okrycia, kapelusz, odziewa się — biegnie do drzwi wchodowych — otwiera je — staje naprogu — widać zupełnie ciemną głąb sieni — Jadwiga idzie w ciemnię parę kroków, potem staje niezdecydowana — zawraca się wolno, wchodzi do pokoju — zrzuca kapelusz — opiera się o ścianę i mówi do siebie zdławionym głosem). Nie mam siły!

(wchodzi służąca, która spogląda na nieład w pokoju, powoli podnosi pościel i składa na sofie — idzie do kuchni i gdy staje znów na progu z lampą, Jadwiga zbliża się chwiejącym krokiem do sofy — upada na nią i mówi cicho do sługi).

JADWIGA. Jutro skoro się zbudzisz — pobiegniesz po starszego pana... niech tu zaraz przyjdzie! —

(leży z głową wciśniętą w poduszki — służąca się cofa — scena pozostaje chwilę pusta, słychać tylko bardzo cichy jęk Jadwigi).

Kurtyna zapada.

AKT CZWARTY.

(Pokój ten sam, co i w akcie poprzednim. Na kanapie leży Jadwiga w tej samej prawie pozie jak przy końcu aktu III. — przez zapuszczoną roletę widać dzień jasny. — Na ziemi stoi miednica z wodą, a w nią wstawiona świeca dogasa. Chwila milczenia. — Drzwi od sypialni uchylone i widać jasny pas światła. — Jadwiga budzi się, leży chwilę z otwartemi oczami, potem siada na kanapie i widać na jej twarzy wysiłek myśli, jakby usiłowała sobie przypomnieć co się stało. Jest blada bardzo, oczy podsiniały, włosy rozrzucone. Zwłóczy się z sofy i idzie do kuchni. Spotyka się we drzwiach ze sługą).

SCENA PIERWSZA.

SŁUŻĄCA — JADWIGA.

SŁUŻĄCA. Chwała Bogu, że się pani przebudziła...

JADWIGA. Byłaś u starszego pana?

SŁUŻĄCA. Byłam. Jeszcze spał... ale powiedzieli mi, że zaraz mu powiedzą jak się obudzi — (*chwila milczenia*). Samowar gotów, ja herbaty pani przyniosę.

(biegnie do kuchni. — Jadwiga wraca na sofę i siada. Służąca wchodzi, niesie szklankę herbaty i rogaliki).

SŁUŻĄCA. Niech pani wypije choć ćwierć szklanki. Pani taka blada! *(po chwili)*. Nasz pan już poszedł do biura... *(po chwili)*. Ja do miasta wzięłam swoje, bo nie chciałam panią budzić.

JADWIGA *(cicho)*. Dziękuję ci! —

(siedzi, nie pije herbaty).

SŁUŻĄCA. Pani się tak zmartwiła bez Szydełkiewicza! Pewnie to już źle dla pańskiej kamienicy jak on się tam na belce powiesił. *(po chwili)*. Pan powinien ten dom zaraz sprzedać!

(dzwonek).

JADWIGA *(zrywa się)*. To — ojciec... idź otwórz! —

(sługa idzie — otwiera drzwi wejściowe, wchodzi Antoniewicz — wysoki — siwy — wspaniały mężczyzna. — Widać w nim rasę, wyraz twarzy melancholijny chwilami, chwilami stanowczy — w ogóle natura zamknięta, nieprzystępna. — Twarz poorana zmarszczkami, wąsy długie siwe).

SCENA DRUGA.

ANTONIEWSKI — JADWIGA — SŁUGA.

JADWIGA *(z wylaniem serdecznem)*. Ojciec!...

ANTONIEWSKI. Cóż to? jesteś chora? — Cóż tu tak ciemno? Oczy cię bolą?

(Jadwiga pod wpływem głosu i widoku ojca, który z roztargnieniem podał jej rękę do pocałowania, zaczyna tracić pierwotny szczery zapał).

JADWIGA (*do służącej zmieszana*). Podnieś story!

(służąca podnosi story i wychodzi do kuchni — w jakimś czasie słychać uderzenia tasaka o stolnicę, tak jak wtedy, gdy kto sieka mięso).

ANTONIEWSKI. No więc o co chodzi? — Mów prędko, bo niemam wiele czasu...

JADWIGA (*zmieszana*). Tak?... a jakie ojciec ma zajęcie?

ANTONIEWSKI. To już moja rzecz... o co ci idzie?

(chwila milczenia).

JADWIGA. Niechże ojciec siada.

(Antoniewski siada).

ANTONIEWSKI. Miałaś mi coś pilnego do powiedzenia. — Sądzę, iż rzeczywiście jest to coś nader ważnego, że zamiast przyjść do nas, jak to było wskazanem, kazałaś mnie, ojcu, przychodzić do siebie.

JADWIGA. Przepraszam ojca za to, że go trudzę,... działałam pod wpływem chwili.

ANTONIEWSKI. Dziecko względem rodziców nie powinno działać nigdy pod wpływem chwili.

JADWIGA. Mnie się zdaje przeciwnie. Tylko taki czyn może być rzeczywiście szczery. (*odgarnia gorączkowo włosy z czoła*). Nie o to jednak chodzi.

ANTONIEWSKI. Może masz długi? — Z góry uprzedzam, że nie zapłacę.

ANTONIEWSKA. Mam długi lecz nie o nich chcę mówić z ojcem. Czy ojciec wie, że Szydełkiewicz nie żyje?

ANTONIEWSKI. Wiem czytałem o tem w dziennikach porannych. To fatalny wypadek. Widocznie był warjat!

JADWIGA. A czy ojciec wie, kto Szydełkiewicza... zabił?

ANTONIEWSKI. Sam się zabił.

JADWIGA. Nie. Jego ręką kierowała inna dłoń. Ja tu—niedawno dwa dni temu słyszałam jak mu powiedziano: „powieś się pan".

ANTONIEWSKI. Gdyby Szydełkiewicz miał religję, nie byłby podobnego głosu usłuchał.

JADWIGA. O tem nie wiem, ale ten, kto rzucił w mózg Szydełkiewicza myśl samobójstwa, ma to, co ojciec nazywa „wiarą" *(biegnie do komody i zdejmuje z niej książkę do nabożeństwa)*. Oto z czego się modli ten człowiek co wieczór, gdy spać idzie.

ANTONIEWSKI. Książka do nabożeństwa twego męża'—To pięknie z jego strony. Powinnaś go naśladować...

JADWIGA. Nie. Bo u mnie wiara zapisana w sercu i w czynach, a nie w słowach i myślach, podsuniętych przez kogoś obcego'—Dość, że mimo tej książki, mimo wyrytego na niej znaku — powiedziano tu — człowiekowi zrozpaczonemu—zabij się'...

ANTONIEWSKI. To się tak mówi'

JADWIGA. Czy ojciec by tak powiedział?

(chwila milczenia).

ANTONIEWSKI (*wzruszając ramionami*). Czy dlatego wezwałaś mnie tutaj? — Skąd to rozumowanie. — Rolą kobiety nie jest dociekać — ona wierzy w to, co jej podają.

JADWIGA. Zostawmy to na boku. — Lecz wychodzę z twoich słów, ojcze. — Kobieta wierzy — kobieta musi wierzyć w rodzinę, męża, w piękno, w dobro, w serce, w obszar duchowy — we wszystko,... bo inaczej nędza jej życia zadławi ją. I ja właśnie chcę w to wszystko wierzyć — a nie mogę, nie mogę... bo mi tu (*pokazuję pokój*) nie dozwalają.. Więc coś ze mną trzeba zrobić, ojcze, bo nędza życiowa mnie już... dławi...

(Antoniewski patrzy na nią zdziwiony).

JADWIGA. O' tylko nie tak patrz na mnie, nie jak obcy człowiek, nie tak jak patrzyłeś zawsze zimny i zamknięty w sobie. Patrz jak... ojciec, słuchaj jak... ojciec... a zrozumiesz... Ze mną trzeba coś zrobić, coś stanowczego' — Ja muszę ztąd iść.

ANTONIEWSKI (*zaczynając rozumieć*). Ty?... od męża?

JADWIGA. Ja nie mam męża... Jest w tym domu obcy jakiś człowiek, z którym ja porozumieć się pragnęłam i porozumieć się nigdy nie mogłam. Dziś to nieporozumienie staje się tak silnem. że już równa się tragedji życia... mojego życia. — Chcę, pragnę się ocalić,

chcę wyjść z tego domu, gdzie tak niepodzielnie zapanowała, codzienna doskonałość tamtego człowieka.

ANTONIEWSKI. Przysięgłaś — musisz dotrzymać.

JADWIGA. Przysięgałam liczbie niewiadomej. Trzymał mnie za rękę przed ołtarzem sfinks — cień... przyszłość.—Nie znałam tego człowieka wcale.

ANTONIEWSKI. My zato zasięgnęliśmy wiadomości! Twój mąż jest uczciwym człowiekiem. Żadna plama na jego sumieniu nie ciąży.

JADWIGA. A więc tak. Skoro chcecie jest on tą „doskonałością". Wszakże sama to przyznałam przed chwilą. — Lecz, ojcze, w tej chwili zdaje mi się, iż troszczysz się więcej o niego niż o mnie.

ANTONIEWSKI. Co mu masz do zarzucenia? co? — Czy zdradza cię?

JADWIGA. Niewiem. —

ANTONIEWSKI. Pije? hula? gra w karty?

JADWIGA. Nie — nie — nie.

ANTONIEWSKI. No więc cóż?...

JADWIGA. Ależ usposobienia nasze są inne! Ja w ciągłej z nim jestem rozterce. Porównać mogę nas oboje do dwojga zwierząt chodzących w jarzmie, z których jedno trzyma kark ku ziemi schylony, — drugie patrzy

w górę... Ciągle słyszę słowo — pieniądz — zarobek — wydatki — kamienica...

ANTONIEWSKI. Nie jesteście bogaci... tak być musi.

JADWIGA *(coraz więcej zdenerwowana).* Dlaczego jednak ty, ojcze, o! słyszałam to, będąc w domu — dlaczego ty, ojcze, uciekałeś zawsze z domu, ile razy mama wszczynała z tobą kwestje pieniężne. Zastanów się, pomyśl — jestem twoją córką, może mam coś z twych pragnień, z twych dawnych ideałów i myśli...

ANTONIEWSKI. Badałaś moje życie?

JADWIGA (*szybko*). Nie, ojcze! tylko żyłam z tobą, a nie obok ciebie — tak jak ty właśnie żyłeś z nami — Wiem... dziwi cię to, co mówię w tej chwili, nie podejrzewałeś że ta dziewczynina, którą dla „zasady" posłało się na pensję — myśli coś, uważa, odczuwa... Ale tak było! — Gdy czasem z braćmi mojemi wdałeś się w jakąś głębszą rozmowę, aż krzyczało coś we mnie, że ja intuicją odgaduję lepiej to wszystko, niż oni... A po za tem moja drobna dusza była zawisła od twojej... Byłam ciągle twojem dzieckiem, choć ty bardzo szybko przestałeś być mi ojcem

ANTONIEWSKI (*kreśląc parasolem zygzaki po ziemi*). Dziewczyny należą do matki!

JADWIGA *(nagle zasmucona patrzy przed siebie).* Szablon!...

(Antoniewski siedzi zamyślony, głęboka bruzda przecięła mu czoło. — Chwilowe milczenie).

JADWIGA (*jakby się ocknęła*). Odbiegliśmy, ojcze od przedmiotu... Powiedziałam ci, że tak jak ty uciekałeś z domu, gdy była mowa o cyfrach i o tem, co cyfry za sobą pociągają tak i ze mnie odbiega życie i ja cała poprostu drętwieję...

ANTONIEWSKI (*podnosi na nią znużone życiem oczy*). Jeżeli nawet tak było — czas przekonał mnie, że matka twoja, licząc, miała słuszność. — Pogodziłem się z cyframi, dziś i ja liczę, starając się, ażeby moje dzieci miały choć cokolwiek i żeby nam się coś na starość zostało. — Gdy i ty zostaniesz matką — zrozumiesz, że cyfry, to potęga w życiu.

JADWIGA. Może być, ojcze — jednak bronię się, bo czuję, że bronić się powinnam.

ANTONIEWSKI. Nie możesz jednak bronić się kosztem twej własnej reputacji.

JADWIGA. Nie rozumiem.

ANTONIEWSKI. Każdy winę złoży na ciebie. Będziesz zgubiona w oczach świata.

JADWIGA. Świat mój jest we mnie.

ANTONIEWSKI. To są złudzenia! Życie każe ci wchodzić w codzienny kontakt z ludźmi i ustanowionemi przez nich prawami. A ja nie mogę na to zezwolić, aby na córce mojej ciążyła jakaś plama. —

JADWIGA. Więc wolisz moją śmierć moralną?

ANTONIEWSKI. Gdy lata przeminą to co ci się wydaje „śmiercią“ wyda się ułudą... niczem...

JADWIGA. Czy tobie, ojcze, wydaje się to także ułudą... marą...

ANTONIEWSKI (*wymijająco*). Ja — wytrwałem — i ty wytrwać musisz. — Jedno nie jest ułudą... obowiązek. — Kobieta musi jeszcze dodać do swego katechizmu — poświęcenie.

JADWIGA (*rozpaczliwie*). Dla kogo? dla kogo?

ANTONIEWSKI. Dla czystości twej reputacji, dla świętości złożonej przysięgi.

JADWIGA. Więc dla tych przyczyn mam tu znów pozostać?

ANTONIEWSKI (*wstając*). Tak... i pozostaniesz... czekać będziesz...

JADWIGA. Na co? na co?

ANTONIEWSKI (*b. prosto*). Na spełnienie twego obowiązku. Na... dzieci!

JADWIGA. Na... dzieci?... Lecz jakież one będą te istoty, w których nie zadrga nic z piękności połączenia dwojga dobranych dusz? Dalszy ciąg mej nędzy, dalszy ciąg wieczystego nieporozumienia rodziców! Przyjdą z piętnem tragicznem na duchu. Jeśli iddziedziczą moją istotę, będą obce dla ojca o on ich nigdy nie zrozumie, jeżeli będą nim, staną się dla mnie obcemi. Zamiast dwojga istot, bijących się moralnie o ściany tej klatki,

to, co ty, ojcze nazywasz obowiązkiem moim, da powód pomnożenia się liczby takich nierozumiejących się istot. I ja mam czekać na to wypełnienie obowiązku? Mam brać udział w tej zbrodni? Nigdy!...

ANTONIEWSKI (*spokojnie patrzy w przestrzeń*) A jednak tak być musi... Większość ludzi przychodzi na świat w podobnych warunkach.

JADWIDA (*rozpaczliwie*). I ta większość cierpi, męczy się, pokutuje... Ja to wiem najlepiej... ja... ja dziecko obowiązku, dziecko nieporozumienia!...

(pada z płaczem na krzesło i ukrywa twarz w dłonie).

ANTONIEWSKI. Milcz!... Sama nie wiesz, co mówisz! Boże mi przebacz — lecz ty zdajesz się sądzić swoich rodziców!

SCENA TRZECIA.

ANTONIEWSKA. — ANTONIEWSKI. — JADWIGA.

ANTONIEWSKA (*wchodzi żywo zaaferowana*). A... jeszcze jesteś tutaj?... Dzień dobry, Jadziu... idąc do miasta, wstąpiłam sama, chcąc cię prosić, ażebyś nam na wieczór pożyczyła srebra i kieliszki do czerwonego wina. Przyjdziecie oboje!... Będą Podczaszyńscy — zdaje się, że się wreszcie ten marjaż sklei... (*idzie do kredensu, otwiera i wyjmuje kieliszki*). Ja sama wyjmę kieliszki, bo jeszcze sługa potłucze. — Koszyczki także wezmę... (*przerywa, patrząc na*

męża i córkę). Co się wam stało?... Gdzie Ryskiewicz? W biurze?

ANTONIEWSKI. Stało się to, że córka twoja chce się rozstać z mężem.

ANTONIEWSKA (*zbliża się trzymając w ręku srebro*). Ona?... Jadzia?... dlaczego?

ANTONIEWSKI. Nie wiem! to wszystko co mówi, to nie są przyczyny. Dlatego też ja nie godzę się i nie pozwalam na to szaleństwo.

ANTONIEWSKA (*oburzona*). A któżby na to pozwolił? — Cóż to za jakieś feministyczne głupstwa? i to w chwili, gdy twoja druga siostra może wreszcie zrobić dobrą partję... (*gwałtownie*). Zawsze byłaś egoistką! Wyrabiaj, wyrabiaj, zniszcz szczęście swojej siostry!

JADWIGA *(z goryczą)*. Szczęście? — Ależ, matko, ty w tej chwili troszczysz się o to, aby jaknajwięcej naustawiać wieczorem fałszywych sreber na stół i niemi jak zwierciadło jaskółkę przywabić wreszcie drugiego Ryskiewicza dla swej córki.

ANTONIEWSKA (*do męża*). Słyszysz? — Wymawia nam platerowaną zastawę... Daliśmy ci wszystko, co dać mogliśmy. — Zresztą, co ci do głowy strzeliło?... Dlaczego chcesz się z mężem rozstać? *(milczenie)* Cóż? dowiem się nareszcie? *(do męża)* Może ty mnie objaśnisz?

ANTONIEWSKI. Mówi, że nie może się z mężem porozumieć!

ANTONIEWSKA *(wracając do kredensu)*. Fa-

cecje! Ja z tobą się nigdy nie mogłam porozumieć i przecież żyjemy z sobę lat tyle. — (wyjmuje dalej zastawę i stawia talerze i karafki na ziemi).

JADWIGA (*patrząc na nią z goryczą*). A jednak to nic nie pomoże, matko! Wy musicie ze mną coś zrobić...

ANTONIEWSKA. Co chcesz, żebyśmy z tobą zrobili? — Wychowaliśmy cię, wyrosłaś prosto i zdrowo, ojciec cię wyposażył, daliśmy ci wyprawę — czas już żebyśmy przestali się tobą zajmować. — (*przystępuje do niej, patrzy chwilę w jej oczy — wreszcie odwraca się do męża*). Idź stąd na chwilę — Zostaw nas same.

ANTONIEWSKI. Tak... tak...

JADWIGA (*z niepokojem*). Odchodzisz, ojcze? Co będzie ze mną?

ANTONIEWSKI. Jeszcze tu zajrzę. Spodziewam się, że znajdę cię inną. — (*od progu*). Mogłabyś oszczędzić swym rodzicom na starość podobnych zgryzot!

ANTONIEWSKA. Idziesz wysłać chłopcom pieniądze?

ANTONIEWSKI. Tak.

(wychodzi).

SCENA CZWARTA.

ANTONIEWSKA, JADWIGA.

Jadwiga upadła na krzesło. Antoniewska podchodzi do niej, staje i opiera się o stół.

ANTONIEWSKA. A teraz powiedz mi wszystko.

JADWIGA. To się na nic nie zda, matko. Przed chwilą probowałam mówić ojcu to **wszystko**, widzę jednak, że zrozumieć mnie trudno. Weźcie więc fakt jak jest...

ANTONIEWSKA (*przerywa*). Nie oszukasz mnie pięknemi frazesami. Jeżeli kobieta chce koniecznie rozstać się z mężem, któremu nikt niema nic do zarzucania, jasnem jest, że... musiała... zająć się kimś innym, że zapomniała o obowiązkach uczciwej kobiety, o przykładach, jakie miała w domu, i zeszła z prawej drogi!... (*milczenie. Jadwiga podniosła głowę i patrzy na matkę przygasłym wzrokiem. Słońce oświeca jej wielką, czystą, duchową urodę*). Milczysz? nie zaprzeczasz?... O! hańbo! o wstydzie!... Więc do tego doszłaś... Więc na to tak starannie wpajałam w ciebie zasady uczciwości kobiecej?... Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

JADWIGA. Patrzę na ciebie, matko, i podziwiam jak ty bardzo utonęłaś w szablonie tego, co kobietę może pobudzać do pozyskania wolności. Uspokój się—nie mam kochanka! nie mam nawet cienia kochanka...

(urywa, pociera ręką po czole).

ANTONIEWSKA. Czy mówisz prawdę?

JADWIGA. Czy przez te osiemnaście lat, które przeżyłyśmy obok siebie, raz jeden znalazłaś mnie kłamiącą?

ANTONIEWSKA (*po chwili, poważniej*). Nie. Byłaś zawsze szczerą i mówiłaś prawdę. (*po*

chwili). Jeżeli więc nie dla kogoś chcesz rozstać się z mężem, wytłomacz mi dlaczego to chcesz uczynić?

JADWIGA. Przedewszystkiem dla siebie. Zdaje mi się, że jeszcze istnieję i warto zająć się mną także naprawdę. —

ANTONIEWSKA. Mąż twój zajmuje się tobą o ile mu jego zatrudnienia pozwalają. — Często go widzę w domu. — Jeżeli nie chcesz sama z nim chodzić na spacer, do cyrku, do teatru, to już twoja wina. —

JADWIGA. Jego świat jest inny, mój inny.

ANTONIEWSKA. A! daruj moja droga! Nie jesteś orłem, ani genjuszem. Musisz trochę spuścić z tonu. —

JADWIGA. Nie, matko! To niemożliwe. Ja muszę pozostać tem czem jestem, nabyłam to poznanie rozkoszy, jaką wytwarza zawarte w nas samych piękno kosztem wielu myśli moich i cudzych, i dlatego chcę stąd iść, aby módz teraz pozostać w ciszy i spokoju. —

ANTONIEWSKA. Ale ocknij że się! — Gdzie pójdziesz? My cię do domu wziąć nie możemy. — Oprócz Wisi — Locia już dorasta. Jakiż konkurent znajdzie się do nich, skoro dom skandalizować będzie obecność separatki. — Jeżeli zamieszkasz sama, jeszcze większa plama padnie na te biedne dziewczęta. — Powiedzą ludzie, iż jesteś takiego rodzaju kobieta, iż właśni rodzice dom przed tobą zamknęli.

JADWIGA. Siostry moje mogą nie iść za mąż. —

ANTONIEWSKA. Oszalałaś! One są dziewczętami z krwi i kości, nie są „wyjątkami" tak jak ty i pragną tak jak ich matka znaleźć szczęście w małżeństwie.

JADWIGA (*powoli*). Tak jak ich... matka? Ale, mamo, czyś ty znalazła rzeczywiście szczęście w pożyciu z ojcem?

ANTONIEWSKA. Ja?... to jest... Zresztą małżeństwo jest obowiązkiem, a nie balem. — Stworzyłam rodzinę, dałam wam życie, wychowałam kosztem wielkich ofiar i nieporozumień z ojcem o każdy grosz.

JADWIGA. I — dziś — ty, matko, jesteś tak samo zmęczoną jak ojciec jest martwy i skostniały duchowo, a z tej garstki istot, którym tak dumnie życie dałaś, ja pierwsza ci powiadam — życie, gdy się o nie nie prosi, jest tragiczną katastrofą... A po mnie przyjdą moje siostry, te którym dziś zastawiasz srebrem stoły na przyjęcie ich narzeczonych, i te siostry ci powiedzą to samo, i tak samo zechcą uciec z tych klatek, w które je na kłódkę posagu zamkniecie.

ANTONIEWSKA. To już nie jest rzecz nasza — my nie przymuszamy was do małżeństwa. Jeżeli która z was jest potem nieszczęśliwą, to jej własna wina. — Może poznać swego narzeczonego.

JADWIGA. Kiedy? Jak? Gdzie?

ANTONIEWSKA. Byłaś zaręczoną trzy miesiące.

JADWIGA. I cóż stąd? I on i ja byliśmy w wiecznej paradzie, w ciągłem okazywaniu swych szablonów, w smutnej komedji pomiędzy wiecznie pilnującą „dla przyzwoitości" siostrą lub w otoczeniu obcych. Kiedyż mogliśmy dojść do porozumienia, my dwoje, którzy mieliśmy pozostać ze sobą „do śmierci"... w ciągłej spójni myśli i dusz?

ANTONIEWSKA *(po chwili — gorączkowo)*. Dlaczego ty nie chcesz być tak jak wszystkie kobiety podległą swemu losowi.

JADWIGA. Zkąd wiesz, matko, że **wszystkie** kobiety podlegają bez buntu swemu losowi?—Byłaś tu wczoraj, patrzyłaś na mnie mówiłaś ze mną — jesteś moją matką, więc złączoną ze mną tajemnem drganiem uczuć, a przecież nie domyślałaś się, że ja tu konam, że już dłużej nie mogę... nie mogę!... Gdy nie chcesz mnie wysłuchać jako matka— kobietą bądź i ulituj się drugiej kobiecie!...

ANTONIEWSKA. Właśnie—dlatego, że litуję się nad tobą — nie dozwolę, ażebyś szła na zgubę. — Za lat kilka dziękować mi będziesz, że nie dozwoliłam ci porzucić męża *(nagle)*. Zresztą to być nie może. Wisia i Lucia muszą wyjść za mąż! — *(siada zdenerwowana naprzeciw Jadwigi, która oparła głowę na*

krawędzi stołu, i mówi odmiennym przyciszonym głosem). Jadwigo... słuchaj co ci matka powie.

JADWIGA (*z przyciszonym jękiem*). Och! nigdy nie byłaś mi... matką! Wiecznie w rozterce z ojcem, z życiem, z mem jak je nazywałaś rozidealizowaniem... Wychowano mnie bez objawów serca, bez pieszczoty, bez pocałunku... bez ciepła. Miałam modnie skrojoną sukienkę lecz nie pocałowałaś mnie nigdy, nie obudziłaś wiary w siebie, w miękość swoją!... Nie byłaś mi matką! Bałam się ciebie... a powinnam cię była ubóstwiać.

ANTONIEWSKA (*wpatrzona w Jadwigę i wsłuchana w jej słowa*). Zbyt wiele miałam obowiązków do wypełnienia...

JADWIGA. Nie uzbroiłaś mnie miłością do życia, i dziś ja cierpię.

ANTONIEWSKA. Przezemnie?

JADWIGA (*cicho*). Tak!—

(Długa chwila milczenia, słońce oświeca grupę obu kobiet, siedzących nieruchomo).

ANTONIEWSKA. Kochałam was przecież bardzo... kochałam po swojemu. Walczyłam z ojcem o dobrobyt materjalny, oto, abyście dorównały innym... (*w zamyśleniu*). W chorobie was pielęgnowałam, starałam się wyszukać wam uczciwych mężów... Badam się, szukam, nie mam sobie nic do wyrzucenia.

(milczenie, zegar bije dziewiątą).

ANTONIEWSKA (*zrywając się*). Jezus Marja. Dziewiąta a ja nie byłam jeszcze w mieście! Teraz nie dostanę nic porządnego. Widzisz, widzisz, co się przez ciebie dzieje.

(Jadwiga zrywa się i szuka kapelusza).

ANTONIEWSKA. Gdzie idziesz nieuczesana? nieubrana?

JADWIGA. Idę do was, idę z tobą.

ANTONIEWSKA. To niemożliwe... powtarzam ci po raz ostatni! Dziś jest wieczór dla Podczaszyńskich, prawdopodobnie dziś się oświadczy! Nie rób nam tej hańby! nie bądź egoistką! nie rób skandalu!...

(Jadwiga opiera się o stół).

SCENA PIĄTA.

KORSKI. — ANTONIEWSKA. — JADWIGA.

ANTONIEWSKA. A! to pan panie adwokacie...

KORSKI. Tak. Zięć pani był u mnie, idąc do biura, to co mi powiedział, skłoniło mnie, ażebym tu przyszedł.

ANTONIEWSKA. Czy to... co do... rozwodu?

KORSKI. Nie. Pan Ryskiewicz mówił ze mną ogólnikowo na wypadek, gdyby pani Jadwiga trwała w swym zamiarze i chciała się z nim rzeczywiście rozstać.

ANTONIEWSKA *(żywo)*. Ależ ona nie chce, ona tego nie może chcieć to przecież skandal! Kto ożeni się z jej siostrami powiedz pan... każden powie: i tamte będą takie same. Mąż tu za chwilę nadejdzie — niech pan tu pozostanie i powie mu, co zięć mówił. — Ja muszę spieszyć do miasta! — Przyślij mi dwanaście kieliszków, srebro stołowe — koszyki i talerzyki deserowe... Ale — może i pan, panie mecenasie, do nas pozwoli dziś wieczorem. Małe zebranie... herbatka... No do widzenia, Jadwigo! Wracając z miasta, może jeszcze wstąpię... *(bierze się za głowę)* Ach! moja głowa!...

(wychodzi. Jadwiga stoi nieporuszona z kapeluszem w ręku Korski zbliża się do niej i patrzy na nią z współczuciem).

KOSKI. Pani Jadwigo! porzuć pani tę myśl!

JADWIGA *(błędnie)*. Którą? rozstanie się z mężem?

KORSKI. Tak.

JADWIGA *(patrzy na niego rozszerzonemi oczami)*. Jakto? więc i pan? i pan?...

KORSKI. Tak — ja! — Zanim powiem w obecności ojca pani najważniejszy argument, sprobuję przedstawić pani stanowisko twoje, jakie cię czeka po rozstaniu się z mężem. Pamiętaj, że jesteś rzeczywiście małoletnia, że wyszedłszy stąd, nie istniejesz, nie masz prawa istnieć sama, bo dokumenta udzielić ci może tylko twój mąż.

JADWIGA. Separacja mi wróci wolność.

KORSKI. Względną. Lecz do tej chwili, gdzie pójdziesz? gdzie się obrócisz?

JADWIGA. Pójdę pracować.

KORSKI. Co umiesz?

JADWIGA *(po chwili)*. Nic—ale się... nauczę.

KORSKI. A do tej chwili? — Na rodziców swoich czy możesz liczyć? (*Jadwiga zasłania oczy*). Nie będą tolerować twego rozstania.— Opuszczona od wszystkich, bez środków do egzystencji, bić się dopiero zaczniesz z temi drobiazgami życia, które tak nienawidzisz. — I wierzaj mi, ten znienawidzony przez ciebie pokój, to okno więzienne, ta lampa, to całe wnętrze, które kryło w sobie tragedję twego życia wyda ci się w porównamiu z burzą życiową — spokojnem i szczęśliwem zaciszem, (*Jadwiga patrzy na niego zdumiona*). Tak, tak... długo w nocy myślałem nad pani położeniem i stawiłem się w twej sytuacji. I przyszedłem do przekonania, że walka taka nie dla pani **bo pani już sił nie masz.**

JADWIGA (*cofając się*). Kto to panu powiedział? Kto panu powiedział, że ja sił nie mam?

KORSKI. Wyczułem to... odczułem...

JADWIGA *(cicho)*. Tak... dziś w nocy... chciałam stąd iść... chciałam iść gdziekolwiek, byle daleko stąd! Doszłam do tych drzwi, otworzyłam je!... Owionął mnie chłód, ciemnica, pustka...

KORSKI. Ogarnął panią lęk...

JADWIGA. Tak... tak...

KORSKI. I cofnęłaś się pani. I cofniesz się tak raz drugi i trzeci!

JADWIGA. Nie...nie... to dlatego, że była noc.

KORSKI. Nie — to dlatego, że wewnętrzna walka zeżarła pani siły i to co cię podtrzymuje w tej chwili, to tylko nerwy, tak, nic więcej tylko nerwy. Podczas gdy dzisiejszej nocy ja robiłem obrachunek sił naszych wspólnych — pani faktycznie przekonałaś się, że tych sił nie masz.

JADWIGA (*zgnębiona*). Gdyby tak było w istocie, to byłoby straszne...

KORSKI. Będzie jeszcze gorzej. Ta czarna otchłań, która dziś uosabiała dla ciebie ta sień — jest niejako syntezą twego przyszłego, samotnego życia. Nawet sztucznego ogrodu, o jakim dawniej mówiłaś, nie zawiesisz w tej pustce. Tu — możesz wywołać ten miraż, odgraniczając się, chwilę od codzienności. — Tam codzienność przeniknie cię jak natrętna woń i zadusi piękność kwiatu...

JADWIGA (*z oczyma przymkniętemi*). Mam więc się zadowolnić kradzioną chwilą ułudy?

KORSKI. Pamiętaj pani, iż życie to, które widzimy, zostaje zwyciężone zawsze tem, co jest dla nas niewidzialnem, a potężniejszem istnieniem.

JADWIGA. Więc mam stać się martwą?

KORSKI. I — wyczekującą.

JADWIGA (*w zamyśleniu*). Jak mój... ojciec!

KORSKI. Kto wie, czy jego martwota nie jest tylko pozorną. Kto wie jaki świat utworzył sobie ten człowiek i w tym świecie się obraca — czyniąc ustępstwa zewnętrznemu życiu.

JADWIGA (*wpatrzona w Korskiego*). Tak pan sądzisz?

SCENA SZÓSTA.

KORSKI. — ANTONIEWSKI. — JADWIGA.

(Antoniewski, wszedłszy, przez chwilę mierzy wzrokiem Korskiego i Jadwigę — Korski podaje mu rękę.

KORSKI. Czekałem tu na pana.

ANTONIEWSKI. A! proszę... proszę... o cóż idzie?

KORSKI. Przystępuję od razu do rzeczy.— Zięć pana—a mój przyjaciel był rano u mnie i oznajmił, że żona jego pragnie się z nim rozstać.

ANTONIEWSKI (*z pewną trwogą*). On sam to panu mówił! (*pociera ręką po czole — długa pauza—wreszcie mówi cichym głosem*). A gdyby tak było!...

(Jadwiga rozpromienia się radosną nadzieją).

KORSKI. Byłoby źle pod względem materjalnym. Posag córki pana nie został zabezpieczony. Intercyzy niema..

ANTONIEWSKI (*milczy, po chwili mówi prawie drżącym głosem*). Komu dałem dziecko, mogłem mu zawierzyć i... pieniądze.

KORSKI. Pan wie, że Ryskiewicz trzyma się przedewszystkiem dokumentów prawnych.

JADWIGA *(do siebie)*. Trup Szydełkiewicza!...

ANTONIEWSKI. Na Boga! przecież nie zaprzeczy?

KORSKI. Uwięziwszy pieniądze w spekulacjach, będzie zwłóczył lata całe...

ANTONIEWSKI (*zasłaniając oczy*). Tak, tak — on jest do tego zdolny! — (*nagle*). A ja drugiego posagu jej dać nie mogę. Mam jeszcze czworo... dwóch chłopców... nas dwoje. *(ze znużeniem)*. A potem... proces!

(siedzi zamyślony i patrzy w podłogę).

KORSKI. Długi proces.

ANTONIEWSKI. I jaki upokarzający!

(milczenie).

ANTONIEWSKI *(cicho)*. Przeczuwałem to! przeczuwałem to!

(nagle Jadwiga odrywa się od ściany, przy której stała, i zbliża się do Korskiego).

JADWIGA. Czy pan wiesz, że ta walka od wczoraj wpędziła mnie w taką wstrętną

atmosferę... tak mnie oplątała siecią goryczy i grozy... że...

(stoi oddychając ciężko),

KORSKI. Dokończ pani! dokończ!...

JADWIGA. Że ja zaczynam pragnąć dawnej ciszy, takiego jednego wieczoru, tu pod lampą—w obrachunku ze sobą samą i... w oczekiwaniu na me przeznaczenie.

(zasłania oczy).

KORSKI. Widzi pani—widzi pani!... ja miałem rację.

JADWIGA. Ale jakie to okropne! jakie to okropne!

ANTONIEWSKI (*do Korskiego lękliwie*). Co ona mówi?...

KORSKI. Mówi w myśl pana (*cicho*). Ja pójdę po Ryskiewicza do biura, niech to się raz skończy.—

(wychodzi do kuchni).

ANTONIEWSKI (*po chwili, patrząc błagalnie na Jadwigę*). Zostaniesz?

JADWIGA (*padając na krzesło bez sił*). Tak

ANTONIEWSKI (*ocierając oczy*). Dziękuję ci!—Postępujesz jak dobra córka.

JADWIGA. Oszczędzam ci ojcze zetknięcia się z wielkim brudem moralnym i ze straszną podłotą. — Zrozumiałam z jakim trudem wznosiłeś dokoła siebie mur, po za którym

ukryłeś swoją biedną, zmęczoną duszę. Nie chcę ci robić wyłomu w tym murze. Bądź spokojny. Zostaję... i dziś ja rozpoczynam wznosić dokoła siebie taki mur ratunkowy, po za który ukryję duszę moją.

ANTONIEWSKI (*wyciąga ku niej rękę*). Powiedziałem ci, że jesteś dobrą córką, ale w tej chwili widzę, że jesteś czemś więcej.

JADWIGA (*ze smutnym uśmiechem*). Dokończ twej myśli, ojcze, to mi ulgę sprawi.

ANTONIEWSKI. Jesteś... dobrym człowiekiem.

JADWIGA. Teraz ja ci dziękuję, mój ojcze!—(*po chwili ze łzami*). Pocałowałeś mnie raz pierwszy, ojcze, gdy szłam do ślubu, pocałuj mnie teraz, tak jakbyś mnie składał do grobu.

ANTONIEWSKI (*całując ją w czoło*). Dlaczego tak mówisz?

JADWIGA. W życiu ludzkiem bywa chwila, w której się coś w nas łamie—ojcze.—Umieramy za życia. — Doszliśmy do kresu. — Po takiej chwili już tylko nasz cień, nasz trup wlecze się przez życie. — Taka chwila przyszła na mnie. Życie moje się skończyło.

ANTONIEWSKI. I ja tak sądziłem. Zapominasz jednak o tem, że cofasz swą duszę po za wał ochronny,

JADWIGA. Brutalność pewnych natur i wał taki zniszczyć może.

(siedzą chwilę zamyśleni i zapatrzeni przed siebie).

ANTONIEWSKI (*patrząc powoli na Jadwigę*). Jak mało cię znałem do tej chwili! jak mało!

JADWIGA. A przecież to było tak proste... zatroszczyć się o duszę, której się początek dało.

ANTONIEWSKI. Tak, tak. Skoro się jednak walczy o to, aby to, co w nas lepsze nie rozpadło się w gruzy, nie myśli się o innych.

JADWICA. Może. (*Słychać siekanie mięsa w kuchni—potem przelewanie wody. Jadwiga po chwili* Czy jednak, mój ojcze, nie zechcesz mi powiedzieć jaki talizman miałeś w sobie, aby... **wytrwać**.

ANTONIEWSKI. Tobie — powiem! Oto— przyszedłem do przekonania, że skoro jesteśmy w porozumieniu z rzeczami wielkiemi i pięknemi—niewiele nas obchodzić powinno nasze nieporozumienie z drobiazgami małymi i szpetnymi. I w tem leży moja mądrość życiowa.

JADWIGA (*jakby uderzona tą myślą*), Tak, to jasne i prawdziwe. — Więc... gdy dusza moja jest w porozumieniu z pięknością natury, gdy odczuwa naprzykład to słońce... (*wyciąga ręce ku słońcu, które ją oświeca*) gdy sama upaja się pięknem rzeczy wewnętrznych... nie powinna dbać o to, co ją potrąca ukłóciami szpilek. — Zrozumiałam, ojcze!... Zrozumiałam!... Dążyłam zawsze do tego... (*po chwili z nagłym smutkiem*). Lecz sił mi brak!... Kontakt, w jaki wejdę z rzeczami wielkiemi, będzie zawsze

tylko uwielbieniem, dalekiem uwielbieniem! Będę jak trup bezczynna wobec światła i piękna! —

SCENA SIÓDMA.

JADWIGA. — ANTONIEWSKI. — KORSKI.

KORSKI *(wchodząc)*. Zięć pana przyjść nie chce.

ANTONIEWSKI. Jakto?

KORSKI. Mówi, że musi ocalić swą godność. W ogóle mówi dużo — tak dużo, iż lękam się czy to nie maska spadać zaczyna.

ANTONIEWSKI. Czegóż pragnie?

KORSKI. Czeka niedaleko u kupca w pokoju do śniadań. —

ANTONIEWSKI. I ja tam iść muszę? —

KORSKI *(rozkłada ręce bezradnym ruchem)*. Kamienica jest budowana na imię zięcia pana.

ANTONIEWSKI *(do Jadwigi)*. Czy to prawda?

JADWIGA. Niewiem, ojcze! Od dziś nic wiedzieć nie chcę. O jedno mi tylko chodzi! Przypomnij sobie od czasu do czasu, że my oboje jesteśmy złączeni nie tylko węzłem krwi, lecz że to z twej duszy moja powstała i dlatego jest inna, i dlatego jest tak... słaba. —

ANTONIEWSKI *(całując ją w czoło, cichym głosem)*. Bądź zdrowa — ty dobry człowieku! — *(do Korskiego)*. Chodźmy! To będzie

dla mnie jedna z najcięższych chwil w mem życiu.

(wychodzi).

KORSKI (*zatrzymując się, mówi do Jadwigi, która stoi zamyślona*). Czy pozwoli mi pani wrócić dziś pod krąg naszej lampy?

JADWIGA (*po chwili*). Powiedziałam już panu, że gdy zamrze we mnie wszystko — pozwolę panu przyjść i zająć dawne miejsce.

KORSKI. A więc?

JADWICA (*podając mu rękę*). Przyjdź pan. Będę czekała. —

KORSKI (*całując ją w rękę*). Dziękuję pani! Pamiętaj jednak, że na grobach rozwijają się najcudniejsze kwiaty. — Po za bramą cmentarną znaleźć można cuda barw i kształtów. Wśród tych kwiatów czekają umarli, aż się dopełni...

JADWIGA. Co? na co czekać mogą umarli?

KORSKI. Na — przeznaczenie!

(wychodzi wślad za Antoniewskim. — Jadwiga pozostaje sama. Chwilę stoi nieruchoma pod wrażeniem słów Korskiego — wreszcie z całą siłą woli odrywa się od miejsca, idzie do kredensu — pakuje srebro do koszyka, w który Antoniewska ułożyła koszyki — niesie koszyk do kuchni i podaje przez drzwi służącej).

JADWIGA. Odniesiesz to do starszej pani!

(wraca na scenę — za sceną słychać jak kucharka stuka rondlami i przelewa wodę. Jadwiga siada przy stole i powoli opuszcza głowę na kant stołu. Zaczyna się za sceną siekanie mięsa — Jadwiga siedzi nieruchoma, ręce jej zwisły bezradnie).

Kurtyna wolno spada.

PANNA MALICZEWSKA

SZTUKA W 3-CH AKTACH

OSOBY:

DAUM.

FILO.

EDEK.

BOGUCKI.

1
2
3
4
} koledzy.

PANNA MALICZEWSKA.

DAUMOWA.

HISZOWSKA.

ŻELAZNA.

MICHASIOWA.

SEKWESTRATOR.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia izbę, a raczej izdebkę w suterynie, bardzo małą i bardzo wązką. Po lewej dwa okna małe dwuszybowe, we framugach. W głębi piec do gotowania i łóżko Żelaznej, po prawej od widzów drzwi wejściowe, po trzech zmurszałych i ścierką zasłanych schodkach, i łóżko Stefki, przy niem koszyczek nieduży zamiast szafki, na nim lusterko, książki, grzebień, bardzo piękna bombonierka, jakieś flaszki, jabłko i dużo innego śmiecia. Mały, obdarty parawan stoi przy ścianie, na nim wisi sukienka i jaskrawa halka, po lewej pod oknami sofa ceratowa, na niej pościel Edka Kulesy, paczka przewrócona, świeca, bochenek chleba zaczęty, obdarty kołnierzyk. Pod oknami stół, na nim garnki, książki, zeszyty. W głębi, koło kominka lampa ścienna, pod łóżkiem Żelaznej obrazy, kwiaty z bibuły, fotografie i obraz święty, a przed nim świeci się lampka. Całość daje obraz ciasnoty i wilgoci. Ściany powinny być ciemne. Podłoga świeżo wyszorowana, piaskiem wysypana, po niej porozkładane ścierki i gazety. Przy podniesieniu zasłony Żelazna stoi przy balji w głębi komina i pierze. Edek Kulesza siedzi przy oknie przy stole z zatkanemi rękami uszami i głośno uczy się. Para napełnia całą izbę. Przez chwilę słychać monotonny głos Edka i pluskot wody w balji, po chwili Edek wstaje, idzie do chleba, kraje kawałek, je i wraca na miejsce nie przerywając głośnego mamrotania. Wreszcie Żelazna podchodzi do stołu zaczyna przewracać wszystko, zła, czegoś szuka.

SCENA PIERWSZA.

EDEK — ŻELAZNA.

EDEK. No!

ŻELAZNA. (*szuka na stole przy którym uczy się Edek*). Ty... no...

EDEK. Proszę nie przewracać...

ŻELAZNA. Niech Kulesza się ustąpi.

EDEK. Nie przewracać!

ŻELAZNA. Tu była farbka do bielizny, gdzie jest?

EDEK. A mnie co do tego?

ŻELAZNA. Tu była farbka? gdzie jest.

EDEK. Niech mnie Żelazna da spokój — ja muszę się uczyć.

ŻELAZNA. A ja muszę prać. Moje pranie więcej warte jak Kuleszy nauka, bo za pranie płacą, a za naukę Kuleszy pies grosza nie da. Dzie farbka?

EDEK (*z pasją, bijąc w stół*). Proszę stąd iść!

ŻELAZNA. A! A! to co? Kto tu pani? ja, czy Kulesza? Kto to na stancji — ja, czy Kulesza? Kto komu winien za trzy miesiące? ja, czy Kulesza? co? co? (*Kulesza milczy*). A no... a no... teraz trza pyska nie rozwierać, jak się na to nie ma i Bogu dziękować, że jeszcze trzymam, bo inna dawno by porządek zrobiła.

EDEK (*cicho*). Sie zapłaci.

ŻELAZNA. Spodziewam się. Ukrzywdzić się nie dam, ja ciężko pracuję.

(Odchodzi do balji. Znowu słychać plusk wody i monotonny głos Edka).

EDEK (*odwraca się ku Żelaznej*). Już ciem no

ŻELAZNA (*sucho*). Dopiero trzecia.

EDEK. To cóż, ale tu ciemno!

ŻELAZNA *(sucho)*. To trzeba się do pałacu wynieść i elektrykę sę fundnąć.

(Edek uczy się, bierze chleb, je, siada na stole przy oknie. Żelazna bierze kubeł mydlin i wychodzi, stukanie w okno. Edek klęka i otwiera okno).

SCENA DRUGA.

EDEK — FILO.

FILO. Siawus.

(Edek mamrocze).

FILO. Kujesz Demostenesa?

(Edek mamrocze w dalszym ciągu).

FILO. Ta przestań, idziesz?

(Edek rozkłada ręce).

FILO. Szkoda.

EDEK *(bije się po głowie)*. Ciężko, nie idzie— cholera, jakby kto zaciągnął tuman.

FILO. Już wszyscy poszli.

(Edek macha ręką).

FILO (*zagląda do wnętrza*). A... niema?

EDEK *(ciągle się uczy)*. Nie.

FILO. Ja tu dla niej coś przyniósł.

EDEK (*machinalnie wyciąga rękę*). Dawaj!

FILO. Nie, ja sam (*zagląda*). A twojej wiedźmy nie ma? *(wchodzi przez okno, leci do łóżka Stefki, wydobywa z pod peleryny bukiecik kwiatów, stawia na koszu i wraca do Edka zadowolony).* Tak! do kobiet tylko z kijem Nietschego albo... z kwiatami... Mówię ci to z doświadczenia. Zapamiętaj to sobie Kulo!

EDEK. Idź, mnie to nie w głowie.

FILO. Ale... jak nie teraz, to później; zawsze cię to napadnie.

EDEK. Nie będę miał czasu.

FILO. Na to czasu nie trzeba.

EDEK. Właśnie.

FILO (*siada na stole*). Naturalnie. Jesteś młody, to nie potrzebujesz się długo wysługiwać. Raz, dwa, kobieta wpada ci w objęcia.

EDEK. Wielkie szczęście.

FILO. No, nie jest to główny czynnik życia — ale konieczny *(siada na stole i zapala papierosa).* Chcesz.

EDEK. Dobrze.

(bierze; palą chwilę w milczeniu.

FILO (*patrzy na kąt Stefki i Edka*). Wiesz, ja przecie nie mogę uwierzyć, żebyś tak był blizko niej i tak... nic... tego.

EDEK *(z wybuchem).* Tobie tylko świństwa w głowie.

FILO. Wcale nie świństwa, bo musisz przyznać, że ta Stefka to szampańska dziewczyna.

EDEK. Ja mam inne zapatrywania w tym względzie.

FILO, No... wiem... wiem, nie potrzebujesz mi imponować, każden z nas uznaje w kobiecie człowieka, e!.. po jakiemu ty palisz — zaciągaj się... słyszysz?

EDEK. Daj mi spokój.

(rzuca papierosa i idzie do chleba, kraje, zaczyna jeść i pisze przy stole).

FILO (*siada na sofie*). Najlepiej — jak nie umiesz palić, to nie pal... (*po chwili*). Ona pali?

EDEK (*przy stole*). Kto?

FILO. Maliczewska.

EDEK. E!

FILO. Widziałem raz—wychodziła z próby, ktoś, jakiś chórzysta czy co, palił, ona wyrwała mu z ust papierosa i sama paliła.

EDEK. Dla hecy. A zresztą, niech ją djabli, masz tu twoje polskie... (*podaje mu kilka kartek*). Na... przepisz sobie, tylko byków nie rób.

FILO (*szuka po kieszeniach*). Tu jest dwadzieścia centów.

EDEK (*twardo*). Słuchaj ty? a reszta? jeszcześ mi winien za poprzednie 40 centów.

FILO (*z przymileniem*). Kula, nie szalej! Kupiłem kwiatów dla niej!

EDEK. Lepiej było dać jej gotówką.

FILO. Tyś oszalał? jej? artystce?

EDEK. Taka ona artystka, jak ja doktór filozofji. No, niech cię djabli...

FILO (*machinalnie kraje kawałek chleba i je*). Ja mam swoje zapatrywania na kobiety. Powinno się nie zdzierać poezji. Ja nawet napisałem do niej wiersze, O tam... na tej karteczce w środku bukietu.

„I tylko dziwię się, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosną".

EDEK (*z ironją, przy stole*).

„O ty! mój ptaku skrzydlaty,
Ty raju!... ty maju,.. ty wiosno!...

FILO. O! .o!

EDEK. Tak, tak brachu, Sienkiewicz! Sienkiewicz!

FILO. Może ona nie czytała?

EDEK. Nie czytała? Ona wszystko już pożarła, całą bibułę — ona ciągle czyta. Bez wyboru. Chciałem to jakoś pokierować, ale djabła tam.

FILO (*zadowolony*). Taka inteligentna?

EDEK. Nie inteligentna, ale oczytana. A zresztą nie piłuj mnie nią. Ja mam już tego wyżej uszów.

FILO. Kiedy wróci?

EDEK. Nie wiem.

FILO. Nie jesteś uprzejmy.

EDEK *(smutno)*. Jak byś miał dziury w butach, dziury w portkach, dziury w mózgu, jak by ci było niewesoło i ciężko, to byś także nie był uprzejmy.

FILO (*serdecznie*). Ja bym cię, Kula, do siebie zaprosił, jak Boga kocham i wszystko ci dał, ale moi starzy to taka para Dulskich, że aż w nosie kręci.

EDEK. Ja wiem, tyś dobry w gruncie rzeczy, ale twoje środowisko — bagno!

FILO. No — a ja romantyk.

EDEK. Djabła tam! pozujesz na romantyka. Szczerości ani grdynia. No .. idź już...

FILO. Zostawię dla niej papierosów.

EDEK. Także coś. Idź już.

FILO. Aha! tu masz! Etykę.

(wchodzi Żelazna i patrzy ze złością na Fila),

EDEK. Kiedy oddać?

FILO. Weź całkiem. Nie krępuj się. Ja i tak bym spuścił.

SCENA TRZECIA.

CIŻ I ŻELAZNA.

ŻELAZNA. Nie lubię wizytów.

FILO. Siawus Edek!

ŻELAZNA. Proszę po papierach, bo podłoga świeżo umyta.

FILO. Nikt by się tego nie domyślił.

(wychodzi).

ŻELAZNA. Wymawiam sobie wizyty, i żeby mi przez okno nie wpuszczać. Bo to jakby do jakiej nory złodziejskiej, a nie chrześcijańskiego domu.

EDEK. Nie żadne wizyty, tylko kolega.

ŻELAZNA. Nie chcę. Jak ma się przyjmować kolegów, to pałac se wynająć.

(Edek włazi na stół, kładzie się we framudze okna i uczy się. Widać tylko jego długie zwisające nogi w obszarpanych spodniach. Żelazna bierze i nuci pod nosem pieśń jakąś pobożną, coraz ciemniej, z kątów wysuwa się wilgotny, chorobliwy zmrok).

SCENA SZÓSTA.

CIŻ — MICHASIOWA.

Michasiowa, blada i jeszcze dość młoda — w kaftaniku, wnosi kosz jak do bielizny, przykryty kawałkiem starej firanki. W koszu baletowe spódniczki, lusterko, pudełko ze szminkami, gorset, jakieś łachy. W milczeniu stawia kosz na łóżku Stefki, potem rozwiesza baletowe spódnice i trykoty na parawanie — wreszcie idzie do pieca i grzeje się. Michasiowa milczy.

ŻELAZNA. Skończyło się!

MICHASIOWA. A jakże.

ŻELAZNA. No, a gdzie ona?

MICHASIOWA. Terkocze ze swoimi. Mówiła żeby mleko było gorące.

ŻELAZNA Właśnie, pieniądze się rodzą.

MICHASIOWA. I tak się pali.

ŻELAZNA. No to co?

(Michasiowa milczy).

ŻELAZNA. Nie pada tam?

MICHASIOWA. Nie jeszcze.

ŻELAZNA. Dałby Bóg; będzie deszczówka na kolory.

MICHASIOWA. I śnieg może.

ŻELAZNA. No, to już nie!

MICHASIOWA. Zima idzie.

ŻELAZNA. Niech się skręci po drodze.

MICHASIOWA. E, co tam pani — ale ja.

ŻELAZNA. A jakże! ja, właśnie.

MICHASIOWA. Zemgliło mnie *(pije wodę)*. Znów dostała cukierki i za dużo se podjadłam.

ŻELAZNA (*z pogardą*). Cukierki!

MICHASIOWA. A no, taki teraz widać zwyczaj! (*spoglada na chleb)* Czyj to chleb?

ŻELAZNA. Daleko by zajechała z tymi cukierkami.

MICHASIOWA. Czyj to chleb?

ŻELAZNA. A no... tego...

(Michasiowa ułamuje kawałek i je).

ŻELAZNA. Tak sobie... ot...

MICHASIOWA. Ta my z jednej wsi.

ŻELAZNA. O! jakże to?

MICHASIOWA. A no z Biedoty. *(śmieje się gorzko)*. To jest jedna taka wieś, gdzie się takie rodzą. Idę! jeszcze trza przynieść. Nie dała psia krew od razu wszystkiego zabrać, żeby się jej kiecki nie pogniotły. Ach! niech ją!... *(miarkuje się)*. A niech pani Żelazna nic jej nie mówi.

ŻELAZNA. Niby co?

MICHASIOWA. Że ja... trochę...

ŻELAZNA. Ja chrześcijanka, plotków nie robię.

(Michasiowa bierze pusty kosz i wychodzi. Żelazna chwilę pierze, wreszcie śpiewając pobożną pieśń podchodzi ukradkiem do stolika, spoglądając ciągle ukradkiem, wreszcie bierze nóż, kraje kawałek chleba szybko, zanosi go pod poduszkę, poczem śpiewając ciągle ku balji).

SCENA PIĄTA.

ŻELAZNA. — EDEK. — DAUMOWA. — HISZOWSKA.

(pukanie).

ŻELAZNA. Co za djabeł?

DAUMOWA *(wsuwa głowę przez drzwi)*.. Niech będzie pochwalony!

ŻELAZNA. Na wieki wieków!

Obie panie wchodzą powoli wsuwając z trudem swe olbrzymie kapelusze przez wązkie drzwi. Są bardzo strojne, szeleszczące, czarno ubrane, podśmiechują się trochę z cicha i spoglądają na siebie. Żelazna która na widok dam trochę się zdumiała, zaczyna szybko odsuwać z podłogi papiery i ścierki),

DAUMOWA. Czy tu mieszka praczka?

ŻELAZNA. To ja, do usług wielmożnej pani.

DAUMOWA. Dobrze, dobrze... cóż tu tak ciemno?

HISZOWSKA. I duszno.

ŻELAZNA, Wiadomo... w pralni... wiadomo... zaraz zapalę.

DAUMOWA. Tak. Bo to my chcemy się porozumieć co do koronek... nie wiem, czy pani też umie prać koronki?

ŻELAZNA. W lot... w lot...

HISZOWSKA. A gipiury?

W lot... w lot...

(zapala lampę, panie rozglądają się dookoła spostrzegają baletowe spódnice i mówią do siebie. C'est ici. oui, oui...

DAUMOWA (*spostrzega nogi Edka wiszące u okna).* O! o! a to czyje?

ŻELAZNA. To... zaraz *(ściąga Edka)* proszę na dwór—ja tu mam interesa.

(Edek złazi z okna i ciągle się ucząc i patrząc w książkę owija się w pelerynę i wychodzi z izby ponosząc Demostenesa)

HISZOWSKA. Czy to synek pani?

ŻELAZNA. Gdzie zaś... to sierota... przygarnęłam... przytuliłam za swego...

DAUMOWA. To pięknie, to bardzo pięknie...

ŻELAZNA. To obowiązek chrześcijański, proszę wielmożnej pani. Ta matką jestem mu

rodzoną. Co robić! Może wielmożne panie siądą...

(podaje stołki).

DAUMOWA. Dziękujemy! Trochę tu ciasno u pani!

HISZOWSKA *(cicho do Daumowej)*. Niech pani mecenasowa wprost...

DAUMOWA *(do Hiszowskiej)*. Pst... nie zdradzić... Tu jeszcze ktoś sypia...

ŻELAZNA. A! to już lokatorka... panna Maliczewska.

DAUMOWA. Zdaje mi się, ona z teatru?

ŻELAZNA. Tak, ale to takie dopiero coś nie coś, bo to młode jeszcze.

DAUMOWA. A ona co? sierota?

ŻELAZNA. Ta... zdaje się... nie wiem...

HISZOWSKA. Dużo wam płaci?

ŻELAZNA (*podejrzliwie*). Ta... różnie...

DAUMOWA. Ale przecie...

ŻELAZNA. Dwadzieścia guldeny... z wiktem... a jakże...

DAUMOWA. A... więc ma mieszkanie i wikt? *(do Hiszowskiej)*: No... więc tu wszystko w porządku...

HISZOWSKA. Zapiszę do sprawozdania...

DAUMOWA *(dyktując)*. „U Stefanji Maliczewskiej statystki teatralnej znaleziono mieszkanie odpowiednie, wikt i... a!... (*do Żelaznej):*

Moja pani, bo my tu właściwie w najlepszym celu... My jesteśmy delegatki towarzystwa podnoszenia kobiet...

ŻELAZNA *(trochę zaniepokojona)*. Wielmożne panie mają pozwolenie z policji?

DAUMOWA *(z uśmiechem)*. Nie, ale sumienie nam wydaje pozwolenie! My spisujemy i dowiadujemy się z czego jaka dziewczyna żyje... no... Zresztą chodzi o oto... Czy panna Maliczewska dobrze się prowadzi?

ŻELAZNA *(po chwili)*. Ta ja się nią opiekuję.

DAUMOWA. Właśnie, właśnie i to bardzo, bardzo dobrze... Ale zawsze...

HISZOWSKA. Tak, czy nie...

ŻELAZNA Nie! *(po chwili)*. Ja, proszę wielmożnych pań, jestem gdowa, chrześcijańska gdowa i nigdy bym czegoś takiego pod dachem nie trzymała.

DAUMOWA. To bardzo piękne...

HISZOWSKA. Więc pani ręczy za prowadzenie się panny Maliczewskiej.

ŻELAZNA. A, na co to? Ja ręczyć nie ręczę. Tylo mówię, że niby teraz...

DAUMOWA. No mniejsza... (*do Hiszowskiej:*) Niech pani napisze: „Panna Maliczewska zostaje pod opieką zacnej kobiety..." (*do Żelaznej:*) Nazwisko... bo zapomniałam...

ŻELAZNA. Anna Żelazna.

DAUMOWA *(patrzą się na siebie i śmieją)*. Anny Żelaznej! Tak! Możemy dodać, że panna Maliczewska nie okazuje skłonności do upadku...

ŻELAZNA. Do czego, proszę wielmożnej pani?

DAUMOWA (*z uśmiechem*). Do upadku... To... taka przenośnia. To potrzebne do aktów towarzystwa.

HISZOWSKA. Co tu tak pachnie?

DAUMOWA. Gdzie?

HISZOWSKA. A! to ten chleb! to czarny chleb... J'en rafolle... już dawno nie jadłam.

ŻELAZNA. Może wielmożne panie pozwolą?

HISZOWSKA. Ależ...

DAUMOWA (*pobłażliwie*). Nie trzeba odmawiać.

(Żelazna kraje kromeczki i podaje na spodku).

HISZOWSKA. Doskonały.

DAUMOWA. Jakie z pani dziecko! (*śmieją się)* reasumując, panna Maliczewska jest uczciwa, porządna dziewczynka i ma byt zabezpieczony!

HISZOWSKA. No, to my nie mamy tu co robić.

DAUMOWA. Naturalnie. Skoro jeszcze nie...

(śmieją się).

HISZOWSKA. Tak, skoro jeszcze nie... *(patrzy w książeczkę)* mamy teraz być gdzie? zaraz... u tej co ma kamienicę na rogu Piasecznej.

DAUMOWA. To będzie cięższy orzech do zgryzienia. Nie chwyta... nie chwyta... Mówię jej, tłomaczę, cóż? ona odpowiada iż jej tak dobrze... z tą kamienicą... i... że jej tak dobrze z kamienicą.

HISZOWSKA. Straszne! straszne! o! *(patrzy na zegarek)* Już późno, chodźmy! nasi mężowie się niecierpliwią!

DAUMOWA. A mój się domyśli, to byłoby najgorsze.

HISZOWSKA. Zawsze przeciwny?

DAUMOWA. Strasznie.

HISZOWSKA *(nakładając rękawiczki)*. Trzeba mu wytłomaczyć, że to jest obowiązek poprostu.

DAUMOWA. Ale on ma swoje zasady. On poprostu nie może pojąć czegoś takiego i lęka się, ażebym ja nie przeszła mimo takich kobiet. On mówi, że to ściera puch...

HISZOWSKA. E! to przesada! Więc... z panną Maliczewską skończyłyśmy...

DAUMOWA. Chyba że...

HISZOWSKA. Ah! broń Boże! Zresztą po co? ma wszystko... chyba przez moral insanity.

DAUMOWA *(wzdycha).* To też to... właśnie... to...

HISZOWSKA *podchodzi do łóżka Stefki).* Jedno tylko... tak to wszystko w jednym pokoju. Moja pani Żelazna, tu jest jedna izba?

ŻELAZNA. Jedna... I tak co to kosztuje... to...

HISZOWSKA. Więc i ten młody człowiek także tutaj?

ŻELAZNA. Jaki młody człowiek?

HISZOWSKA. No... sierotka...

ŻELAZNA. A, Kulesza! A no tak!

HISZOWSKA. To jakoś...

DAUMOWA *(bierze parawan rozkłada).* Zaraz to zaaranżerujemy. Tu jest parawanik. Trochę podarty... To my tu przyślemy wollatlasu parę metrów...

HISZOWSKA. Tak, wollatlas! nieprzezroczysty...

DAUMOWA. I pani Żelazna będzie łaskawa kazać obić parawanik i pilnować... żeby zawsze... tego...

(rozsuwa ręce nad łóżkiem Maliczewskiej, jak anioł stróż).

ŻELANZA. Dobrze, dobrze.

DAUMOWA. No zostańcie z Bogiem pani Żelazna—dziękujemy za chlebuś.

HISZOWSKA. A pannę Maliczewską opiece polecamy.

ŻELAZNA. Jak matka... jak matka... *(kłania się)*. Całuję rączki... niech Pan Bóg prowadzi. (*odprowadza w ukłonach obie panie i gdy wyjdą, mruczy do siebie przez zęby*): Bodajście karki skręciły! (*idzie do okna, uchyla i woła*): Można przyjść!

SCENA SZÓSTA.

ŻELAZNA—EDEK później MICHASIOWA.

(Edek wchodzi ucząc się dalej i mrucząc, jest trochę ośnieżony, przechodzi przez scenę, taszczy stół przed lampkę, siada, zatyka obu palcami uszy i uczy się. Żelazna kończy pranie, bo zaczyna sprzątać koło komina, balię wynosi do sieni).

ŻELAZNA. Która też to godzina? (*krzyczy*) Która godzina?

EDEK. Nie wiem.

(Michasiowa wchodzi, wnosi kosz, jest ośnieżona, stawia kosz i strzepuje chustką).

ŻELAZNA. Nie tu! nie tu! nie wolno mi chlewa z izby robić.

MICHASIOWA. A cóż to, wielkanocne święta, czy co, że takie czystości?

ŻELAZNA. Co jest, to jest... nie wolno... Do sieni.

MICHASIOWA. Moja siostra płaci, to nie wolno.

ŻELAZNA. Płaci za wikt i za spanie, ale nie za brudzenie podłogi. (*Michasiowa wyjmuje*

suknie lekkie i rozwiesza, potem śliczną bonbonierkę i stawia na koszu). (*Żelazna oglądając bonbonierkę*). To musi kosztować!

MICHASIOWA. A musi!... proszę postawić...

ŻELAZNA. O wa! jakbym to ja nie umiała z takiem pudełkiem się obejść.

SCENA SIÓDMA.

CIŻ — STEFKA.

(Stefka wchodzi cicho, wolno, w milczeniu przesuwa się przez scenę — cisza — Stefka wyczerpana siada na łóżku, zrzuca kapelusz. Milczenie).

MICHASIOWA. Tu są cukierki.

STEFKA (*cicho*). Dobrze! zostaw! a psia krew! a psia krew.

MICHASIOWA. Dałaby Stefka parę szóstek.

STEFKA (*cicho*). Właśnie. Z czego? gryźnij się.

MICHASIOWA. Dałaby Stefka parę szóstek.

STEFKA. Ta idź do cholery... jak mówię że nie mam, to nie mam... (*kładzie się na łóżko*) Tom zharowana!

MICHASIOWA. To ja pójdę.

STEFKA (*leży jak martwa*). A nie spóźnij się o siódmej po rzeczy!

MICHASIOWA. Znowu dziś Stefka gra?

STEFKA. No — ta przecież opera wieczór.

MICHASIOWA. Ta musieli po południu zapłacić.

STEFKA. Rozenthalowa czekała i wzięła ratę. A zresztę co u djabła, nie mam!

(Michasiowa powoli odziewa się w chustkę i wychodzi, Stefka leży na łóżku jak martwa w rozpiętym żakiecie i patrzy w sufit, chwila milczenia. Żelazna podchodzi do Stefki z garnuszkiem mleka w ręku).

ŻELAZNA. Podwieczorek!

STEFKA *(cicho)*. Zaraz, tylko odsapnę.

ŻELAZNA. Dolałam trochę kawy.

STEFKA. Jaj! a to co się stało!

ŻELAZNA No tak, trochę... panna Stefka o której idzie do teatru?

STEFKA. O siódmej.

ŻELAZNA. A teraz?

STEFKA. Wpół do szóstej.

ŻELAZNA. No...

STEFKA. Co?

ŻELAZNA. Nic... Nic...

STEFKA *(zrywa się)*. Już odsapnęłam *(biegnie do Edka, zasłania mu oczy)*. Siawus!

EDEK. Ta daj mi pokój!

STEFKA. Ta joj! nie ugryzę cię djable nietykalny! *(patrzy na chleb)*. Cóż się ten twój chleb tak skurczył. *(kraje sobie kawałek i je)*.

Może chcesz cukierków? *(Edek nie przerywając sobie nauki wyciąga rękę w tył, Stefka mu wkłada parę cukierków śmiejąc się).* Na masz! spożywaj! to są owoce mojej hańby! *(zaśmiewa się).* A wiecie co, że mnie pedały dziś bolą.

ŻELAZNA. Bo się panna Stefka zapracowuje.

STEFKA. Co się pani Żelazna taka słodka dziś zrobiła.

ŻELAZNA. Ja taka zawsze.

STEFKA. Właśnie! *(do Kuleszy).* To nie ten chleb co zawsze.

EDEK. Bo to komyśniak, kupuję teraz od żołnierzy, to dłużej potrwa.

STEFKA. I więcej napcha. Cóż dziś spietrasił. Dużo?

EDEK. Trzy.

STEFKA *(siada na stole gdzie Edek pisze).* A na celujący miałeś?

EDEK. Jedno, ale mi nie zapłacił. Jeszcze dwa mam na bardzo dobry i dostateczny.

STEFKA. A o czem dziś?

EDEK. Wściec się. Trza opisać boleść ojca zadżumionych.

STEFKA. Nie gadaj!

EDEK. Jak Boga kocham! Takie ci Kakuś daje temata.

STEFKA. I ty trzy razy takeś bolał ojcowsko?

EDEK. Cztery. Na obstalunek trzy, a dla siebie czwarty.

STEFKA. Ty za mało bierzesz.

EDEK. Nie dadzą... No... usuń się... Jeszcze Demostenesa połknę...

STEFKA (*pakuje się coraz więcej na stół*). Ty, co to jest Spinoza?

EDEK. Filozof.

STEFKA. Żyd — bo Baruch.

EDEK. Żyd.

STEFKA. Co on zrobił?

EDEK. Fi-lo-zof! Skąd ci przyszło.

STEFKA. To Osterlo—ta z chórów dostała taką rolę. My bardzo się naradzały, co to. Żadna nie wiedziała. Ty mi napisz na kartce co to—to ja im powiem. Dobrze? Ja ci dam cukierków. Ta Osterlo ma szczęście. Ona mówiła, że to przez to, że ona ma proste nogi do trykot, to jej dali. Ale to nieprawda, bo ja mam jeszcze prościejsze... Tylko ona ma kochanka, co jest z dyrektorem na ty i przez to ma protegę. Ah, psia kość słoniowa, żeby mi znaleźć kogo, co by był z dyrektorem na ty! (*przewala się na stole*). Żeby mi to znaleźć!

EDEK. Uważaj co robisz!

STEFKA (*leży na stole*). Żeby mi jedną rolę dali, to by się przekonali że mam talent... żeby jedną rolę... (*podnosi nogę, patrzy z uwagą na bucik*). O!... byłabym wtedy bogata! Co dzień bym piła kawę, jeździła na gumach i tobie bym dała dużo monety — pedam ci byłoby no! (*ogląda bucik*). A to... a to... (*nagle*). Masz tekturę? (*zrywa się na środek sceny*).

EDEK. Weź jaką okładkę. Ja zawsze okładkami zeluję — grube..,

STEFKA. Dziś gram damę, to muszę mieć swoje buciki — a klękamy do publiczności. (*zdajmuje bucik, i pakuje tekturę*). Dawaj atrament.

(zasmarowuje).

EDEK. Czekaj!

(smaruje sobie także dziurę w bucie).

STEFKA. Ta co — ta prosto na skarpetkę?

EDEK (*smutno*). Durnaś! to ciało! — Tam masz kwiaty!

STEFKA. E! niech się wypcha z zielskiem! Dziś mi się już nic nie chce.

EDEK. Trza mieć odwagę.

STEFKA (*smutno*). Ty Edek, to masz zawsze duże słowa w pogotowiu...

EDEK (*gorzko*). Choć to...

(Żelazna ppzez ten czas złożyła bieliznę do kosza).

ŻELAZNA. Idę na strych.

(wychodzi).

STEFKA. A idź na złamanie karku.

EDEK. No... wstawaj, muszę pozbierać papiery.

(Stefka się podnosi ze stołu powoli).

STEFKA. Uf... jakby mnie kto zbił!

(pukanie).

SCENA ÓSMA.

STEFKA, EDEK, SEKWESTRATOR.

SEKWESTRATOR. Czy tu mieszka Stefanja Maliczewska?

STEFKA. A co pan sobie winszuje?

SEKWESTRATOR. Ze sądu... mam opisać.

STEFKA (*w lansadach*). Pan się trudni literaturą?

SEKWESTRATOR. Zajęcie ruchomości.

STEFKA (*do publiczności robi oko*). Oj! to ze sądu!

SEKWESTRATOR. Sprawa Icka Ejzensztejna. Należność 27 koron, 58 halerzy... proszę nie utrudniać... (*idzie do stołu*). Muszę opisać...

STEFKA (*obojętnie idzie do łóżka, kładzie się na niem*). Ano to se pan opisuj!

(wpada Żelazna).

ŻELAZNA (*zasłania meble*). Co to? ze sądu?

nie pozwolę. To wszystko moje. Panna Maliczewska nie ma nic. Jest u mnie sublokatorką...

SEKWESTRATOR. Nie wiem nic... proszę nie utrudniać!

ŻELAZNA. Ja przysięgnę. Meble moje, wszystko moje!

STEFKA *(zanosi się od śmiechu)*. No wiecie... no wiecie...

ŻELAZNA. I to moje! i to moje! (*Edek zabiera papiery i wychodzi. — Żelazna do Edka*). Proszę nie wracać przed siódmą, bo ja mam interesa.

SEKWESTRATOR. Kredens sosnowy.

ŻELAZNA *(pędzi do kredensu)*. To mój, przysięgnę!

SEKWESTRATOR. Można zrobić reklamację w sądzie. Nie utrudniać.

(dochodzi do łóżka i bierze spódniczkę baletową).

STEFKA *(zrywa się)*. Proszę położyć, to są narzędzia pracy. (*bierze trykoty*) Nie ruszać.., narzędzia pracy... (*nuci*) Ty... ty... moje marzenie...

SEKWESTRATOR (*spisując*). Stół sosnowy kanapa ceratą kryta wypchana trawą... dość, starczy... (*formalizuje, lepi marki*). Tak.

STEFKA (*tańczy po scenie*). Pan żonaty?

SEKWESTRATOR. Nie utrudniać!

STEFKA. I dzieciaty?

SEKWESTRATOR. Nie utrudniać! Opiekę i odpowiedzialność nad zajętemi ruchomościami zdaje się tejże Stefanji Maliczewskiej, pod grozą odpowiedzialności paragrafu...

STEFKA. Pan ma wprawę.

(kładzie stare pantofle baletowe, Sekwestrator wychodzi).

STEFKA. Żonie moje uszanowanie, dziateczki proszę ucałować, a niech pan uważa, bo tam trochę błoto... *(tańczy przed Żelazną)*. Babciu morowa, mam opiekę nad twojemi gratami.

ŻELAZNA. To nie zabawne. Mogła panna Stefka tego żyda zapłacić

STEFKA (*odrazu smutnieje*). Widać nie mogłam.

ŻELAZNA. To źle, to trzeba mieć.

STEFKA. Ta z czego?

ŻELAZNA. Ja nie wiem, ale tak nie można.

STEFKA (*nagle posępniejąc*). Ja sama wiem, że nie można. (*rzuca się na łóżko*). Spać chcę! Zelazna! ma pani trochę spirytusu do maszynki — nie mam czem się dziś ufryzować

ŻELAZNA. Nie mam.

STEFKA. Co to będzie. Ja ciągle od innych pożyczam.

ŻELAZNA. Ja ta nie wiem.

(wygląda do sieni).

STEFKA (*zwłóczy się z łóżka*). Pójdę do grajzlerki — może mi zborguje.

(wywłóczy się z izby, otuliwszy czemkolwiek).

SCENA DZIEWIĄTA.

ŻELAZNA — DAUM.

(Po wyjściu Stefki Żelazna zapala lampkę przed obrazem, robi trochę porządku w izbie, nasłuchuje, stukanie do drzwi, biegnie szybko, wchodzi Daum w futrze i kapeluszu).

DAUM. No?

ŻELAZNA. Całuję rączki.

DAUM (*odrzuca ją laską od siebie*). Dobrze już dobrze... no... gdzie?

ŻELAZNA. Wyszła, za chwilę wróci.

DAUM. Może nie wróci.

ŻELAZNA. Ale... wróci... wróci... Jaki to wielmożny pan niecierpliwy. Może se wielmożny pan przysiądzie.

DAUM (*siada w futrze i kapeluszu*). Dobrze, już dobrze (*chwila milczenia*). A uprzedzona?

ŻELAZNA. A jakże... a jakże.

DAUM. Zgodziła się?

ŻELAZNA. Naturalnie.

DAUM. No, to nie bardzo tam z tą cnotą, skoro tak zaraz...

ŻELAZNA. Ta gdzie zaraz? Ta wielmożny pan nie wie co to było... Ta aż mglała... ta aż krzyczała... ale powoli.., ta wielmożny pan rozumie... ta panienka to uczciwa dziewczyna... to musi pogrymasować...

DAUM *(odsuwa ją lekko)*. No już dobrze... dobrze..,

ŻELAZNA. Ale ona będzie tak z początku udawała, że niby nie wie o niczem. Wielmożny pan rozumie, taka komedja...

DAUM *(skrzywiony)*. Po co to?

ŻELAZNA. I wielmożny pan także tak będzie, że niby nic. To tak żeby nie poznała, że ja tak wielmożnemu panu dobrze życzę. Aż się jej wielmożny pan spodoba... tak za kwadransik!...

DAUM. No już dobrze, dobrze!

ŻELAZNA (*z uśmiechem cicho*). A... co do tego...

(Daum wyjmuje z pugilaresu 50 koron i daje jej).

ŻELAZNA. Ta to tylko pięćdziesiąt.

DAUM (*cicho*). Drugie pięćdziesiąt... jutro...

ŻELAZNA. Całuję rączki... całuję rączki!

(chwila milczenia).

DAUM. Coś nie ma.

ŻELAZNA. Przyleci... przyleci... tylko tu do szynku, w tej kamienicy...

DAUM (*skrzywiony*). Pije?

ŻELAZNA. Jezus Marja takie dziewczęteczko! Tylko po spirytusik do kręcenia włosów... wiadomo... młode, kokietka...

DAUM. Ile ma lat?

ŻELAZNA. Dziewiętnaście.

DAUM. Czy tylko pewne?

ŻELAZNA. Najpewniejsze. Wywąchałam metrykę.

(chwila milczenia).

DAUM *(wstaje)*. Zdaje się, że ktoś idzie.

ŻELAZNA *(zagląda do sieni)*. To somsiad. A jakby co, to wielmożny pan powie, że przyszedł oglądać kamienicę bo kupuje.

DAUM. Najlepiej niech nikt nie przychodzi.

ŻELAZNA. Zarządzę, zarządzę. Jak ona przyjdzie to zamknę drzwi, sama se przysiądę na dziedzińcu (*chwila milczenia*). Idzie! *(Daum siada przy kominie ciągle ubrany, wchodzi Stefka)*. Idę do trafiki.

(wysuwa się z izby. Stefka nie widzi na razie Dauma, który siedzi wciąż nieruchomy koło pieca w futrze i kapeluszu, nagle Stefka go dostrzega).

SCENA DZIESIĄTA.

STEFKA — DAUM.

STEFKA. Pan sobie winszuje?

DAUM. Nic.

STEFKA. To niewiele.

(krząta się koło swoich rzeczy teatralnych, układa sukienkę balową, wachlarz, kwiaty w koszu, staje, patrzy na Dauma chwilę, nagle parska śmiechem).

DAUM (*ciągle siedząc*). Z czego się panienka śmieje?

STEFKA. Pan ma dobrą głowę (*chwila milczenia, Stefka siada i zaczyna fastrygować na baletowej spódnicy wstążki. Jest odwrócona tyłem do Dauma, nareszcie odwraca się i patrzy na niego*). Właściwie — co pan tu chce?

DAUM. Kamienicę kupuję. Oglądam.

STFEKA. Kamienicę? to pan musi być bogaty.

DAUM. Tak sobie.

STEFKA. Niema „tak sobie". Albo bogaty, albo nie bogaty. Trza porządnie gadać. (*po chwili*). Pan żonaty?

DAUM. Tak.

STEFKA. A dzieciaty.

DAUM. Tak.

STEFKA. A jakie żona ma imię?

DAUM, Ewa.

STEFKA (*do publiczności grubym głosem*). Jak „w dziejach grzechu".

DAUM. Gdzie?

STEFKA. E! pan nie czytał. Pan nie wygląda na takiego coby książki czytał.

DAUM (*ubawiony*). A na co ja wyglądam?

STEFKA. No... w każdym razie na dobry numer. Która godzina?

DAUM. Wpół do siódmej.

STEFKA Psia kość słoniowa, nie zdążę.

DAUM. Co?

STEFKA. A to...

DAUM, Po cóż sama? co nie mamy krawcowej?

STEFKA. Ta z czego? tyż!

(wstaje, idzie do komina, bierze mleko, pije).

DAUM. Co panienka pije?

STEFKA. Podwieczorek i kolację (*biegnie do chleba Edkowego, kraje kawałek i rzuca w przechodzie resztę Daumowi*). Może pan też — komiśniak...

DAUM. Co?

STEFKA (*dziecinnie, smiejąc się*). Pstro...

(chwila milczenia — Daum zapala papierosa, Stefka gestem pokazuje, żeby zapaliła).

DAUM (*wabi ją papierosem, jak zwierzątko*). Proszę! (*Stefka bierze papierosa, ale się go boi i wraca do szycia spódnicy*). Pani dziś występuje?

STEFKA. Właśnie! taki występ! statystuję... już trzy lata, ale co? ani protegi... ani nic... a przecież ja mogłabym grać. (*nagle zrywa się i idzie do Dauma*). Pan zna dyrektora?

DAUM. Znam.

STEFKA. Ale tak: „per-ty"!

DAUM. Tak.

STEFKA. *(idzie do komina, klęka i grzeje żelazko od włosów).* Pan nie cygani?

DAUM. Nie! *(patrzy na żelazko).* O! ho!

(gasi papierosa, słychać zgrzyt klucza w zamku)

STEFKA. *(obojętnie, ciągle przy piecu).* Co to? zamknął ktoś...

DAUM. No... dość tych komedji... *(przykręca lampkę, ciemność zalega norę, ledwo przez okienko mdłe smugi światła, Daum rzuca się na Stefkę z tyłu).* No...

STEFKA *(bezradnie zdziwiona, z opuszczonemi rękami, nie rozumiejąc narazie).* Czego? co?

DAUM. Cicho! cicho!

STEFKA *(krzycząc — zrozumiała).* Dać mi spokój! precz! precz! *(wydziera mu się, on ją dopada, chwyta za włosy, pociąga w tył).* Jezus! boli!

DAUM. Cicho! *(Stefka rzuca się ku oknu, wskakuje na stół, bije ręką w szyby, tłucze okno, krwawi sobie ręce).* Oszalałaś!

STEFKA. Ratujcie! ludzie! ratujcie!

DAUM. Milcz szelmo!

(chce ją ściągnąć ze stołu, ona pokrwawionemi rękami bije go po twarzy i rękach i wala go. Drzwi otwierają się, wpada Żelazna).

ŻELAZNA *(szeptem)*. Jezus Marja! Na dziedzińcu słychać!

STEFKA *(płacze serdecznie, zanosi się, rzuca się na swoje łóżko płacząc)*. Łajdak! łotr! łotr!

ŻELAZNA *(szeptem, rozjaśnia lampę)*. Cicho, nic się nie stało.

DAUM *(do Żelaznej)*. A to ładna historja! a tom się wplątał...

ŻELAZNA *(pół gł.)*. Wielmożny panie, ta ja nie wiedziałam...

DAUM *(wściekły)*. Mówiła pani że uprzedzona... Ładnie uprzedzona!

ŻELAZNA. Wielmożny panie, klnę się na sumienie!

DAUM. Proszę mi dać się czem obetrzeć... *(Żelazna daje mu wody, on ściera z rąk krew ruchem Pontskiego Piłata.* No... temu nie jestem winien. *(wyjmuje portfel i wyciąga angielski papierek, zalepia ranę i gubi 10 koron, gdy już ubrany do wyjścia, mówi)*. A teraz oddajcie.

ŻELAZNA *(kłania się)*. Wielmożny panie! ta wydatki!...

DAUM *(odrzuca ją)*. Dobrze już, dobrze...

ŻELAZNA. *(Już przy wyjściu zatrzymuje go)*. A za szybę, wielmożny panie?

DAUM. Idźcie do djabła!

(wychodzi trzaskając drzwiami).

SCENA JEDENASTA.

STEFKA — ŻELAZNA później EDEK.

ŻELAZNA (*idzie do łóżka, bierze poduszkę, włazi na stół i zatyka okno).* Panna Stefka zbiła szybę, proszę, żeby jutro zapłaciła...

STEFKA (*cicho*). Zapłacę!

ŻELAZNA. Szyba lagrowa... Dwie korony...

STEFKA. Zapłacę!

(Żelazna krząta się jeszcze chwilę, potem odchodzi mrucząc. Stefka chwilę leży, wreszcie wstaje, siada i kończy sukienkę, wchodzi zmarznięty Edek, idzie do stołu).

EDEK. A tu co? jak po spaleniu! Moje zeszyty o! wypisy i to pożyczone. Czy to ty?

STEFKA (*cicho*). Ja!

EDEK (*płacze*). A no! to wiesz, wiesz, to świństwo!

STEFKA (*nagle zrywa się).* Daj mi spokój Żebyś ty wiedział co tu było.

EDEK. O! to świństwo! mnie tak ciężko.

STEFKA. Durnyś... ci to odkupię... Żebyś ty wiedział... albo ci niepowiem... bo się wstydzę...

(płacze).

EDEK (*zainteresowany zbliża się*). No co?

STEFKA (*rzuca mu się na piersi i płacząc mówi).* Bo tu był taki stary... koń... taki...

w futrze... i aż mnie złapał za włosy... i ciągnął po ziemi...

EDEK (*głupowato*). Czego chciał?

STEFKA. A to tuman!

EDEK. Aha! *(po chwili)*. A ty co?

STEFKA (*z dumą.*) A no wydarłam mu się.

EDEK (*podaje jej rękę*). To dzielnie! Wreszcie widzę w tobie człowieka...

STEFKA. Ta daj mi spokój, rękę sobie skaleczyłam.

EDEK. To nic! to chrzest... z tego wyjdziesz dzielniejsza.

STEFKA. Ładne nic! (*idzie w stronę komina, aby podkręcić lampkę i spostrzega na ziemi banknot dziecięciokoronowy*). To on zgubił... nic innego... o! powalany krwią...

EDEK. Rzuć to!

STEFKA. Ale także pieniądze!

EDEK. Rzuć to! Spal!...

STEFKA. Ta ty do warjatów idź!...

EDEK. To są nieczyste pieniądze.

STEFKA. Nie. Troszkę obłocone i troszkę krwi... ale... (*wyciera*). O! ani nie znać! dobra!

(biegnie do kosza, układa baletowe spódnizki, narzuca firankę, wkłada spiesznie buciki, żakiet, kapelusz).

EDEK. To chodzi o moralny brud.

STEFKA. E! wypchaj się... jak przyjdzie Michasiowa, niech bierze kosz i niesie do garderoby...

(biegnie ku wyjściu).

EDEK. Poczekaj! gdzie idziesz.

STEFKA (*z triumfem, już na schodach*). Idę długi płacić.

(wylatuje).

EDEK (*sam, patrzy na nią z pogardą, pluje i macha ręką*). Ot... kobieta... (*idzie do stołu, szuka chleba, potem pod sofą, wreszcie z płaczem*). Co się u djabła z moim chlebem stało?

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO

AKT DRUGI.

Scena przedstawia pokój w mieszkaniu Stefki. Meble zwyczajne, żydowskie, jakie dają do wynajęcia. Szafy dwie — szesląg, stoły — komoda, fotel bujający, dwa kosze pokryte dywanikami. Na ziemi tani dywanik. Na prawo od widza okno z firankami. Przed nim trzcinowa żardinierka z trochą zeschłych kwiatów. Dużo niesmacznych a tanich głupstw. Od sufitu różowa sypialna ampla. W głębi alkowa, zasłonięta firankami. Gdy się odsłania, widać łóżko blaszane dość starannie zasłane, z różową kołdrą, piec — w głębi drzwi wejściowe na lewo do kuchni. Na pierwszym planie stolik, przy podniesieniu zasłony Michasiowa klęczy przy piecu i pali. Zmrok. Tylko z pieca oświetlenie.

SCENA PIERWSZA.

MICHASIOWA — DAUM.

(Michasiowa trochę lepiej odziana ma bluzkę jedwabną niebieską starą z koronkami — podartą spódnicę i boso. Gdy napali w piecu, siedzi przez chwilę na ziemi i patrzy w ogień. Słychać chrzęst klucza w przedpokoju, drzwi się otwierają i wchodzi Daum z masą paczek i dwoma butelkami. Michasiowa, która się zdrzemnęła — budzi się).

MICHASIOWA (*uniżenie ale złośliwie*). Wielmożny pan... całuję rączki... całuję rączki...

DAUM (*odsuwa ją laską*). No już dobrze, dobrze... niema panienki?

MICHASIOWA. Panienka na próbie.

DAUM. A z czego?

MICHASIOWA. Jakieś coś smutnego. Panienka tam będzie za Hiszpana...

DAUM. Stół trzeba przysunąć...

MICHASIOWA *(złośliwie)*. Ta... noga odlatuje.

DAUM *(wściekły)*. Znowu? ja płacić za wasze szkody nie będę.

MICHASIOWA. Ta wielmożny panie! to z tandety, nic nie warte, samo próchno.

DAUM. Nieprawda.

MICHASIOWA. Ta na wypożyczenie nic porządnego nie dadzą...

DAUM. Cicho! nakryć stół! *(do Michasiowej, która zapala lampę)*. Ja sam! *(zdejmuje surdut i włazi na krzesło)*. Po co to palić? Szkoda nafty!

MICHASIOWA *(odchodząc do kuchni)*. Panienka ze swoich pieniędzy na naftę daje!

(odchodzi, Daum po zapaleniu ampli złazi z krzesła i obchodzi meble sprawdzając czy się trzymają i mruczy. Michasiowa wraca z obrusem, nakrywa stół. Daum otwiera pakiety.

DAUM. Proszę dać trzy nakrycia.

MICHASIOWA. Ta jakie.

DAUM. No... mamy trzy widelce... trzy noże...

MICHASIOWA. I nie rozchodźcie się.

DAUM. No, to na trzy osób starczy...

MICHASIOWA. To ma być ktoś na kolacji.?

DAUM. Proszę nie rezonować, tylko nakrywać... Tu sardynki... tak... a tego nie ruszać... to kawior...

MICHASIOWA. No... no...

DAUM. Wina to za okno... za okno...

MICHASIOWA. Ta jakie wina? jedna butelka i tyle awantur...

DAUM. No już dobrze, dobrze... (*idzie do pieca*). Co tu tak zimno?

MICHASIOWA. No, bo się raz na dzień w piecu pali, a tam mróz.

DAUM. Powinno być cieplej.

MICHASIOWA. A zdało by się. A u mnie w kuchni to trza lód rano z ganku ode drzwi odrębywać... Ale jak trzeba szparować na wszystkiem to inaczej być nie może.

DAUM (*pali papierosy, po chwili*). Nikt tu nie przychodzi?

MICHASIOWA. Ta Jezu! ta wielmożny pan wiecznie się o to samo pyta. Ta kto miałby przychodzić? Ta panienka się już tak nudzi jak ten pies...

DAUM. Niech czyta.

MICHASIOWA. O jej! a co będzie na starość robiła?

DAUM. Ja widzę, że Michasiowa jej w głowie przewraca!

MICHASIOWA (*urażona*). Też coś!... co mnie do niej. Ona se tak życie układa jak chce... (*po chwili*). No a co będzie na kolację!

DAUM. Musi tam przecie być coś z obiadu.

MICHASIOWA. Właśnie. Tak się dużo robi.

DAUM, Zresztą to nie kolacja, to tylko przekąska...

MICHASIOWA. Bo ja bym może jeszcze polędwicy dostała.

DAUM. Nie trzeba... nie trzeba... to tylko przekąska..

MICHASIOWA. Niech będzie.

DAUM (*wstaje i widzi na stoliku pozew sądowy*). A to co?

MICHASIOWA. A to znów ze sądu.

DAUM (*wściekły*). Co? jeszcze? nie zapłacę! Jak Boga kocham nie zapłacę!

MICHASIOWA. Ta niech wielmożny pan nie płaci... Ojej!

DAUM. Na ileż to?

MICHASIOWA. Na osiemdziesiąt...

DAUM. Czego? guldenów.

MICHASIOWA. Ta nie! ta koron! joj!...

DAUM. Za co to!

MICHASIOWA. Ta panienka musi się na scenę ubrać. Ta na jutro dwie suknie — niby za to. (*chwila milczenia — Daum siedzi przy ogniu*). Herbaty zrobić?

DAUM. Tak, ale się zaparzy tę co ja przyniosłem w papierku, a nie waszą...

SCENA DRUGA.

MICHASIOWA, DAUM, STEFKA.

(Stefka wpada, jest ubrana trochę lepiej, ma wielki kapelusz z piórami).

STEFKA (*śpiewając*). Platz da! jetzt kommt die Grette!

DAUM. No, nareszcie!

STEFKA. Niby co — nareszcie? próba trwała... przez alembik... to oni z dramatu tak nazywają, zdawało się, że będziemy nocować. (*do Michasiowej, rzucając kapelusz*). No, bierz to szutro! (*układnie*). A ja z nim mam na pieńku.

DAUM. Ze mną?

STEFKA (*pudrując się i przyczesując*). A z nim, z nim... dlaczego się nie zobaczył z dyrektorem? Ciągle mnie zwodzi.

DAUM. Co Stefka chce? przecież ma rolę.

STEFKA. To nie jest rola, to jest skandal. A potem to nie przez niego, tylko przez wypadek, że Bóg tak dał, że Milowicz pedał se zwichnęła i mnie dali zastępstwo.

DAUM (*leży na sofie*). Ale dali.

STEFKA. Ale ja prosiłam, żeby iść do dyrektora i prosić żeby mnie dali na afisz, a oni zostawili Milowicz.

DAUM. Mnie się tam nie spieszy.

STEFKA. Ale mnie się spieszy. Ale on się boi skompromitować.

DAUM (*skrzywiony*). A cóż? mam się z czem chwalić? Zresztą ja jestem w porządku. Ja nic nie obiecywałem.

STEFKA (*smutno*). Ale ja sobie obiecywałam! (*do Michasiowej*). Co się śmiejesz?

MICHASIOWA. Panience się zdaje.

STEFKA. Widzę dobrze. Idź do kuchni. (*z udaną grozą*) i naostrz nóż...

MICHASIOWA. Chryste Panie! na co?

STEFKA (*śmiejąc się*). Pozarzynam was! No dalej! hop! A on niech Bogu dziękuje, że ona ma taki anielski charakter, bo inna to by takie piekło zrobiła, że... no!

DAUM. To by mnie tyle widziała.

STEFKA. Ojoj! wielkie nieszczęście! (*Michasiowa wychodzi, Daum pociąga Stefkę do siebie. Stefka delikatnie mu się wysuwa i aby coś powie-*

dzieć leci do stołu). Cóż to za bufet pierwszej klasy?

DAUM *(na sofie).* Jak Stefka przyrzeknie, iż będzie się przyzwoicie zachowywać, to może jeden z moich przyjaciół przyjdzie dziś na herbatę.

STEFKA. Jeżeli podobny do niego...

DAUM. O to nie chodzi. Ale — że ona zawsze się skarży, że się nudzi, więc jeżeli (powtarzam) potrafi zachować się przyzwoicie, języka nie pokazywać... (*Stefka język pokazuje*) na nosie nie grać... (*Stefka gra na nosie*) nie robić pajaca... słowem — mieć jakąś godność...

STEFKA. Wypchać się z godnością! Jak ten twój przyjaciel tu przychodzi, to on wie co ja jestem i jaka moja sy-tu-acja!

DAUM. W każdej sytuacji można zachować się godnie i przyzwoicie. Niech patrzy na mnie czy ja kiedy wyprawiam takie łamańce jak ona? Nie — a dlaczego? bo wiem co to jest godność.

STEFKA. On może tak długo gadać?

DAUM. Chodzi mi o to ażeby ten mój przyjaciel wyniósł stąd wyobrażenie odpowiednie.

STEFKA. Jak to także nudna trąba to niech zostanie gdzie jest. Ja niemam ochoty z nudów posiwieć. (*milutko*). A teraz — proszę stąd iść...

DAUM. Gdzie?

STEFKA. Na ulicę czy gdzie — bo tu zaraz przyjdą moi goście

DAUM. Co za goście?

STEFKA. Moi. Klaka. Jutrzejsza. No co? Jak on się nie zatroszczy żeby mi wyrobić stanowisko, to ja się muszę troszczyć. Będę miała jutro po kuplecikach szmerek i brawko. Muszę to sobie urządzić — i udało mi się po wielu trudach i staraniach. Zaraz tu przyjdą moje klakiery i i muszę ich czemś przyjąć... (*ogląda się smutno że niema nic — nagle dostrzega stół — do kuchni*). Michasiowa! — dyguj tu tacę! Tak! z tego będą kanapki ef ef...

DAUM. Bardzo proszę — to jest moja przyjacielska przekąska.

STEFKA. Gwiżdżę na to!... (*Michasiowa wnosi tacę. Stefka stawia to na stole*). Tak! sardynki; szynka... prutek... masełko... ef... ef...

DAUM. Proszę nieruszać, to kawior!...

STEFKA. Pycha! dawać kawior!... musi być zatrzęsienie kanapek...

DAUM. Czekać! ja sam!...

(wypadają wszyscy do kuchni — chwila milczenia — dzwonek — Michasiowa wypada wyrzucona przez Stefkę która w progu kuchni z nożem w ręku, mówi: poproś niech zaczekają!)

SCENA TRZECIA.

FILO, 1 KOLEGA, 2 KOLEGA, 3 KOLEGA i trzech innych z mandolinami, później STEFKĄ.

(widać rękę Dauma robiącą rozpaczliwe ruchy ku Michasiowej — z kuchni).

DAUM. Mój surdut! mój surdut!...

(młodzież wchodzi, rozgląda się).

FILO. My, do panny Maliczewskiej. Czy jest w domu?

MICHASIOWA. Jest. Prosi żeby panowie zaczekali!

(wychodzi do kuchni).

1 KOLEGA *(do Fila)*. No... żeby taki wielki szyk to niebardzo.

FILO. No... co chcesz, przyzwoicie.

2 KOLEGA. A może to dopiero przedpokój.

FILO. Nie. tam jest tylko kuchnia.

3 KOLEGA. Ja myślałem że ona lepiej mieszka.

FILO. Ona się dobrze prowadzi.

1 KOLEGA. Ale...

FILO. Tak jest. Ja wiem! Nigdy z nikim nie chodzi. Nawet z aktorem... No a teraz żeby nie pozapominać jak się nazywamy. Ty (*do 1 kolegi*), Drwęski.

1 KOLEGA. Rwęski, mówiłem — a nie Drwęski.

FILO. Niech ci będzie Rwęski, ty

(do drugiego kolegi).

2 KOLEGA. Norymberski.

FILO. To nie jest żadne nazwisko. Nie trzeba w niej budzić podejrzenia, że się poprzezywaliście... Niech będzie Janiszewski.

2 KOLEGA. Zgoda.

FILO. Ty! Jastrzębski.

3 KOLEGA. Możeby jednego hrabiego?

FILO. Nie. Ona zaraz przewącha pismo nosem.

1 KOLEGA. Taka cwana?

FILO. Ho! ho!... Ty — Gwaranc, ty Młodziejewicz, ty

1 KOLEGA. Coś z herbów.

FILO. Ty Pomian, ty

1 KOLEGA. Coś ze zwierząt.

FILO. Ty Wołoski. Ślicznie!...

1 KOLEGA. A ty? Filo — jak się przezwiesz?

FILO. Ja? — Jaroszewski. Pamiętać! Nie zasypać się. I... wiecie... to przyzwoita dziewczyna! I w drogę mi nie włazić tylko dopomagać — bo ja ją kocham! Cicho! nie brząkać!... idzie!

STEFKA (*wychodzi godna robiąc artystkę, nie wie co zrobić z rękami jak debiutantka*). Panowie!

FILO. Pani pozwoli się powitać. Oto moi koledzy, ci o których mówiłem. Wszyscy są na pani rozkazy. Oto — kolega Drwęski...

1 KOLEGA. Rwęski.

FILO. Norymberski, nie kolega Pomian Gwaranz... (*do kolegów*) No... dalej bo już pozapominałem!

(każden coś mamrocze i kłania się)

STEFKA. Bardzo mi przyjemnie! bardzo! panowie tacy łaskawi trudzili się aż tutaj.

FILO. Cały zaszczyt dla nas.

Długa chwila milczenia — nikt nie wie co mówić. Stefka zakłopotana — nagle mówi z uśmiechem.

STEFKA. Panowie będą łaskawi posiadają!...

(chłopcy siadają, pod dwoma łamią się krzesła — konsternacja, nagle Stefka wybucha śmiechem i zanosi się).

2 KOLEGA. Pani daruje...

FILO. Doprawdy... coś takiego....

STEFKA (*śmieje się*). Ależ to nic, to takie meble od siedmiu boleści. Ani na nich usiąść. To żydowskie. Niema tu między wami żyda? No to dobrze, to się żaden nie obrazi. Siadajmy na ziemi! Tak się przynajmniej nic nie załamie. Co? źle?

FILO. Ale cudownie!

(siadają w kółko na ziemi Stefka pomiędzy niemi — rzuca im przedtem trochę poduszek).

STEFKA. Jak na wschodzie! A jakbyśmy się załamali, to prosto buch do piwnicy. Ha! ha! ha!

(śmieją się wszyscy, zdrowym dziecięcym śmiechem).

FILO. Ja bym panią uratował.

KOLEDZY. I ja! i ja!

STEFKA. A to jak?

FILO. W powietrzu złapał.

STEFKA. Jak królewnę ze szklanej góry.

FILO. Królewicz z księżyca.

STEFKA (*do kolegów*). A to nasi dworzanie... A ten najmniejszy kawaler — to paź. Co! — Tylko złotej karety niema!

1 KOLEGA. My zbudujemy aeroplan.

STEFKA. Z pajęczyny — a pozbijacie gwoździami z djamentów i motor będzie złoty— a zamiast benzyny?...

FILO. Rosa z kwiatów.

STEFKA. Daleko byśmy zalecieli!

FILO. Słońce by rosę wypiło.

1 KOLEGA. A pani gwoździe djamentowe, by na kolczyki wzięła.

STEFKA (*smutno*). E!... nie!... (*otrząsa się*). Ale poczekajcie... będziemy coś jedli! (*zrywa się, biegnie do drzwi od kuchni*). Dawajcie! (*wynosi tackę z kanapkami, za nią Michasiowa parę talerzyków*). Proszę! proszę! (*częstuje, chłopcy*

biorą — do Fila). Ta najlepsza... dla Pana... zaraz serwetki!

(wylatuje do kuchni).

FILO (*do kolegów*). Co? prawda?

1 KOLEGA. Ona mi się na scenie wydawała większa.

3 KOLEGA. I młodsza.

2 KOLEGA. Właśnie że starsza.

FILO. Głupi jesteście. Ona jest cudna.

1 KOLEGA. No... Milowicz ładniejsza.

FILO. Także.

(Stefka wraca — rozrzuca serwetki).

STEFKA. Proszę! A!... jeszcze!... Michasiowo! korkociąg... kieliszki...

MICHASIOWA (*cicho*). Są tylko dwa.

STEFKA. No to będzie dwa!... (*do chłopców*) No napijmy się coś dobrego.

Michasiowa wraca z dwoma kieliszkami. Stefka bierze z za okna butelkę i chce otworzyć).

FILO. Pani pozwoli!

MICHASIOWA (*do Stefki cicho*). Pan mecenas chce swego surduta!

STEFKA (*j. w.*). A czy ja wiem gdzie leży? (*stawia na stole*). O tu—jeszcze dwie szklanki, a tu kubek od jaj — a tu głęboka popielniczka, a tu wazonik od kwiatów... Tak! po cygańsku!...

(siadają i grupują się).

FILO. Panowie! Pijmy za zdrowie pani domu i jej jutrzejszego powodzenia!

STEFKA. To już od was zależy! (*trąca się z nimi*) Michasiowo! Kanapki! (*Michasiowa podaje znów tackę*). Doprawdy że panowie mogą mnie na nogi postawić.

(Stefka mówi to z czarującym wdziękiem).

I KOLEGA. Już my to urządzimy. Sprawimy Pani klakę pierwszej klasy.

STEFKA. Tylko żeby znów nie za dużo.

FILO (*zarozumiale*). My już mamy wprawę.

STEFKA. Tak — z amatorstwa.

FILO. Spodziewam się. Tylko my byle komu nie urządzamy owacji.

I KOLEGA. Z pewnością.

STEFKA (*biegnie do drzwi — i woła*) Kanapki! (*przezedrzwi wysuwa się ręka Dauma w rękawie od koszuli z tacką kanapek*). Proszę panów jeszcze! i wina... trochę!... teraz ja za panów zdrowie! Niech żyje moja klaka! *któryś brzdąknął na gitarze*). Wino! muzyka!... taniec!... wesołość!... Boże! jak mi dobrze! jak mi czegoś dobrze!

Koledzy zaczynają grać walca „Metressa" — Filo do Stefki — służę Pani! — tańczą! — I Kolega zrywa się.— Teraz ja! — porywa Stefkę — Filo gra na mandolinie chwilę — wreszcie odbiera koledze Stefkę — i tańcząc mówi jej do ucha).

FILO. Pani jest cudna!...

STEFKA (*śmiejąc się*). I pan także.

FILO. Takie ma pani cudne oczy!

STEFKA. Pan ma takie cudne usta!...

(mały kolega kręci się sam — wpadają tańcząc na kolegów — krzyk, śmiech — nagle Stefka porywa najmłodszego — i woła).

STEFKA. Z paziem — drobna kaszka!

(zaczyna się kręcić krzycząc roześmiana, inni koledzy wstają, niektórzy grają — inni tańczą — zabawa dziecinna i wesoła, wchodzi Michasiowa).

MICHASIOWA. Proszę panienki!

STEFKA. Co?

(zatrzymuje się, wszyscy się zatrzymują).

MICHASIOWA. Ciocia panienkę prosi na chwilę.

FILO. Pani ma ciocię?

STEFKA (*jakby ze snu zbudzona*). Ale... o.. czego chce?

MICHASIOWA. Ciocia prosi żeby było cicho.

STEFKA (*jak w gorączce*). E! niech się wypcha — dalej! drobna kaszka! bierzcie Michasiową!

(jeden z kolegów chwyta Michasiową i kręci. — Stefka porywa I Kolegę — Michasiowa wyrywa się i wchodzi do kuchni, zaczyna się krzyk, zabawa i wrzawa — po chwili Michasiowa wraca z grobową miną i mówi).

MICHASIOWA. Proszę panienki!

STEFKA (*zła*). Cóż znowu!

MICHASIOWA. Ciocia jest bardzo chora — ma migrenę — i bardzo się gniewa.

STEFKA *(przerywa i poważnieje)*. Mówisz — że się gniewa?

MICHASIOWA (*znacząco*). Bardzo!

STEFKA *(zmieszana)*. A no! to przepraszam panów... ale...

FILO (*i koledzy także zmieszani*). Ale my doskonale to rozumiemy... przepraszamy Panią bardzo... ja za moich kolegów... dziękujemy za takie miłe przyjęcie...

STEFKA. Mnie jest bardzo przykro że...

1 KOLEGA. Ale proszę Pani — myśmy i tak mieli już iść.

FILO. Tak! tak!

1 KOLEGA. A teraz na pożegnanie! walca!...

(zaczynają grać walca—Stefka odprowadza ich do drzwi).

STEFKA. Polecam się panom, jutro — po trzecim kuplecie... moi złoci...

1 KOLEGA. Proszę być spokojną — już pani nas posłyszy!...

(śmieją się i grając wychodzą).

SCENA CZWARTA.

FILO — STEFKA.

Scena pusta — Stefka opiera się o piec i tak pozostaje zgnębiona, wsuwa się Filo i pocichu mówi ładnie na tle walca.

FILO. Pani smutna?

STEFKA *(przy piecu)*. Tak mi jakoś...

FILO. Taka pani była przed chwilą wesoła.

STEFKA (*wzdychając*). No cóż? Chwila do chwili niepodobna.

FILO. Tem lepiej. Rozmaitość. Jak łąka kwietna. Aż się śmieje.

STEFKA. Tak... panu...

FILO. A pani?

STEFKA. Och! mnie!...

FILO. Cóż pani brak? Pani młoda, śliczna — artystka — tylko się śmiać. Pani jeszcze nic nie przeszła... ja... to co innego.

STEFKA. Właśnie.

FILO. Na lata to ja młody. Ale co ja już przeszedłem. Właściwie ja jestem starcem.

STEFKA. E! to taka moda tak mówić.

FILO. Ja jestem po nad to... Niech Pani nie będzie smutna.

STEFKA. Tak na rozkaz?

FILO. Tak — na prośbę.

STEFKA. A co Panu na tem zależy?

FILO. Bo mnie zaraz tak smutno jak pani pogasiła w oczach światełka. Takie pani miała cudne oczy kiedy pani tańczyła walca.

STEFKA. Ba! żeby to można całe życie tańczyć walca.

FILO. Można... w przenośni! Takie upojenie, taka radość to może trwać całe życie.

STEFKA. A potem taki smutek...

FILO. Co tam myśleć co potem? Dziś do nas należy! Niech żyje dziś — Jaka pani cudna!...

STEFKA. Ciągle Pan to powtarza.

FILO. Bo inaczej nie mogę. A ja to już od Bóg wie kąd tak za Panią... jeszcze jak Pani mieszkała w tej suterenie...

STEFKA. A to Pan mi kwiatki przez Kuleszę dawał?

FILO. Ja!

STEFKA. Ja nie wiedziałam, bo on nigdy nie powiedział od kogo, tylko że od „kolegi"... ani się pan pod wierszami nie podpisał. Ja nawet niewiem jak się Pan nazywa?

FILO (*z uśmiechem*). Ja się nazywam... wiosna!

(chwila milczenia — Stefka powtarza cicho „wiosna" — a potem z wdziękiem).

STEFKA. Ale tak — naprawdę?

FILO (*po chwili*). Januszkiewicz.

STEFKA. A na imię. Tak w domu jak na Pana wołają. Mama Panowa?

FILO. Mamusia? Filo...

STEFKA. To tak jak w Balladynie...

(wchodzi Michasiowa).

MICHASIOWA. Proszę panienki?

STEFKA (*jak ze snu*). Ach!... czego?...

MICHASIOWĄ. Ciocia panienkę prosi żeby zaraz przyszła.

FILO. To ja pójdę... żegnam panią...

STEFKA (*z żalem*). Szkoda! tak dobrze z panem porozmawiać. A Kulesza co robi — zdrów?

FILO. A — kuje!

STEFKA. I zadania odrabia za Pana?

(śmieje się).

FILO (*śmieje się*). Pst!... to sekret.

STEFKA. E! wróble o tem gwiżdżą!

FILO. Ale.

STEFKA. Na sumienie! Siawus!

FILO. Siawus!...

(chwyta ją za ręce i całuje w ramiona, w łokcie).

STEFKA (*śmiejąc się*). A to ładna historja... (*wyrzuca go za drzwi*). No! no! dosyć! dosyć!

(Filo jest wzruszony i ona także — śmieją się nerwowo — Filo wychodzi — Stefka patrzy za nim — wraca na scenę — porządkuje meble — przez drzwi od kuchni wchodzi ostrożnie Daum — szuka surduta).

SCENA PIĄTA.

DAUM — STEFKA, później MICHASIOWA.

DAUM (*skrzywiony*). Gdzie mój surdut?

STEFKA (*znajduje, ubiera się w surdut, który*

jest ogromny i skacza przed Daumem). Oto surdut ekscelencji! oto surdut!...

DAUM *(j. w.)* Proszę oddać — muszę iść teraz kupować drugie przyjęcie, bo prawie nic się nie zostało.

(Stefka zdejmuje surdut podaje go z przesadą Daumowi).

STEFKA. Ale kanapki były ef... ef...

DAUM. Zaraz wracam! proszę nie zakładać łańcucha.

STEFKA. Niech Bóg prowadzi! będę tęsknić.

Daum wychodzi — Stefka biegnie do niży i zaczyna się szybko przebierać z sukni w szlafroczek jasny genre kimono. Śpiewa walca Metressa — wchodzi Michasiowa, sprząta.

STEFKA. Kto tam?

MICHASIOWA. Ja!

STEFKA. Co? ładny ten chłopak co ostatni poszedł.

MICHASIOWA. Takie to się nie liczy.

STEFKA (*w niży śmieje się*). A to dlaczego?

MICHASIOWA. Bo Stefka to albo jakiego grzyba — albo takie coś co ma mleko pod nosem wynajdzie.

STEFKA. No to się wyrówna.

MICHASIOWA. Właśnie.

STEFKA. E! nie truj mnie! Znów się nadąsałaś? Nieznośna jesteś. Wyrzucę cię.

MICHASIOWA. Właśnie.

STEFKA. A cóż? Dlatego, że jesteś moja siostra to mam cię zawsze przy sobie trzymać.

MICHASIOWA. Tak Pan Bóg przykazał. A zresztą proszę mi dać co miesięcznie to se pójdę.

STEFKA *(cicho)*. Właśnie...

(pukanie do drzwi od kuchni).

MICHASIOWA. A tam co wlazło do kuchni? *(po chwili Michasiowa wraca—cicho)*. Stefka! tam jest jakaś pani i chce z tobą gadać.

STEFKA. Pani? ze mną? — Z teatru?

MICHASIOWA. Ale! ubrana jak ktoś bardzo tego.. i chce żebyś była sama.

STEFKA (*zaintrygowana*). A no to poproś!

(zapina pośpiesznie szlafrok na piersiach).

SCENA PIĄTA.

DAUMOWA — STEFKA — MICHASIOWA.

DAUMOWA. Czy zastałam pannę Maliczewską?

STEFKA. To ja.

DAUMOWA. Czy można z panią chwilę bezpiecznie porozmawiać, ale tak żeby nikt nie wszedł.

STEFKA. A no — dobrze, (*idzie, zakłada łańcuch ode drzwi wchodowych — do Michasiowej*

cicho). Idź przed bramę i jakby stary szedł, to mu powiedz niech sobie pospaceruje gdzie i nie lezie jeszcze na górę!—Proszę Pani—już jesteśmy same, (*za Michasiową*) ja zamknę za tobą drzwi kuchenne.

(Stefka i Michasiowa wychodzą do kuchni — potem Stefka wraca).

STEFKA. Jestem!

DAUMOWA *(trochę stropiona).* Pani jeszcze bardzo młoda.

STEFKA *(śmieje się).* Nie — to złudzenie optyczne.

DAUMOWA. I bardzo wesoła?

STEFKA. Dlaczego miałabym być smutna?

DAUMOWA. No... każden ma przyczyny do smutku. Usiądźmy! dobrze.

STEFKA. O tu, na szesługu... to jeszcze najpewniej.

DAUMOWA (*siada na szesługu).* Panią pewnie dziwi co ja tu robię. Otóż — powiem pani, że się panią bardzo interesuję.

STEFKA. A dlaczego?

(bierze jedno z krzeseł przy stole i taszczy przed Daumowę).

DAUMOWA. Widzi pani — jest nas kilka kobiet, dam właściwie, myśmy zawiązały takie Stowarzyszenie.

STEFKA (*siada ostrożnie na krześle).* Aha! panie zbierają składki. Ale u mnie chuda fara.

DAUMOWA. Ależ nie. My nic nie zbieramy. My się opiekujemy samotnemi kobietami, które z powodów dla nas obojętnych (jakby to powiedzieć...) wykoleiły się... no... i...

STEFKA. No... i do czego to paniom?

DAUMOWA. Tak nam każe obowiązek sumienia.

STEFKA. Jabym wolała co innego robić.

DAUMOWA. O proszę pani — to wielkie szczęście, skoro się tak w kimś obudzi godność — poczucie przyzwoitości...

STEFKA. Taktu... moralności...

DAUMOWA (*strapiona*). Taktu... właśnie, właśnie.

STEFKA. Ja to codzień słyszę.

DAUMOWA. Skąd? ja tu pierwszy raz.

STEFKA (*grubym głosem*). Ale ja mam taką domową katarynkę... (*cienko*) przepraszam panią.

DAUMOWA. Tem lepiej, że jest u pani ktoś pojmujący godność człowieka. — Bo takie życie jakie pani pędzi, to przecież nie może zadowolnić człowieka. Ten przepych który panią otacza niewystarcza. Musi pani czuć w głębi niepokój...

STEFKA. Pewnie — bo — mam długi.

DAUMOWA. To jest nic w porównaniu z tą zbrodnią jaką pani spełnia na samej sobie.

STEFKA (*zesuwa się z krzesła*). Ja?

(Przysiada na ziemi).

DAUMOWA. Pani stoi w tej chwili po za społeczeństwem.

STEFKA (*śmieje się*). Ja na to gwiżdżę.

DAUMOWA. Społeczeństwo potrzebne.

STEFKA. Do czego? do chrzanu! Czy za mnie społeczeństwo długi popłaci?

DAUMOWA. Ale otoczy panią szacunkiem.

STEFKA. E! to luks. — Jak się ma wszystko co potrza, to wtedy można se porcję szaconku fundnąć.

DAUMOWA. Właśnie. Wtedy może już być zapóźno.

STEFKA (*smutno*). No tosię dziura w niebie nie zrobi.

DAUMOWA. Przecież... gdyby Pani chciała... porzucić ten tryb życia i powrócić...

STEFKA (*trochę gwałtownie i ponuro*). I powrócić? dzie? do suteryny. Oho! nie chyci. Źle mi tu, że no... ale tam... oho!...

DAUMOWA. Ja tam byłam — miała pani wszystko, dach, życie...

STEFKA (*gorzko bardzo*). No—niechby pani tak przyszło żyć i mieszkać — to ciekawa jestem jakby pani długo wytrzymała.

DAUMOWA. Miała pani opiekę—tę samą kobiecinę.

STEFKA (*zasłania oczy dla ukrycia łez, gdy odrywa ręce wzrok jej pada no futro Daumowej).*

Właśnie... to pani trafiła w samo sedno... proszę pani czy to plusz, czy sealskiny?

DAUMOWA *(niedbale)*. Sealskiny.

STEFKA (*wyciąga nieśmiało rękę i głaszcze*). Ale! to musi kosztować morowe pieniądze.

DAUMOWA. Nie takie drogie. Tysiąc pięćset... (*z uśmiechem*) prezent męża—za syna.

STEFKA (*gładząc futro*). Pani ma męża?

DAUMOWA. Mam.

STEFKA. (*z dźwiękiem dziecięcym*). Dobrego?

DAUMOWA. Bardzo — najzacniejszy człowiek.

STEFKA. I syna?

DAUMOWA. I synka.

STEFKA. Duży?

DAUMOWA. O! to już mężczyzna.

STEFKA. A ładny?

DAUMOWA. Bardzo.

STEFKA. A jak go pani w domu nazywa?

DAUMOWA. Filo.

STEFKA. Ja też mam jednego Fila. — Fila Januszkiewicza.

DAUMOWA (*smiejąc się*). To nie mój syn. No... i widzi pani. gdyby pani była umiała się poprowadzić w życiu miałaby pani tak jak ja dobrego męża. dzieci...

STEFKA. E! mój mąż by mi takiego palta nie dał.

DAUMOWA (*rozpiera się w palcie*). No kto wie. A zresztą czyż to palto stanowi szczęście.

STEFKA. Ale pani się takiego palta chciało?

DAUMOWA. Bardzo... ale...

STEFKA. Ale co? Ja taka sama kobieta jak pani, może nie? czy z innej gliny?

DAUMOWA. Ale nie kosztem swej godności.

STEFKA. Proszę pani — przecież pani to futro dał także mężczyzna.

DAUMOWA *(zaskoczona, po chwili)*. Mąż.

STEFKA. No bo pani miała posag, to pani miała za co kupić sobie męża, a ja biedusia nie miałam posagu, to mnie kupili.

DAUMOWA *(nie wiedząc co mówić)*. Z panią trudno się dogadać.

STEFKA *(wstaje z ziemi)*. A no!...

DAUMOWA *(wstaje — uprzejmie)*. Odchodzę! ale ja się jeszcze z panią zobaczę. Mam nadzieję, że pani rozważy moje słowa...

STEFKA (*trochę serjo*). Ja pani coś powiem. Trzeba było wcześniej zobaczyć się ze mną. Teraz już zapóźno.

DAUMOWA. Nigdy nie jest zapóźno.

STEFKA. Właśnie...

DAUMOWA (*dobitnie*). Zresztą ustawa naszego towarzystwa opiewa, że wkraczamy czynnie dopiero wtedy — gdy już dany osobnik wybitnie zeszedł z prawej drogi.

STEFKA (*podciągając nosem*). Musztarda po obiedzie.

DAUMOWA. Nie wdzieramy się w tajemnice. Nie zajmujemy się stroną plotkarską sprawy... Nie obchodzi nas kto — dość że... rzecz nielegalna, gorsząca.

STEFKA (*naiwnie*). Proszę pani, żeby tak towarzystwo długi płaciło.

DAUMOWA. Nie należy robić długów. To ubliża godności człowieka.

Daumowa odchodzi do drzwi, Stefka za nią.

STEFKA. Syty głodnemu nie wierzy — Pani się nie perfumuje?

DAUMOWA (*mimowoli porwana jej humorem*), Nie. Mój mąż tego nie lubi. Zakazuje mi.

STEFKA. Mnie także zakazują się perfumować. Mówią, że to kokotki się perfumują. Ale ja panią coś nauczę. Niech pani zwilża rafrechisserem brzeg sukni perfumami to za każdym krokiem będzie smuga zapachu.

DAUMOWA (*śmiejąc się*). To będzie kontrabanda!

STEFKA (*śmieje się*). Niech będzie.

DAUMOWA. Doprawdy! szkoda mi pani!.. Bardzo mi się pani podobała.

STEFKA (*pokazując na nią palcem*). Pani mi się także podobała.

DAUMOWA (*urażona, prostuje się*). Ale pani, panno Maliczewska, to jest osóbka sans gêne.

STEFKA (*urażona*). O! proszę pani — mnie *nikt* nie zaimponuje.

DAUMOWA. Czy mogę wyjść bezpiecznie — tak, żeby mnie nikt nie widział?

STEFKA. Sądzę! ale najlepiej niech pani idzie kuchnią.

(dzwonek).

DAUMOWA. A co? byłabym się złapała.

STEFKA. To jest tędy! Żegnam panią! (*ironicznie*). Pani daruje, że ją nie będę rewizytować — ale — nawet nie wiem jak się pani nazywa.

DAUMOWA (*wyniośle*). To do rzeczy nie należy, (*uprzejmie*). Ja jeszcze panią zobaczę. żegnam... proszę rozmyślać o tem, co mówiłam...

(dzwonek — wychodzi do kuchni — Stefka ją odprowadza, słychać głos Stefki — „proszę — prosto, a na dole przez dziedziniec na lewo — całuję rączki — Stefka wraca pokazuje za Daumową język i biegnie do drzwi wchodowych — otwiera, ale nie zdejmuje łańcucha. Słychać głos Boguckiego. „Czy tu mieszka panna Maliczewska?" — Stefka odkłada łańcuch, wchodzi Bogucki, szykowny 35 letni mężczyzna — ma w ręku kwiaty.

SCENA SIÓDMA.

BOGUCKI — STEFKA,

BOGUCKI. Panna Maliczewska?

STEFKA (*z wdziękiem*). To ja!

BOGUCKI (*ogląda się*). Miał tu być...

STEFKA. Nasz wspólny przyjaciel. Ale poszedł trochę się przeluftować. Niech się pan rozbierze i zaczeka.

BOGUCKI. Widzę że pani uprzedzona o mej wizycie.

STEFKA. A trąbi mi o Panu jak o Archaniele.

BOGUCKI *(rozbierając się z palta)*. Pani daruje...

STEFKA. To pan daruje że niema przedpokoju.

BOGUCKI *(przedstawia się zupełnie correct)* Jestem Bogucki.

STEFKA. Niech pan siada! o! nie tu!... nie tu!...

BOGUCKI. Czemu?

STEFKA. Bo to wszystko połamane. O, to się jeszcze trzyma... *(Bogucki siada na szezlągu — Stefka stoi koło stołu)*. Ja pana skądciś znam.

BOGUCKI. Może ze sceny. Ja często bywam w teatrze.

STEFKA. W pierwszym rzędzie.

BOGUCKI. Naturalnie.

STEEKA. A! a! czekaj pan... teraz już wiem! To pan z Milowiczówną...

BOGUCKI (*śmiejąc się*). Może ja!

STEFKA (*leci do niego i wskazuje na szesląg*). Ach tak! tak! pan po nią przychodził i czekał od strony damskiej garderoby.

BOGUCKI. Dawne czasy!

STEFKA. Trzy lata temu... Ja byłam wtedy jeszcze szkrab w balecie...

BOGUCKI. Nie przypominam sobie.

STEFKA. Bo nie było co...

BOGUCKI (*wstaje — idzie do wieszadła — podając jej kwiaty*). Pani pozwoli trochę kwiatów...

STEFKA (*olśniona i ucieszona*). Dziękuję... postawię na widoku aby go kłuły w oczy. (biegnie do niży, bierze dzbanek z wodą, stawia na stole).

BOGUCKI (*za nią idzie*). Czemu?

STEFKA. Bo on mi nigdy kwiatka nie przyniesie.

BOGUCKI. Co pani mówi!

STEFKA. O! o! pan go nie zna!... Ale dzięki Bogu, że to pan ten przyjaciel.

BOGUCKI. Dlaczego?

STEFKA. Bo Pan jest do Boga i do ludzi. Ja się bałam, że to będzie znów jaki godny karawaniarz — jak *on*...

BOGUCKI. To on taki nudny?

STEFKA. Panie! to mało nudny! To jest całe szczęście, że ja mam taki anielski charakter i mogę z nim wytrzymać.

BOGUCKI. A to... niech go pani porzuci.

STEFKA. Właśnie. E! mówmy o czemś weselszem. (*bierze go pod rękę*). Ta Milowiczówna to pana porządnie oszukiwała.

BOGUCKI (*śmiejąc się — idzie do szesłągu*) Co pani mówi?

(siadają).

STEFKA (*zanosząc się ze śmiechu*). Jak Bozię kocham, raz pamiętam, deszcz padał... to było po operetce... Pan miał czekać od strony naszej garderoby, a ona wyszła męską stroną. A pan czekał, a deszcz lał. Myśmy patrzyły przez okna i zaśmiewały się! taka była heca!...

BOGUCKI. To nie ładnie ze strony Milowiczówny.

STEFKA. Dlaczego, jak Pana miała wyżej uszów.

BOGUCKI. A ja byłem jej wierny.

STEFKA. Właśnie... pan na to wygląda...

BOGUCKI (*łasząc się do niej*). Niech się pani przekona...

(zgrzyt klucza w zamku).

SCENA ÓSMA.

DAUM, STEFKA, BOGUCKI później MICHASIOWA.

(Daum wchodzi z paczkami, staje w progu niemile dotknięty widokiem blisko siedzących dwojga — wreszcie mówi z udaną wesołością),

DAUM. A! już jesteś? przepraszam cię... musiałem wyjść.

BOGUCKI (*wita się z nim*). Nic nie szkodzi. Myśmy się już poznali.

STEFKA. I pokochali!...

(pokazuje język, Daum robi rozpaczliwe miny).

BOGUCKI (*śmieje się*). Och gdyby...

(Michasiowa wchodzi.

DAUM. Proszę się zająć kolacją... właściwie... to nie jest kolacja...

STEFKA (*koło stołu z Michasiową*). Ale... przyjacielska przekąska..

DAUM (*do Boguckiego*). Posłałem ci wczoraj jedną ekstabulację.

BOGUCKI. Dziękuję, ale to trudno przeprowadzić.

DAUM. Dlaczego?

BOGUCKI. Ja proponuję, żeby raczej urządzić fikcyjną sprzedaż — o wiele będzie łatwiejsza.

STEFKA (*wpada między nich — dziecinnie*). Nie — nie gadajcie o interesach — mówcie co wesołego.

DAUM. Proszę bardzo przypomnieć sobie co mówiłem. Niech pani będzie łaskawa sobie przypomni...

STEFKA. Panie dobrodzieju nie pamiętam.

DAUM (*zirytowany*). To szkoda. A ja prosiłem...

BOGUCKI (*wstaje*). O co chodzi?

STEFKA. Pan dobrodziej żądał ażebym się godnie zachowywała. A to przecież nudne. Co? I pana to znudzi bo pan to wesoły pasażer...

BOGUCKI. Ależ naturalnie...

Siadają na dawnem miejscu oboje — Daum dogląda nakrywania stołu przez Michasiową.

BOGUCKI. Niech mi pani powie — dlaczego Milowiczówna miała mnie wyżej uszów? Czy co mówiła?

STEFKA. No bo pan był zazdrosny i wyprawiał sceny.

BOGUCKI. To nieprawda. Ona się tylko tak chwaliła. Ja niemam takiej brzydkiej wady.

STEFKA. To dobrze. (*ogląda się na Dauma*). Szkaradna wada zazdrość.

DAUM (*włażąc między nich*). Czy ci kawior przyprawić z cytrynką?

BOGUCKI. Dobrze! (*do Stefki*). Ja zresztą wszystko wiedziałem.

STEFKA (*zainteresowana*). I o Bucholtzu?

BOGUCKI. I o Winnickim...

STEFKA. Co pan mówi! Ale o jednym to pan nie wiedział? założę się...

BOGUCKI. Ano załóżmy się...

DAUM (*włazi między nich*). Bryndzę ci spreparować z korniszonami?

STEFKA. Ach nie przeszkadzaj nam! No... założmy się!...

BOGUCKI. O co?

STEFKA. Dyskrecja.

BOGUCKI. A jak będzie niedyskretna...

STEFKA. To trudno...

(zaśmiewają się).

DAUM *(zły przy stole)*. Pani Maliczewska— może pani będzie łaskawa powie gdzie pani podziała kieliszek?

STEFKA. A to piła!... zbił się!

DAUM. Śliczniel... ale było dwa...

STEFKA (*wskakuje na szesląg — zeskakuje i biegnie do kuchni*). Zaraz!

BOGUCKI *(siedząc na swojem miejscu, ogląda się za nią)*. Ma śliczną linję... I bardzo sznitowa.

DAUM. Taka sobie, Może papierosa?

(podaje porte cigarres).

BOGUCKI (*bierze papierosa, śmiejąc się*). Cóżeś taki skrzywiony? Ładna papierośnica.

DAUM. To prezent!

Bogucki ogląda — Stefka wraca.

STEFKA. Jest jeszcze jeden.

(siada przy Boguckim).

STEFKA. No więc teraz panu powiem o kochanku Milowicz — ale o tym prawdziwym... To ładna

(bierze papierośnicę Dauma).

BOGUCKI. To Dauma.

STEFKA. Niewidziałam u niego. (*kładzie na szesląg*). Ktoś z teatru.

BOGUCKI. Pch!....

STEFKA. To nie — pch!... bo my tych swoich naprawdę kochamy.

BOGUCKI. Może wstąpić do operetki?

STEFKA. Nie, do dramatu będzie Pan brał ze mną razem lekcje. Ja się uczę do dramatu. Już umiem Dezdemonę i Klarę i teraz Julję...

BOGUCKI. Co pani mówi?

STEFKA. Jak Boga kocham. Jeszcze Judytę to będę gotowa...

DAUM (*od stołu*). Proszę państwa na przekąskę.

STEFKA. Pan myśli, że ja jestem za młoda?

(wspina się na palce).

BOGUCKI. Ale przeciwnie. Pani jest wściekle zgrabna. I oczy ma pani pierwszej klasy.

DAUM. Proszę na przekąskę.

STEFKA. Właśnie chodzi w dramacie o oczy.

W balecie nogi, w operze gardło, w dramacie ślepia.

BOGUCKI. Pani ma i wyraz, i oprawę — tylko niewiem jaki kolor.

STEFKA. Czarne... o niech pan patrzy!

(zasłania oczy ręką, Bogucki jej rękę odsuwa — ona go bije po łapie. — Daum wściekły — odchodzi od stołu, bierzę gazetę, siada opodal i zaczyna czytać.

DAUM. Jak państwo będą mieli ochotę — to może raczą.

STEFKA. A pan jakie ma oczy?

BOGUCKI. Szafirowe

STEFKA. Co pan gada?

BOGUCKI. Proszę zobaczyć!

(Daum chrząka znacząco — oni się oglądają na niego).

STEFKA (*cicho do Boguckiego*). Gniewa się.

BOGUCKI. Zdaje się.

STEFKA. Chodźmy jeść. Nie trzeba go drażnić.

BOGUCKI. Chodźmy!

STEFKA (*śmiejąc się*). Zwłaszcza że doktór zakazał...

(bierze pod rękę Boguckiego i idą w stronę Dauma składają mu ukłon głęboki).

STEFKA. Idziemy na przyjacielską zakąskę.

DAUM. No... nareszcie!

(wstaje i idzie z nimi do stołu — siadają. Stefka w środku)

DAUM. Koniaczku!

BOGUCKI. Chętnie. Ale jeść nic nie mogę, bo to wcześnie...

STEFKA. A ja to od macochy?...

DAUM. Proszę. Ale tylko jeden.

BOGUCKI. Dlaczego?

STEFKA (*do Boguckiego*). Pan żonaty.

BOGUCKI. Bóg strzegł.

STEFKA. A dzieciaty?

DAUM (*zgorszony*). Pani Maliczewska!...

STEFKA. No co?... a więc kiedy ani to ani to — to nasze... kawalerskie!

(trącają się kieliszkami Daum lezie także).

BOGUCKI. Ty tu nie masz co robić. Ty nie jesteś kawalerem!

STEFKA. Tak! tak! tylko my dwoje.

DAUM (*zaprzeczając*). Przecież... cokolwiek.

BOGUCKI. Kawałeczek szynki.

STEFKA. Musztardy, przyniosę...

(wylatuje do kuchni tańcząc i śpiewając.

BOGUCKI (*patrzy na nią z upodobaniem, później na Dauma*). Coraz jesteś kwaśniejszy. Cóż to? jesteś zazdrosny?

DAUM (*wyniośle*). Ja? o metressę zazdrosny? Za kogo mnie bierzesz.

BOGUCKI. Tem lepiej. Nie będę się krępował...

DAUM. No... w każdym razie...

BOGUCKI (*śmiejąc się*). A co! a widzisz!...

STEFKA (*wpada mazurowym krokiem*). Z czego się śmieją? Ona nie wie, ona chce się śmiać także...

BOGUCKI. Niech pani siada. Jak pani niema to zaraz ciemno w pokoju.

STEFKA (*zachwycona*). Joj!... pan będzie tu częściej przychodził? co?

BOGUCKI. Ależ naturalnie. Jeśli pan pozwoli! (*Daum chrząka*) jeśli państwo pozwolą... może się kiedy gdzie razem wybierzemy...

STEFKA (*radośnie*). Ach Boże! żeby trochę się rozerwać...

DAUM. O co to, to nie. Moja sytuacja nie pozwala na takie wybryki.

BOGUCKI. No — ja to rozumiem. Ale tak po ciemku wieczorem — za miasto w zamkniętym powozie.

STEKA (*zła*). E!... jak na pogrzeb.

DAUM. Nawet to byłoby za ryzykowne.

STEFKA. Widzi pan jakie ja mam wesołe życie.

DAUM. To trudno. Inaczej być nie może.

STEFKA. (*do Boguckiego*) Niech mi pan naleje koniaku.

DAUM. Co to — to nie.

BOGUCKI. Ale dlaczego? (*nalewa*) za zdrowie przegranej dyskrecji!

STEFKA (*rozparta na stole*). Dobrze. (*piją*). Bardzo mi się pan podobał.

BOGUCKI. Mnie się pani także bardzo podobała.

STEFKA (*do Duuma*). A co? a co? i bez godności i podobałam się. Proszę Pana — a pan zna Dyrektora teatru?

BOGUCKI. Znam.

STEFKA (*klęka na krześle i opiera się o stół — Daum ją reflektuje, ona mu język pokazuje*). Ale na „ty"?

BOGUCKI. Nie.

STEFKA. E!...

BOGUCKI. A jak to pani potrzeba, to ja z nim bruderschaft kiedy wypiję.

STEFKA. Mój królu! zrób to — to ja ci wtedy powiem o co mi chodzi...

BOGUCKI. Dobrze — zaraz dziś go wynajdę.

STEFKA. Mój królu!

(Bogucki wstaje).

DAUM. Co to? idziesz?

BOGUCKI. Mam bardzo ważne rendez-vous...

STEFKA. Z damą?

DAUM. Pani Maliczewska! (*Stefka gra na nosie*). Pani Maliczewska!

BOGUCKI (*ubiera się*). Ale niebawem przyjdę... Pani pozwoli.

STEFKA (*koło drzwi podaje mu kapelusz*). Mój panie! niech pan przyjdzie! prędko! prędko!...

BOGUCKI. A ty pozwolisz? —

DAUM (*kwaśno*). Proszę!

BOGUCKI (*śmieje się*). Bez entuzjazmu! ale to mniejsza (*do Dauma*) Zostajesz?

DAUM. Trochę.

BOGUCKI. Do widzenia!

STEFKA. Do widzenia! Pa!...

SCENA DZIEWIĄTA.

STEFKA — DAUM.

Michasiowa sprząta ze stołu — Stefka przebiega około Dauma i gra na nosie.

STEFKA. Dzisz pama! zrobiłam konkietę.

DAUM. Właśnie. Jak wyszła — to on mówił, że jest zgorszony.

STEFKA. Kłamie jak pies. Bo — mówił, że ona ma linję... Ona podsłuchiwała!... No a teraz raz dwa... muszę się uczyć Julji... dawajcie balkon! Mam zadane na jutro... no!... stół... *(taszczy stół na środek sceny wskakuje na stół — rzuca broszurę Daumowi — i woła)*. Niech czyta Romea i sufleruje... dalej.

DAUM (*skrzywiony*). Nie mam okularów.

(rozwala się na szeslęgu).

STEFKA. (*grzecznie i miluchno*). Jakkolwiek. No!... ona prosi...

DAUM (*grożąc*). Nie zasłużyła... (*czyta*)

Coś błysnęło mi w oknie
ach! to Julji lica i t. d.

STEFKA (*na stole*).

Teraz ja! — Romeo — niestety
Nazwisko twoje razi Kapulety.
Bo co to jest Romeo — czyli to źrenica
Czy ręka? czy też która stopa... czy jaka
[część lica...

DAUM. Czy stopa.

STEFKA. No — to już powiedziałam...

DAUM. Ale ona powiedziała „czy też która stopa!"

STEFKA. Nie piłować... no teraz on.

(pokazuje nogą na niego),

DAUM. Zaraz! (*czyta*)

Zieloność barwa głupców
Porzuć modne stroje
O Juljo Montepa! ty kochanie moje!

STEFKA. Ale gdzie? gdzie? przeskoczył... (*drzwonek*) Któż tam?

DAUM. Łańcuch? łańcuch? (*Michasiowa wpada nu scenę — Stefka stoi ciągle na stole*). Nie odkładać łańcucha!...

MICHASIOWA. Wiem! wiem!

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ — SEKWESTRATOR.

SEKWESTRATOR. Czy tu mieszka panna Maliczewska?

MICHASIOWA. Tu — a czego?

SEKWESTRATOR. W imieniu prawa — zajęcie. (*Michasiowa ponuro odkłada łańcuch*). Sekwestrator przyszedł...

(Stefka zwraca się do Dauma — Daum chwyta futro i kapelusz i ucieka przez kuchnię).

STEFKA (*chwilę bezradna — zeskakuje ze stołu — pęzi do drzwi*). Po moim trupie!

SEKWESTRATOR (*wchodzi*). Panna Maliczewska? Stefanja? przychodzę w sprawie Rozenbuszowej Ryfki... towary modne... kwota... pięćdziesiąt trzy korony...

STEFKA (*poznaje go*). Serwus Brzezina. chodź Pan!... ta pan stary znajomy!... Jak się Pan miewa?... ale tu nic mojego niema...

SEKWESTRATOR. Znowu?

STEFKA (*zaśmiewa się*). Stale.

SEKWESTRATOR (*obchodzi dookoła dostrzega srebrne porte cigarre Dauma na szezlągu i rzuca się na nie jak drapieżca*). O... a to...

STEFKA (*robi ruch jakby ocalić, ale się opamiętowuje*). A to! i owszem!!! Bierz pan... bierz pan!... (*do Michasiowej zanosząc się ze śmiechu*) porte cigarres starego! Pan Bóg go skarał!...

(okręca Michasiową, która się także śmieje — i puszcza się kankana zadarłszy suknię z dziecinnem rozpasaniem, śpiewając na całe gardło — „Pan Bóg go skarał!..." aż kurtyna zupełnie zapadnie.

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Ta sama dekoracja — dzień — przy stoliku, przy małym stoliku siedzi Stefka i fryzuje włosy.

SCENA PIERWSZA.

STEFKA — MICHASIOWA.

MICHASIOWA *(kręci się po pokoju)*. Dałaby Stefka trochę pieniędzy.

STEFKA *(w matince niebieskiej batystowej i krótkiej wełnianej szarej spódnicy)*. Nie mam.

MICHASIOWA. Stale?

STEFKA. Tak. A jak ci źle — to se idź.

MICHASIOWA. Pewnie że mi źle — jakbym u obcych służyła to miałabym zasługi... *(dzwonek — Michasiowa idzie do drzwi)*. Może on...

STEFKA. Ale! on tylko wieczorem, cichcem lezie...

MICHASIOWA. Ale — był już we dnie dwa razy.

STEFKA. No — kto tam? *(Michasiowa uchyla drzwi — posłaniec oddaje bukiet i list).* To pewnie od małego. Nie chcę!... oddaj!

MICHASIOWA. Kiedy już posłaniec poszedł.

STEFKA. Powiedziałam ci żebyś nie przyjmowała nic od tego smarkacza...

MICHASIOWA. Ta czemu? ta wziąść można.

STEFKA. Pewnie tam w kuchni znów drzwi otwarte.

MICHASIOWA. Zamknięte! Trzeba zobaczyć co on pisze.

STEFKA. Naturalnie. Ani myślę.

MICHASIOWA. To ja przeczytam! *(siada przy stole i czyta list Fila).*

Perłami skuję twe śmigłe ręce
Na nie rozsypię twych włosów złoto
Więzami ducha...

(wzdycha) Ładnie pisze tylko trudno czytać.

STEFKA. Ciekawe komu on to znów ukradł?

MICHASIOWA. Ta co miał ukraść? Przecie niema przy liście nic jeno kwiaty.

STEFKA. Po co mi to zielsko?

MICHASIOWA. To niech mu Stefka powie, żeby zamiast kwiatów przysyłał kolonialne towary... To będzie wydatniejsze.

STEFKA. Głupiaś.

MICHASIOWA. Co — głupiaś... to jeden pieniądz. (*zaczyna czytać*).

Perłami skuję twe śmigłe ręce...

STEFKA. A to piła...

MICHASIOWA. Albo żeby mi pensję zapłacił...

STEFKA. Ty mi się nie waż mówić o tem — ani jemu ani staremu...

MICHASIOWA. Pewnie. Jakbym się prezentowała za siostrę, to niewypadałoby mówić — ale tak za sługę, to co. że się upominam o swoje!

STEFKA. Ja ci zapłacę

MICHASIOWA. Na święty Jury — jak będą w niebie dziury. Mogłaby Stefka lepiej Panu powiedzieć, że ja siostra, to by się wstydził i zapłacił.

STEFKA. Niech cię Bóg broni! on mi to przecież wyraźnie zapowiedział, żebym mu nigdy o familji nic nie wspominała. Ja ci to zaraz postawiłam za warunek. Jak chcesz być u mnie dobrze. Ale — jak sługa... Zgodziłaś się. Więc — keine gadanie być nie może.

MICHASIOWA (*ponuro*). Bo ja myślałam, że się tu będzie przelewać.

STEFKA. O to to!... tędy go wiedli. (*Dzwonek*). Kto tam?

(Michasiowa idzie do drzwi).

SCENA DRUGA.

TEŻ SAME, FILO (w ubraniu cywilnem).

FILO. W domu?

STEFKA (*jednym susem zrywa się z sofy*). Czego? czego?...

FILO (*zmieniony*). Dwa słowa. Coś o premierze. Kiedy? Chcemy urządzić owację...

STEFKA. Nie mnie brać na kawał! Pan wie, że nie gram w tej premierze i że mam wasze owacje pod podeszwą. Ja zakazałam tu przychodzić! Ja nie chcę! Ja nie lubię jak się za mną włóczą...

FILO. Ja się nie włóczę, bo ja jestem pani cień!...

STEFKA (*wraca do szezlągu*). No... ja mam też los. I proszę kwiatów nie przysyłać bo pan na to niema pieniędzy...

FILO. To do pani nienależy Ja bym ukradł gwiazdy aby Pani rzucić pod nogi.

STEFKA (*śmieje się*). A tymczasem pan sprzedaje książki...

FILO. Nieprawda. Ja mam swoje dochody. Ojciec mi daje pensję.

STEFKA. Pięć koron...

FILO. Trochę więcej.

STEFKA. Wszystko jedno. Nie na to aby Pan kwiaty kupował. Zresztą ja nie chcę... nie chcę...

(tupie nogami i biegnie do okna),

FILO. To trudno. Ani pani ani ja na to nic nie poradzimy. Ja kochać Panią będę do śmierci, a że miłość wywołuje miłość, pani mnie także pokocha...

(siada na krześle na środku sceny i patrzy na Stefkę z podełba).

STEFKA. Ja Pana więcej znienawidzę.

FILO (*ręce w kieszeniach od spodni*). Tem więcej panią kochać będę.

STEFKA. Pan niech idzie do sztuby.

FILO (*ponuro*). Ja jestem — w szkole miłości.

STEFKA (*powraca do szeslągu*). Ja do rodziców pana napiszę.

FILO. Tem lepiej — sytuacja się odrazu wyklaruje.

STEFKA. Jaka sytuacja?

FILO. Moja i Pani. Przejdę walki, piekło — ale zwalę to wszystko i utoruję drogę dla nas obojga...

STEFKA. Gdzie???

FILO. Do wspólnej egzystencji.

STEFKA (*idzie do lustra*). Pan ma źle w głowie.

FILO (*ponuro*). A nie zdołam zwalczyć przeszkód — zginiemy razem!

STEFKA (*robi perskie oko*). Właśnie.

FILO. Czy pani sądzi, że ja bym panią samą na świecie zostawił? Nigdy! Wszystko czyha na pani wdzięk, niewinność, młodość. Wszystko! Wszak teraz ciskają na Panią ostatnie obelgi. Mówią o pani straszne rzeczy...

STEFKA (*zaciekawiona*). Co mówią?

FILO (*wstaje ale pozostaje na środku*). Nie powtórzyłbym nigdy tych szkaradstw z obawy aby Panią nie znieważyć. Ale niech pani będzie spokojna. Ja nie wierzę! Ja nie wierzę! Ja jeden na świecie znam Panią i wiem kim pani jest. — I zawsze w obronie Pani stanę choćby mi życie utracić przyszło. Śmierć samą bym wyzwał i zwalczył. Proszę mi wierzyć.

STEFKA (*siada z nogami na sofie*). Że też pan wiecznie o tej śmierci gada.

FILO (*ponuro*). Bo się jej nie lękam.

STEFKA. A jakby przyszła, to by Pan uciekał za piec... Ale co tam śmierć! niechby się tu zjawił jaki profesor, Pan by uciekł.

FILO. Nigdy! Pani mnie nie zna.

(dzwonek).

STEFKA. No... no... może profesor.

FILO (*nie rusza się z rękami w kieszeniach od spodni*). Świat cały wyzywam do walki o panią...

(siada na krześle). A zresztą ja się nikogo nie boję, bo jestem po cywilnemu!

STEFKA. Tymczasem niech się pan wynosi przez kuchnię.

FILO (*siedzi*). Ani myślę.

(dzwonek).

STEFKA. Proszę — to może być moja koleżanka...

FILO (*j. w.*). Niech wejdzie.

STEFKA. Nie chcę aby mnie wzięła na język.

FILO (*j. w.*). Niech sprobuje—potrafię Panią obronić.

STEFKA. Ach Boże!... (*po chwili*). Aha!... a może ja o Pana jestem zazdrosna i boję się aby mi Pana nie odebrała...

FILO (*zrywa się*). Skoro tak... to pójdę... ale wrócę!...

STEFKA. Nie dziś — proszę bardzo!

FILO. Dla mnie niema rozkazu. Ja... wrócę!...

(dzwonek — Michasiowa idzie otwierać).

MICHASIOWA. Ja bym nie radziła żeby panicz tu siedział.

FILO. Idę... Niebawem...

(wychodzi).

STEFKA (*szybko*). Żebyś mi go więcej nie wpuszczała. Otwórz!

MICHASIOWA. Ta co się spieszyć. To pewnie ktoś z rachunkiem.

(uchyla drzwi, przez łańcuch widać Boguckiego).

BOGUCKI. Panienka w domu?

MICHASIOWA, Zaraz! *(do Stefki szeptem)*. Jesteś w domu — czy nie?

STEFKA. Kto?

MICHASIOWA. Ten pan, przyjaciel starego...

STEFKA. Ale jestem, jestem — proś!...

MICHASIOWA (*otwiera*). Panienka jest.

(Bogucki wchodzi, ma w ręku paczkę).

SCENA TRZECIA.

BOGUCKI — STEFKA — MICHASIOWA.

STEFKA. Cóż tak rano?

BOGUCKI (*uprzejmie*). Chciałem pani jak najprędzej przynieść co pani wie...

STEFKA. O! o! o!

BOGUCKI. Proszę

(podaje jej zawiniątko).

STEFKA (*rozpakowuje — boa, papier rzuca na ziemię koło szeszląga*). Pycha! (*rzuca mu się na szyję i całuje go—przygląda się*). Kogucie!

BOGUCKI (*zmieszany*). Pani takie chciała...

STEFKA (*dobry charakter jej bierze górę*). Ja mówiłam strusie... ale to nic. Śliczne.

BOGUCKI. A zwłaszcza, że jednej malutkiej osóbce ślicznie...

STEFKA. Może za duże? Co? Mnie się zdaję, że wyglądam jak pies w chomoncie... (*skacze na sofkę ogląda się w lustrze, nie zdejmując boa*) siupaj pan także... (*Bogucki siada obok niej*). Jak mi się stary zapyta skąd wzięłam, to powiem, że mi pan dał. Niech się wstydzi, że taki skąpy i inni panowie mi prezenta dają.

BOGUCKI. Ja w ogóle nie rozumiem jak panią można czegoś pozbawiać. Przecież to największem szczęściem jest otoczyć kobietę zbytkiem i przepychem...

STEFKA. No—proszę pana... a niech pan tylko tu spojrzy...

MICHASIOWA (*w głębi*). Mnie się już nawet nie chce kurzów ścierać z tych gratów.

STEFKA (*surowo*). Niech Michasiowa pójdzie zobaczyć w kuchni czy mnie tam niema...

(Michasiowa wychodzi).

BOGUCKI. Panią to należałoby postawić w serwantce jak figurkę z porcelany...

STEFKA (*powoli smutniejąc*). To nie. Ale widzi pan ja bym chciała choć w mojej sytuacji mieć tyle pieniędzy, aby ludziom gardła pozatykać. A tak to mną poniewierają dwa

razy tyle i tak mi się zdaje, że każden to ma do mnie żal za to, że ja mam tak mało pieniędzy... Byle kto się nademną znęca i poniewiera. I stróżowa, i lokatorzy, i gospodarz, a ja przecie drożej płacę jak inni. (*po chwili*). Ja panu daję słowo—że to wszystko to djabła starego nie warte.

BOGUCKI. Ja ciągle powtarzam, panią potrzeba otoczyć zbytkiem.

STEFKA. Ja Panu powiem, że to znów nie takie konieczne. Ja sobie dużo rzeczy umiem wyperswadować. Niema, no to niema. Ale widzi Pan, ja mam ambicję...

BOGUCKI. Co?

STEFKA. Am-bi-cję. Żebym ja się tylko dochrapała czego w teatrze, to już ja bym sobie w życiu dała radę... (*po chwili*). A pan widział dyrektora?

BOGUCKI. Mam się z nim zobaczyć jutro rano.

STEFKA. I będzie mu pan mówił o mnie?

BOGUCKI. Naturalnie.

STEFKA (*wstaje i idzie do stołu, siada przy nim*). Bo jak ja będę miała stanowisko— to będzie wolno mi robić wszystko co zechcę—prawda? Już taki świat. Ja to widzę... (*Bogucki idzie za nią, bierze jej rękę i całuje każden palec*). Tylko Daum widzieć tego nie chce. Panie on się tak mnie wstydzi, pan

nie ma pojęcia. Zresztą każden się mnie wstydzi. Pan także...

BOGUCKI (*stoi obok niej*). Cóż znowu? Jakby mnie pani kochała, to jabym się tem chwalił—przecież to szczęście.

STEFKA. Ale...

BOGUCKI. Daję słowo.

STEFKA. Chodziłby pan ze mną pod rękę?

BOGUCKI. Pod obie.

STEFKA. W biały dzień?

BOGUCKI. W najbielszy.

STEFKA (*zrywa się*). To chodźmy!

BOGUCKI. Pardon! jest różnica. Stefka mnie nie kocha...

STEFKA. E! co panu po mojej miłości.

(idzie do szesląga i siada na swojem miejscu).

BOGUCKI. Widocznie, że mi „coś" — i to bardzo... bardzo... (*głaszcze ją po włosach*). Moja Stefuś!... a takie to młode, a takie to kochane...

STEFKA (*kładzie się jak dziecko i przymyka oczy, tyłem do publiczności, powoli odwraca się i widać jak ma zamknięte oczka*). Niech gada jeszcze..!

BOGUCKI (*siada obok niej od wewnątrz sceny*). Żeby było moje — to na rękach by ją nosił, dopomagał, czuwał — pielęgnował...

STEFKA (*z przymkniętemi oczami*). Niech gada jeszcze...

BOGUCKI. Opiekował się, kochał...

STEFKA (*j. w.*). Miałaby stanowisko.

BOGUCKI. Pierwszorzędne...

STEFKA (*j. w. cichutko, ślicznie*). I długów by nie miała.

BOGUCKI. I długów by nie miała... Wszystko by to jej dał, gdyby była jego.

STEFKA (*otwierając oczy dziecinnym głosem*). To niech ją sobie weźmie...

BOGUCKI (*pochyla się ku niej roznamiętniony*). Stefuś...

STEFKA (*zrywa się — odtrąca go i po chwili tuli się*). Ale nie... nie... Niech ją sobie weźmie stąd precz... niech ją sobie weźmie na zawsze... na zupełne...

BOGUCKI (*stygnąc*). Nad tem, to trzeba się zastanowić.

STEFKA (*wzdychając*). Tak!...

BOGUCKI. Ja przedtem muszę się przekonać, czy Stefka mnie kocha.

STEFKA (*patrzy na niego tępo, potem zrywa się*). Ehe!... niema głupich! — (perskie oko).

(biegnie do stołu).

BOGUCKI (*wstaje*). A tak nie trzeba mówić, bo to zaraz cały urok psuje.

STEFKA (*przy stole*). I mnie też dużo rzeczy urok psuje. (*z wybuchem*) E!... ja już widzę, że ja tak zginę...

BOGUCKI. O! o! zaraz wielkie słowa...

(chrzęst klucza w zamku — drzwi się uchylają, widać Dauma przez łańcuch, jak usiłuje wejść).

SCENA CZWARTA.

DAUM — CIŻ SAMI.

DAUM (*za drzwiami wściekły*). Panno Maliczewska! panno Maliczewska!... proszę odpiąć łańcuch.

STEFKA (*zdenerwowana*). Zaraz! co za wrzaski! (*odkłada łańcuch*). Proszę!... Cóż pana dobrodzieja przyniosło?

DAUM. Co? zaraz po... (*spostrzega Boguckiego*). A!... to ty? Cóż tu robisz?

BOGUCKI. Przychodzę z wizytą.

DAUM (*zły*). Tak? trochę wcześnie.

BOGUCKI. A skoro i ty...

DAUM. Ja przychodzę bo mam trochę wolnego czasu w sądzie i... (*do Stefki*). Pani nie ubrana?

STEFKA. Jestem w negliżu. E! niech nie nudzi. Tylko się pokaże, to już zaczyna...

DAUM (*na boa*). Cóż to za pierzyna?

STEFKA (*wyrywa mu*). To moje boa.

DAUM. Obrzydliwe, kokotki takie noszą.

STEFKA (*zirytowana*). Bardzo dla mnie stosowne.

DAUM (*surowo*). Mam panią za coś wyższego. Należałoby o tem pamiętać.

STEFKA (*coraz więcej podrażniona*). Kto się wywyższa będzie poniżon.

DAUM (*do Boguckiego*). Przepraszam cię mój drogi za tego rodzaju rozmowę.

STEFKA (*bardzo podniecona*). Nie należy gorszyć maluczkich.

DAUM (*patrzy na nią zły — i mówi ostro*). Gdzie jest moja inhalacja? —

STEFKA (*opuszcza głowę, zgnębiona i mówi po chwili cicho*). Zaraz!

(wychodzi do kuchni).

SCENA PIĄTA.

BOGUCKI— DAUM.

BOGUCKI. Jaka inhalacja?

DAUM. Chrypnę — więc w przerwie zachodzę do niej zrobić sobie inhalację — bliżej mi tu niż do domu.

BOGUCKI. Nie bardzo się żenujesz. Dziewczynę to może zrazić.

DAUM. Nie boję się... Ona wie, że po prostu dobijają się o mnie. — A zresztą.

BOGUCKI. No... daj no spokój! Chodzi ci o nią.

DAUM. Och!... to rzecz podrzędna.

BOGUCKI. Udajesz obojętność...

DAUM *(zagaduje)*. Cóż twój marjaż?

BOGUCKI Nie wiem jeszcze.

DAUM. No, no. Partja niezła. Ja radziłbym...

BOGUCKI. Tak ci chodzi, aby mnie ożenić? Nie bój się, nie włażę ci w drogę.

DAUM. Powtarzam ci, że się nikogo nie boję.

BOGUCKI. Tak ją trzymasz?

DAUM. Może! *(idzie do kuchni)*. No?...

STEFKA *(za sceną)*. Już gotowe.

DAUM *(wychodząc do Boguckiego)*. Darujesz— ale to rzecz ważna...

BOGUCKI. Proszę cię — Zresztą ja idę... *(wchodzi Stefka)*. Chcę panią pożegnać.

STEFKA *(zdaleka)*. Pa, pa!...

BOGUCKI *(chwyta ją przegina i całuje w usta)*. Tak! tak! tak!

STEFKA. Puść pan! on tu taszczy swoją łaźnię. *(wchodzi Daum skrzywiony, ustawia sobie aparacik do inhalacji i siada przy małym stoliku. — Stefka zła, do Boguckiego)*. To brzydkie co Pan wyprawia.

BOGUCKI (*udaje zainteresowanego inhalacją*). Al to się tak robi.

DAUM (*patrzy na Stefkę*). Co Pani taka z lewej strony czerwona?

STEFKA (*która się zbliżyła i podaje serwetkę*). Bo nie z prawej.

BOGUCKI. Więc tędy idzie para?

DAUM. Darujesz... ale ja mówić nie będę...

BOGUCKI. Nie .. nie... ja odchodzę! (*Daum macha ręką — Stefka odprowadza Boguckiego do drzwi — Bogucki cicho do niej*). Jak on wyjdzie, ja przyjdę.

STEFKA. Niech pan przyjdzie jutro — już od dyrektora.

BOGUCKI. Nie — ja przedtem muszę Panią jeszcze widzieć.

(wychodzi).

SCENA SZÓSTA.

DAUM — STEFKA.

DAUM. Zepsuta... zepsuta... musiał ktoś poruszać. (*Stefka milcząc klęka i naprawia maszynkę. — Daum wściekły*). To kosztuje pieniądze... tak nie można...

STEFKA. Już poprawione.

(bierze boa i ogląda).

DAUM. A za te boa to ja nie zapłacę! Potrzebne to było? mało tych fatałaszków?

STEFKA. Przeziębiam się na próbach.

DAUM. To chustką sobie gardło okręcić. (*Stefka siada na szezlągu z nogami i pozostaje tak nieruchoma, patrząc przed siebie — Daum po chwili*). A teraz dąsy, fochy. I to się nazywa anielski charakter! Ja zapowiadałem — że nie znoszę min pogrzebowych. że muszę być rozrywany, że musi być wesołą w mojej obecności... Ja to zapowiadałem. Tak czy nie? —

STEFKA (*cicho*). Tak.

DAUM. No — to niech się zastosuje do moich żądań.

STEFKA. Zaraz!... (*przeciąga się*). To ja mam co wesołego powiedzieć?

DAUM. Możnaby...

STEFKA. Kiedy mi dzisiaj czegoś nie tego...

DAUM. Przez łańcuch słyszałem, jak się wesoło bawiła.

STEFKA. No... bo...

DAUM. Bo i pan Bogucki wesoły? To się chciało powiedzieć?

STEFKA (*zdenerwowana*). Może.

DAUM (*z nagłym wybuchem*). Ja sobie wypraszam wizyty. Ja sobie wypraszam. Ja zapowiadałem — żadnych wizyt. Tak czy nie? — zapowiadałem?

STEFKA. Ależ tak! tak!

DAUM (*ubiera się w futro*). To proszę się

zastosować do mojej woli. Nie życzę sobie trafiać na podobne sceny.

STEFKA (*na szesługu*). Jakie sceny? myśmy tylko rozmawiali.

DAUM. Właśnie. Wierzę... Z nią można rozmawiać!

STEFKA (*urażona*). Dlaczego nie?

DAUM. Bo ona nie jest do rozmawiania.

STEFKA (*urażona bardzo*). Właśnie że pan Bogucki ze mną rozmawia i bardzo dobrze się ze mną bawi.

DAUM. Że się bawi, to wierzę, ale nie rozmową.

STEFKA (*coraz więcej rozgoryczona*). Może się we mnie kocha? (*Daum parska śmiechem — Stefka wściekła, do głębi serca zadraśnięta*). Dlaczego? dlaczego się śmieje? dlaczego nie mają mnie ludzie kochać?

DAUM. Bo kocha się rodzinę — kocha się swój zawód, kocha się swój honor, kocha się swoją godność.

STEFKA (*coraz wścieklejsza*). Ale takiej jak mnie, to się nie kocha...

DAUM. To jest wszystko komiczne... Idę.

(patrzy na zegarek)

STEFKA (*następując na niego*). Aha! aha! żeby wiedział, że mnie kochają i to nietylko

Bogucki ale i inni... młodzi... z włosami na głowie, i z zębami...

(ze łkaniem prawie).

DAUM (*odsuwa ją laską*). Niech się odsunie! brzydka teraz jest!... ja tu znów za godzinę przyjdę zrobić inhalację. Niechaj będzie gotowe. I proszę żeby było w pokoju cieplej — bo tu zimno.

STEFKA (*ponuro*). Nie mam pieniędzy.

DAUM. Tu jest trzydzieści centów, to niech Michasiowa przyniesie pół centnara drzewa i zapali (*kładzie futro, cylinder i woła*). Michasiowa!

SCENA SIÓDMA.

STEFKA — MICHASIOWA.

MICHASIOWA (*ironicznie*). Całuję rączki wielmożnego pana.

DAUM. Niech Michasiowa zobaczy, czy tam niema nikogo na schodach?

MICHASIOWA. Zaraz.

(wychodzi na schody).

STEFKA (*przy oknie*). Najlepiej za dnia nie przychodzić.

DAUM. Robię, co mi się podoba! — I proszę do mnie tym tonem nie mówić, bo ja tego nie lubię.

MICHASIOWA (*wraca*). Niema nikogo!

DAUM. Dobrze!

(wychodzi).

(Stefka chwilkę patrzy za nim, wreszcie biegnie od okna, rzuca się na szezląg i zaczyna płakać po cichu).

MICHASIOWA (*obojętnie*). No i czego?... czego?... nos ci spuchnie.

STEFKA (*na sofie płacząc*). Ja jestem obrażona... obrażona... duma moja obrażona...

MICHASIOWA. O co ci chodzi?

STEFKA (*z całym bólem serca*). Powiada, że mnie nie może nikt kochać.

MICHASIOWA (*stojąc*). Niby jak kochać?

STEFKA. No... uczciwie, bardzo — no... kochać.

MICHASIOWA (*ironicznie*). A... to co innego. Niech się Stefce takiego kochania nie zachciewa, bo Stefka nie na takie kochanie, tylko na takie inne.

STEFKA (*szybko*). Dlaczego? dlaczego?

MICHASIOWA (*zgryźliwie*). Bo — Stefka już jest... tak... po za ludźmi...

STEFKA (*szybko*). Jakto?

MICHASIOWA (*dumnie*). A no... tak... po za ludźmi. Co zrobić? Ja jeszcze jestem między ludźmi i mnie można tak niby uczciwie kochać...

STEFKA (*ironicznie*). Ciebie?

MICHASIOWA (*z wybuchem*). A no tak! a no tak!... choć mam doły po ospie i nos mi się czerwieni — ale ja jestem między ludźmi...

(nachyla się ku siostrze z nienawiścią, obie patrzą sobie w oczy z siłą — Stefka pierwsza spuszcza oczy).

STEFKA. Nie gadaj głupstw...

MICHASIOWA (*ze złośliwym nerwowym śmiechem — pochylona tuż nad Stefką, odwróconą ku niej twarzą*). Ja jestem taka, że do mnie można przyjść i we dnie, a do Stefki to cichcem, jak nikogo na schodach i nocą... o...

STEFKA. Czego ty się na mnie uwzięłaś?... Za co ty się nademną mścisz?...

MICHASIOWA (*patrzy na nią przeciągle — wreszcie owija się z głową w chustkę — idzie do niży — wyjmuje z koszyka pończochy długie, poplamione atramentem*). Za nic. (*długa chwila milczenia — innym, dawnym tonem*). Stefka by nie smarowała ciągle dziur w bucikach atramentem, bo pończochy ani doprać.

STEFKA (*zgnębiona kładzie się na szezląg*). Cicho bądź — daj mi co zjeść...

MICHASIOWA. Niema nic. Resztę rolmopsów wielmożny pan zjadł wczoraj.

(dzwonek).

STEFKA (*leży na sofie*). Kto?

MICHASIOWA *(patrzy przez łańcuch)*. Ten od wierszów przyszedł *(do sieni)*. Niema panienki.

STEFKA *(leżąc)*. Głupia jesteś — dawaj go tu!...

MICHASIOWA. Ta po co?

STEFKA. Dawaj go! —

SCENA ÓSMA.

Też same — FILO.

FILO. Ja na chwilę.

STEFKA. Chodź pan tu... bliżej... siadaj pan... Tak... a teraz mi pan powiedz — jedno — Czy we mnie naprawdę można się kochać?

FILO *(siada na krześle koło szezląga od strony widzów)* Przecież... ja...

STEFKA *(klęcząc w kucki na szezlągu)*. Ale nie tak jak każden i w byle kim. Tylko uczciwie... no tak, jak się tam w waszych kobietach kochacie?

FILO. Jak pani się może pytać o to. Ja panią ubóstwiam Dla mnie pani jest uosobieniem miłości, ja po nad panią...

STEFKA. To są faramuszki. Ja się pytam czy można się we mnie kochać uczciwie?

FILO. Inna miłość byłaby dla pani obelgą!

STEFKA (*gorączkowo*). Więc ja nie stoję poza ludźmi? —

FILO. Pani stoi pomiędzy aniołami, po nad ludźmi.

STEFKA (*łupie nogami*). Nie... nie... ja chcę stać pomiędzy ludźmi, pomiędzy zwyczajnemi kobietami — takiemi które można kochać, zaręczyć się, ożenić...

FILO (*wpatruje się w nią*). Tak... Powiedziała pani wielkie słowo. Wielkie.

STEFKA (*patrzy się na siostrę*). Bo mnie wszyscy znieważają, mówią, że ja jestem taka którą się nie kocha...

FILO. A któż jest godniejszy miłości jak nie pani? (*osuwa się przed sofą na kolana*). Stefko nasza miłość...

STEFKA. Czego pan ciągle mówi nasza miłość! ja pana nie kocham.

FILO. Nasza miłość musi pozostać nierozerwalną. Ja siadam w tym roku do matury — potem idę na prawo...

STEFKA. A ja na lewo...

FILO. Skończę prawo — i wtedy — Stefko— wtedy już będziemy na zawsze razem! — szczęśliwi — nierozłączeni — pod chmury cię podniosę, w błękity ustroję — gwiazdami oświetlę...

STEFKA *(zrywa się i biegnie do stołu)*. To będzie wcale... wcale...

FILO (*idzie za nią*). Tak sobie umyśliłem. W teatrze cię nie zostawię. To bagno, to zgnilizna. Nie tobie tam być, nie tobie... tam zatracasz swą godność...

STEFKA (*stoi przy oknie*). Jest... wyjechała godność...

FILO (*przy stole*). Gdybyś nawet nie chciała...

STEFKA. No... dosyć... już mi się to znudziło. Może pan sobie iść. Mnie szło o to, aby pewne osoby słyszały... (*patrzy na Michasiową, która w głębi ceruje pończochy*), że mnie bardzo uczciwie kochać można.

FILO. Kto wątpi? niech wystąpi... Stefko!... oto pierścioneczek... weź go, noś jako zaręczynowy między nami pierścień...

STEFKA. Daj mi pan spokój...

FILO. Co do mego ojca, matki — nie lękaj się. Ja mam sposób, ja powiem im coś, co zmusi ich aby sami zwrócili się do ciebie i nie rozrywali naszego związku. — To sposób może straszny, może bolesny — ale niezawodny. Mój kolega jeden go wypróbował — był w tej samej sytuacji — zaręczył się — rodzice grozili — użył tego sposobu — i zmieniło się wszystko...

MICHASIOWA (*od okna, zainteresowana*). Ożenił się?

FILO. Nie — bo uciekła z drugim. Ale wiem czem zwalczyć rodziców...

STEFKA (*znudzona*). Zakazuję panu! (*do Michasiowej*). Proszę stąd iść.

(Michasiowa wychodzi. — Stefka idzie do szesląga).

FILO. Czy chcesz, czy nie chcesz, uczynię to! Tylko zawczasu przepraszam! przepraszam! brzeg sukni całuję... będzie to chwilowe zaćmienie, jakaś plama przelotna... ale ja wiem, gdy wywalczę w ten sposób szczęście nasze — ty mi darujesz... A! jeszcze jedno! Słuchaj! Stefek... ja cię oszukałem, okłamałem... ale ja działałem pod wpływem szału młodości... nierozwagi... ja ci się przedstawiłem pod obcem nazwiskiem.

STEFKA (*przy lustrze*). O Boże! jak mi to wszystko jedno.

FILO. Ja się nie nazywam Janiszewski. Ja się nazywam Daum.

STEFKA (*szybko*). Jak?

FILO. Daum — Gustaw Daum...

STEFKA. Syn starego Dauma?

FILO. Mecenasa...

STEFKA (*gwałtownie*). Jak? jak...

(biegnie i zakłada łańcuch).

FILO. Ty znasz moich rodziców?...

STEFKA (*z krzykiem*). Nie... nie... nie... ale i ciebie nie chcę znać!... nie chcę... nie chcę...

(ucieka do okna).

FILO (*biegnie za nią*). Co to jest! dlaczego? co się stało?

(chce ją wziąść za rękę).

STEFKA. Nie chcę... wynocha stąd... wynocha...

FILO. Ja wiem — mój ojciec nie ma szczególnej opinji, ale to w polityce — zmienił przekonania... ale to Stefuś zdarza się w najporządniejszej familji, za co ja mam być karany? — To życiowo bardzo porządny człowiek, nieposzlakowanej moralności, Stefuś on ciebie...

STEFKA (*zatyka uszy — biegnie do kuchni*). Nie gadać!... nie gadać!... wynosić się... (*woła*), Michasiowa zrób z nim co... niech się zgubi...

MICHASIOWA (*wpada — do Fila*). Najlepiej niech pan sobie idzie — ona jak wpadnie w gniew, to święty Boże nie pomoże... niech pan idzie,..

FILO (*z energją*). Ja pójdę... ja poszukam mego ojca... ja go zaraz tu przyprowadzę — i wszyscy razem pójdziemy do mojej matki. Zobaczysz jak się ucieszy!... idę... ale wrócę...

(chce iść przez główne schody).

MICHASIOWA. Nie tędy — przez kuchnię...

FILO (*z patosem*). Dobrze — ale ja powrócę głównem wejściem otwarcie i w sposób godny nas obojga...

(wychodzi szybko, zdecydowany).

SCENA DZIEWIĄTA.

STEFKA — MICHASIOWA.

STEFKA *(zdenerwowana)*. Żebyś mi go nigdy tu nie puszczała.

MICHASIOWA. Najlepiej trzeba było z takiem dzieckiem nie zaczynać.

STEFKA. Cicho bądź!... *(po chwili parska śmiechem)*. Nie rezonuj. Sama wiersze brałaś.

MICHASIOWA. Przez pocztę można... *(dzwonek — Michasiowa idzie do drzwi — przez łańcuch)*. Zaraz... *(do Stefki)* przyjaciel!...

STEFKA *(ucieszona)*. A!... proś!...

MICHASIOWA *(szeptem)*. A ty uważaj — lepszy wróbel w garści niż kanarek na powietrzu...

(Stefka biegnie do drzwi — otwiera).

SCENA DZIESIĄTA.

(Też same — BOGUCKI).

BOGUCKI. Jestem!

STEFKA. Dzięki Bogu!

BOGUCKI *(z kokieterją)*. Naprawdę?

STEFKA *(szczerze)*. Doprawdy. — Jak pana widzę — zaraz mi lżej. Pan musi być bardzo miły w domowem pożyciu.

BOGUCKI (*filuternte*). Staram się.

STEFKA. I dla tego pana lubią kobiety.

BOGUCKI (*śmiejąc się*). Mało lubią — szaleją.

SEFKA (*z przekorą*). No... no...

BOGUCKI (*idąc do szezląga*). I Stefcia także... Stefcia szaleje...

(siadają).

STEFKA (*na krześle*). Ani myślę. Zresztą mnie nie wolno...

BOGUCKI (*na poręczy szesląga odwrócony do Stefki*). Ach! jaka wierność. Dużo Stefci z tego przyjdzie.

STEFKA. No... zawsze...

BOGUCKI. Nie powiem, gdyby Stefka była żoną Dauma, ale tak...

STEFKA. No — a gdyby pan był na miejscu Dauma, a gdybym pana zdradzała to...

BOGUCKI. Phi! to co innego...

STEFKA. Bo się o pana rozchodzi...

Nie — ale widzi Stefka, między mną a Daumem jest róznica. Gdyby Stefka mnie zdradzała, byłaby nieusprawiedliwiona, a zdradzając Dauma, Stefkę każden uniewinni...

STEFKA (*smutno*). Trochę to w tem prawdy...

BOGUCKI. Ale tak... tak... i ogromna... Niech tylko Stefka sprobuje zdradzić Dauma...

(przyciąga Stefkę z krzesła do siebie).

STEFKA. Z panem...

BOGUCKI (*czule*). Spodziewam się! Zobaczy Stefka jak się zaraz życie Stefci rozjaśni..

STEFKA. Wie pan (*szczerze*) ja niemam jakoś zdolności do tego, żeby zdradzać...

BOGUCKI. Szkoda...

STEFKA. Ja wolałabym prosto, uczciwie— bez oszustw...

BOGUCKI. Naturalnie, naturalnie... kto wie jakby się rzeczy ułożyły... (*po chwili*) może życie Stefki by zupełnie inny obrót wzięło... ja naprzykład wiem dobrze, co Stefce potrzeba... ja zrobiłbym wiele... wiele nawet czego się Stefka nie spodziewa...

STEFKA (*wzięta, pomimowoli lgnąc do niego*). Niech pan powie... co?...

BOGUCKI (*po lisiemu*). Ja wolę nie mówić, ale ja zwykle wiem, co jest moim obowiązkiem względem kobiety, która mię kocha i jest dla mnie łaskawa. Ja jestem dżentelmenem i jako ten, wiem czem, i kim być powinienem...

STEFKA (*po chwili*). Wie pan... może ja się namyślę...

BOGUCKI. Tak — tak będzie lepiej. Ja nie chcę do niczego kobiety przymuszać —

Niech sama, sama, to jest mój system... (*obejmuje Stefkę i całuje)* Dzieciuś, pieszczotka, Stefuś... jak zechce i kiedy zechce... choćby zaraz jestem twój... i z dyrektorem pomówię,,. i wszystko... Stefuś... laleczka... pieścidełko... jakie to cacane, jakie to zgrabne... może dziś Stefcia by mnie odwiedziła?... ja tu będę w sądzie... karteczkę przez woźnego... Michasiowa zaniesie... uprzedzi... jakie to zgrabne.. powiadam ci Stefuś wszystko... wszystko...

słychać chrzęst klucza, drzwi się szamoczą o łańcuch, widać za drzwiami Dauma).

SCENA JEDENASTA.

DAUM, STEFKA, BOGUCKI.

STEFKA. Masz! jest!

DAUM (*za drzwiami*). Proszę łańcuch odłożyć.

STEFKA (*wyniośle*). Cóż tam? czego? pali się?...

(idzie drzwi otwierać).

DAUM *(wchodzi, spostrzega Boguckiego).* Pewny byłem.

BOGUCKI *(ironicznie*). Ślicznie, żeś się nie zawiódł. — Idę — panno Stefciu... do widzenia...

DAUM (*zły*). Czy ja wypłaszam?

BOGUCKI (*ubiera się*). Cóż znowu? idę do sądu,

DAUM (*z intencją*). Spotkałem właśnie twoją przyszłą narzeczoną.

BOGUCKI (*śmiejąc się*). Tak jest — właśnie miała iść na wystawę, razem z **twoją żoną** .. *(do Stefki)* Panno Stefciu!... czekam na decyzję.

STEFKA *(śmiejąc się)*. Kto wie — może Pan nie będzie długo czekał.

DAUM. Co to znaczy?

STEFKA (*sucho*). To nasza rzecz!

(odprowadza Boguckiego do drzwi, ,on wychodzi uśmiechając się do niej znacząco).

SCENA DWUNASTA.

DAUM — STEFKA.

STEFKA *(ironicznie i sucho)*. Jeżeli myślał, że ja uwierzę w to, iż Bogucki ma narzeczoną, to się mylił.

DAUM. Niech nie gada — a poda inhalację.

STEFKA (*pokazuje mu nogą aparat*). Niech sobie weźmie.

(zaczyna się bardzo szybko ubierać w niży).

DAUM. Co?

STEFKA (*z furją i brutalnie*). Pstro!

DAUM *(bierze sam maszynkę i przygotowuje inhalację)*. Jeżeli myśli, że daleko z tem zajedzie, to się myli. Ślubu nie braliśmy...

STEFKA. Całe szczęście!

MICHASIOWA (*wchodzi z kuchni*). Niech panienka idzie do teatru po gażę — bo to dzisiaj piętnasty, a za obiady trza zapłacić. (*spostrzega Dauma*). Całuję rączki wielmożnemu panu!

DAUM. Ile za te obiady? ja zapłacę.

STEFKA (*gwałtownie*). Nie potrzeba... ja sama... nie chcę...

(ubiera się w żakiet i kapelusz).

DAUM. Należałoby w domu zostać, kiedy ja tu jestem.

STEFKA (*gwałtownie*). Nic nie zależy! nic nie zależy!...

DAUM. Zwracam uwagę na proste zasady przyzwoitości...

STEFKA (*gwałtownie, ale nie trywialnie*). Pies niech polkę z nim tańcuje przez wały hetmańskie...

DAUM. Co? jak?

STEFKA (*otwiera drzwi i dorzuca*). Albo nie bo psa szkoda!

wylatuje jak wicher przez kuchnię — Michasiowa patrzy na nią).

DAUM. A jej co?...

MICHASIOWA. Ot!...

DAUM. Różki odrosły...

MICHASIOWA. Bogiem a prawdą to były zawsze.

DAUM. Już ja je przytrę...

MICHASIOWA. To było rogate i będzie rogate. Czy zapalić?

DAUM. Przecież dałem na drzewo. Zimno jak w psiarni, muszę palto włożyć...

(kładzie palto).

MICHASIOWA. Ale niema zapałek.

DAUM. Tu są... (*wyjmuje z kieszeni, rzuca na ziemię — Michasiowa podnosi*). A co do Stefki to najlepiej jak ja jej piśmiennie ultimatum zostawię. Tak i tak ma być... a nie, to... jak chce...

MICHASIOWA (*mierząc Dauma z wściekłością ukrytą, pali w piecu*). Wielmożny pan by ją porzucił?

DAUM (*pisząc*). To jest moja rzecz.

MICHASIOWA (*przy piecu*). Bo mi się zdaje, że Wielmożny Pan to by bez niej już nie wyżył.

DAUM. A to co?... Coście wy tak na rezon dziś wzięły?...

(przez drzwi kuchenne wsuwa się Filo).

SCENA TRZYNASTA.

FILO — DAUM — MICHASIOWA.

MICHASIOWA (*zrywa się*). Pan tu czego?

FILO. Drzwi były otwarte... (*dostrzega Dauma*) Ojciec!!!

DAUM. Ty? tutaj?... ja... kamienicę kupuję... więc oglądam... ale co ty... co ty tu robisz?...

MICHASIOWA. Jezus Marja! ja po nią polecę!

(wylatuje).

FILO. Nie wiem ojcze... sądzę jednak, że... że śledziłeś mnie... to źle... wolność indywidualna... ale to mniejsza. To forma, mogę ci to przebaczyć... Tu rozchodzi się o rzecz główną. Co ja tu robię! Otóż — wolę powiedzieć odrazu — jestem tu u panny Maliczewskiej...

DAUM (*udając obojętność*). Któż to taki?

FILO (*stanowczo nabiera na odwagę*). To jest kobieta, którą kocham, która mnie kocha i z którą po skończeniu prawa ożenię się.

DAUM (*cofając się, ale od razu nie dając całego głosu*). Z kim? — z nią?

FILO. (*coraz odważniej — chociaż mu głos zamiera*). Tak. I tu jest wszystko napróżno. Cokolwiek mi zechcesz powiedzieć. Pozycja społeczna? to dla mnie nie istnieje! nazwisko? lepsze niż nasze... na ski — a co do niej samej.

DAUM (*przerywa krótko, ostro*). Milcz!... i zabieraj się stąd...

FILO. Widzę, że zaczyna się znów wieczyste nieporozumienie... ojcowie... dzieci...

Trudno... ojciec mnie zmusza... powiem coś czego bym mówić nie chciał. Ale — mówić będę językiem ojca... (*po chwili*). Ojciec ma wygórowane pojęcie honoru, godności. Ja także. Czy ojciec kazałby mi zapłacić karciany dług?

DAUM. Do czego ty zmierzasz?...

FILO. Dług zaciągnięty względem kobiety jest stokroć większej wagi. Panna Maliczewska i ja... to jest ja... mam względem niej obowiązki...

DAUM (*blednie, cofa się i mówi chrapliwie*). Ty?... ty?...

FILO. Daruj ojcze... młodość...

DAUM (*szeptem*). I ona... ona...

FILO. Ona niewinna, ja tylko...

DAUM. Cicho! cicho!...

(siada prawie bezprzytomny, zakrywa twarz).

FILO. Spodziewam się, że teraz...

DAUM. Cicho... pozwól mi choć myśli zebrać.

(chwila milczenia — Filo stoi nieruchomy pod ścianą — Daum zasłonił oczy i siedzi).

FILO (*cicho*). Ojcze!...

DAUM (*jakby się budząc*). Przedewszystkiem ty musisz stąd iść...

FILO. Ale...

DAUM (*w gorączce*). Ja także, o ja także stąd pójdę. Za chwilę.

FILO. Chcesz pomówić z moją narzeczoną?

DAUM (*w gorączce*). Tak... tak... właśnie...

FILO (*dziecinnie*). Bądź dla niej pobłażliwy. Ona taka nieśmiała choć napozór swobodna; ale skoro to uznajesz za konieczne — pójdę. Ufam ci i widzę, że uznajesz we mnie prawa człowieka. Cenię cię za to. Jej powiedz, że...

DAUM (*szeptem*). Wiem co mam powiedzieć — ty idź!...

FILO (*kieruje się do drzwi frontowych*). Zamknięte

DAUM. Czekaj! (*machinalnie wyjmuje klucz od drzwi frontowych i opamiętowuje się, chowa*). Może tu jest inne wyjście...

FILO. Tak—przez kuchnię (*idzie do kuchni*). Otwarte (*do ojca serdecznie*). Będę czekać na dole...

DAUM. Nie... nie... idź do domu (*chwilę patrzy na niego, bierze jego głowę w dłonie i całuje syna w czoło*). Tyś nic nie wiedział... tyś nie winien...

FILO. Nie ojcze—to ja, ja... ona niewinna.

DAUM. Nie... nie... idź... idź...

(Filo wychodzi — Daum pozostaje chwilę sam — obłędnym wzrokiem patrzy dokoła — chce usiąść — wstaje — bierze kapelusz, laskę — siada znów na szezlągu — tupot po schodach — frontowemi drzwiami wpada Michasiowa, otwierając je z klucza który ma przy sobie),

SCENA CZTERNASTA.

DAUM — MICHASIOWA później STEFKA.

MICHASIOWA. Panienka idzie... nie chciała, ale ja ją namówiłam, teraz się zatrzymała na dole, rozmawia z... paniczem.

DAUM (*z szezląga*). Zakazać!... zakazać!... niech nie mówi z nim...

MICHASIOWA. Ale ona go nie kocha proszę wielmożnego pana.

DAUM (*z szezląga*). Nie o nią tu chodzi... nie o nią tu chodzi...

(drzwi frontowe się otwierają i wpada Stefka — Daum rzuca się ku niej, jakby ją chciał bić — ona woła).

STEFKA. A...

(chce coś mówic — nagle się cofa pod okna i tak zostaje nieruchoma, z zaciśniętemi pięściami przy ustach — Mishasiowa przy niej, jakby ją broniła).

DAUM (*po chwili, chrapliwie — cicho.* Ja tu się dowiedziałem... takich rzeczy... takich rzeczy, że aż dreszcz przejmuje na samo wspomnienie... (*chwila milczenia. J. w.*). Ja nie miałem wysokiego wyobrażenia o jej moralności... ale to przechodzi pojęcie... to już błoto... to już...

MICHASIOWA (*cicho do Stefki*). Niech mu Stefka powie prawdę, że przecież nic nie było.

STEFKA (*cicho, przez zaciśnięte zęby*). Nie powiem! niech teraz myśli... to sobie pójdzie... napiszę mu jutro... ale niech ze mną zerwie...

DAUM (*j. w.*). Ja odchodzę... na zawsze... z najwyższą pogardą... ze wstrętem... i to jedno... od mego syna wara!... nie dam!... nie dam!... (*kieruje się do wyjścia, nagle staje i zwraca się do Michasiowej*), Mój aparat inhalacyjny (mi zapakować... zabiorę.

Michasiowa pakaje aparat w papier rzucony od boa — milczenie w czasie tego — wreszcie Daum bierze aparat i wynosi się zgarbiony, zestarzały — przechodząc mówi z goryczą, patrząc na Stefkę).

DAUM. Za tyle dobrodziejstw!!!

STEFKA (*do Michasiowej szybko*). Klucz!.. niech odda klucz ode drzwi!

(Michasiowa wybiega i za chwilę wraca z kluczem).

STEFKA (*zrywa się jak szalona i zaczyna tańczyć po pokoju*). Poszedł! poszedł! co za radość! co za szczęście. Niema go!... niema go!... już tu nie przyjdzie... nie...

(płacze i śmieje się nerwowo, w miarę słów Michasiowej śmiech ten zastyga).

MICHASIOWA (*skrzywiona*). Jest czego się cieszyć.

STEFKA (*śmieje się spazmatycznie*). Pewnie że jest! Och! jak ja go nienawidziłam... jak ja go nienawidziłam...

MICHASIOWA (*cicho*). Jutro po kwartalne przyjdzie żyd za meble — a jakże... obiady

za cały miesiąc — praczka już przeszło dziesięć guldenów — po sklepach Stefka wszędzie wisi — na szesnasty się zlecą jak kruki. Ciekawam co będzie...

STEFKA *(zgaszona, cicho — siedzi na szezlągu)*. Co Bóg da...

MICHASIOWA. Mieszkanie to jeszcze na dwa tygodnie... najgorzej z krawcową — dziś trzy razy była dziewczynka z rachunkiem... już zaczyna na schodach wymyślać...

STEFKA *(cicho, niepewnie)*. To poślij po stróża niech ją wyrzuci.

MICHASIOWA. Stróż też zły, pluje — mówi, że Stefka mu za siedem szper winna... a już co do mnie to ja nie mówię, ale niby ta pensja to...

STEFKA *(pada na twarz na szezląg)*. No — co ja mam robić! co!...

MICHASIOWA. Było załatać!... nie zrywać... *(dzwonek)*. Może się wraca?

STEFKA *(zrywa się)*. Nie chcę! wolę najgorsze... nie chcę...

(zatyka oczy).

SCENA PIĘTNASTA.

TEŻ SAME — BOGUCKI.

BOGUCKI. Jest?

MICHASIOWA. Przyjaciel!

STEFKA (*skacze*) Z nieba spadł!... (*rzuca się ku niemu*). Miałam kartkę posyłać...

BOGUCKI (*szybko*). Wyszedłem z sądu — widzę jak Daum jedzie dorożką strasznie blady — odwrócił się odemnie — co jest?

STEFKA (*z entuzjazmem*). To jest, że jestem wolna... wolna... że nikt niema do mnie prawa... że mogę sobą rozporządzać...

BOGUCKI (*zdziwiony*). Zerwane?

STEFKA (*z energją*). Na fest! Daum pogrążon! z Dauma nici!...

BOGUCKI. Ale dlaczego?

MICHASIOWA (*szybko*). To przez wielmożnego pana — bo tamten wielmożny pan był zazdrosny o wielmożnego pana...

BOGUCKI (*nieufnie*). Oho! ho! żeby aż tak...

STEFKA (*szybko*). Mniejsza czy o to czy o to — dość, że jestem wolna... I ja powiem panu odrazu, że jestem bardzo szczęśliwa, że niepotrzebuję go zdradzać z panem (*z wdzięk iem dziecka*) bo ja byłabym go zdradziła, a to przecież brzydko... zawsze... więc przecież lepiej otwarcie i szczerze...

BOGUCKI (*bez entuzjazmu*). No... tak... (*do Michasiowej*). Niech Michasiowa wyjdzie, bo ja mam pomówić z panienką.

(Michasiowa wychodząc mówi do siebie).

MICHASIOWA (*d. s.*). Może da Bóg, że się wygrzebiemy!...

STEFKA (*dziecinnie i serdecznie*). Pan się cieszy, że ja już będę całkiem panowa?

BOGUCKI (*lisio*). Bardzo... Ale siadaj Stefuś naprzeciw mnie i pogadajmy rozsądnie. Jak ma już być tak, że ja mam zastąpić Dauma — to w miarę moich środków. Otwarcie mówię — wiele zrobić nie mogę, nawet prawdopodobnie mniej jak Daum. O! teraz rozeszliście się — a ponieważ on nic nie przyrzekał...

STEFKA. Oho! ho!... co przyrzekał!...

BOGUCKI (*jakby ucinał nożem*). Ale ogólnikowo! nic wyraźnie. Rozeszliście się i nie macie pretensji jedno do drugiego... Tak samo i ze mną. Żadnych pretensji. (*wstaje, zagląda do niży*). Mieszkanie może zostać to samo, meble wynajęte, bo to praktyczniejsze w razie wyjazdu... a długi są?

STEFKA (*cicho siedzi na szezlągu i patrzy za nim*). Są.

BOGUCKI (*siada na szezlągu na poręczy*). Dużo?

STEFKA (*j. w.*). Sto osiemdziesiąt reńskich. (*szybko*). Ale zaraz nie trzeba będzie wszystkiego płacić.

BOGUCKI. To się ułoży... Tylko zapowiadam — nic więcej płacić nie będę — ani

centa długów po za to — niech Stefka pamięta — Także... żeby żadna rodzina o...! tego nie lubię. I proszę, jedno, niech to, że ja tutaj bywam, zostało w zupełnej tajemnicy... zupełnej...

STEFKA (*smutno*). To pan znów będzie tak po ciemku przychodził?

BOGUCKI (*z obleśnym uśmiechem*). No... naturalnie ja wyrabiam sobie sytuację... ja muszę liczyć się z opinją.

STEFKA (*nieśmiało*). I nigdzie mnie pan ze sobą nie weźmie?

BOGUCKI (*jak wielki pan*). Może kiedy.. za miasto... wieczorem...

STEFKA (*ironicznie*). Z podniesioną budą... A! z Milowiczówną to pan chodził nawet w dzień.

BOGUCKI (*wymijająco*). Byłem o kilka lat młodszy, dziś mam zastanowienie i muszę myśleć o przyszłości.

STEFKA (*coraz smutniej*). A z dyrektorem się pan zobaczy?

BOGUGKI. Naturalnie przy sposobności...

STEFKA (*nieśmiało*). I o mnie mu pan powie?

BOGUCKI (*wymijająco*). Przez jednego z moich przyjaciół. Mnie samemu teraz nie wypada... Cóż to? humorek niedobry? (*wstaje*). O! to już wypraszam sobie. — Trzeba się

zawsze uśmiechać i wesoło mnie przyjmować, bo ja sam mam często chwile strasznego zdenerwowania i należy mnie rozrywać. — To jest moje ultimatum. Cóż — sztimt?..

STEFKA (*smutno*). Sztimt!

BOGUCKI. O! tak nie lubię... wesoło... no... roześmiać się...

STEFKA (*śmiejąc się blado*). Sztimt!...

(Bogucki ją całuje, ona się biernie poddaje. — Bogucki patrzy na zegarek).

BOGUCKI. Ho! ho!.., trzecia... idę do kancelarji — wieczorem przyjdę... sam coś przyniosę na kolację — tak coś...

STEFKA (*z ironią*). Przyjacielską przekąskę...

BOGUCKI (*ubiera się*).To... to... no!... pa...! a jakie to zgrabne... jakie to zgrabne... (*całuje ją*) do wieczora! Zawołaj Michałową!

STEFKA. Po co?

BOGUCKI. Czy tam niema kogo na schodach?

STEFKA (*kiwa głową*). Ha no!.. (*idzie sama, patrzy*) jest!... pies właścicielki.

BOGUCKI. A Stefuś dowcipny! pa!... kotuś! pa dzidziuś! pa! czekać i tęsknić! (*przysuwa ją do siebie*). Kocha?

STEFKA (*z całą zawiedzioną duszą*). Chciała... Teraz już nie...

BOGUCKI (*jak do dziecka niedbale*). Będzie... będzie... pa!

(wychodzi).

SCENĄ SZESNASTA.

STEFKA — MICHASIOWA.

MICHASIOWA (*szeptem*). No — co?

STEFKA. Ha no... co mam robić?

(siada na szezlągu z nogami).

MICHASIOWA (*przysiada na krześle*). Słusznie. Nóż na karku. A co ja mam być? siostra? sługa?

STEFKA. Sługa. Wymówił sobie rodzinę.

MICHASIOWA (*wściekła*). Patrzcie go! Taki drugi Protazy...

STEFKA. Niech mnie Michasiowa zostawi samą. Głowa mnie boli.

MICHASIOWA. To z głodu bo i mnie. — Ja nie pójdę po obiad bez pieniędzy, bo wyzywają, a to wstyd. Stefka z gaży co przyniosła?

STEFKA (*cicho*). Nic. Zabrała Rozenbuszowa... czekała przed teatrem. Poczekamy do wieczora... on coś na kolację przyniesie...

MICHASIOWA (*prosto*). Byle znów nie ciągle sardynki jak tamten. No... to czekajmy...

STEFKA (*sennie*). Połóż się spać!

MICHASIOWA (*przysiada na ziemi przy piecu*). Chyba. Ciekawa jestem u którego ja mam się teraz o zasługi upomnieć...

(wychodzi).

STEFKA (*sama ze łzami owija się chustką i układa do snu*). I to już tak całe życie!... psia krew!... tak całe życie!...

ZASŁONA ZAPADA WOLNO.

UJK Biblioteka Główna w Kielcach

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0421424

BIBLIOTEKA
Katedry Teorii Literatury U. Ł.
ANULOWANO
~~7826~~ 6

NEUMAN & TOMASZEWSKI
ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU